

Niektórzy twierdzili, że nawet piekło zamarzło.  
Tymczasem ono właśnie się obudziło...

Michał  
Śmielak

OSADA

SKARPA  
WAR  
SZAW  
SKA

Michał  
Śmielak

# OSADA



# Spis treści

Okladka

Strona tytułowa

Spis treści

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Od autora

Redakcja  
*Małgorzata Starosta*

Korekta  
*Małgorzata Podlewska*

Skład i łamanie  
*Agnieszka Kielak*

Projekt graficzny okładki  
*Mariusz Banachowicz*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023

© Copyright by Michał Śmielak, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze  
ISBN 978-83-83293-14-1



**Wydawca**

Agencja Wydawniczo-Reklamowa  
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.  
ul. Borowskiego 2 lok. 24  
03-475 Warszawa  
tel. 22 416 15 81

[redakcja@skarpawarszawska.pl](mailto:redakcja@skarpawarszawska.pl)

[www.skarpawarszawska.pl](http://www.skarpawarszawska.pl)



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

# ROZDZIAŁ 1

## *Mara*

*Rok 1978*

Ciemność wpełzała do domostwa, wypełniając lepką czernią wszystkie kąty nieoświetlone przez chybotałe światło lampy. Lęły się w niej wszelkie potwory tego świata, to przecież rzecz pewna, bo i gdzie miałyby się to plugastwo chować, jak nie właśnie tam, w miejscu za dnia dobrym, a po zmroku złym. Duchy siadające nocą na piersi, wąpierze chłeptające ciepłą krew, demony wyjące po nocach czy zjawy latające z grudniowymi wiatrami, tłukące się do okien. One wszystkie pragnęły ciepła życia człowieczego, bo swojego nie miały, istoty przekłete, które toczą marznącą krew, a oczy ich są niczym lód.

O tak, były tam, psiejuchy, tylko lampa je odstraszała, a w niej knot coraz krótszy, a i nafty jakby ubywało za szybko. A co będzie, jak dziadek przyśnie i nie napelni lampy albo knot się skończy? Czy rzucą się na nas, zatopią kły w miękkich gardłach, będą mlaskać z rozkoszy, spijając posokę, cieszyć się z łatwego posiłku?

Może to jednak nie lampa, nie światło, a głos dziadka trzymał je na wodzy? Bo on je znał, widział wiele razy, jego małe, okolone pajęczą płataniną zmarszczek oczy tak wiele widziały, rzeczy złych i dobrych. Każdy siwy włos dziadka był rachunkiem za zobaczone zło, a widział go podobno wiele. I teraz o nim opowiadał.

– Sto lat będzie nazad, jak to było – powiedział staruszek po długiej chwili wpatrywania się w płonący kominek. – Ja to jeszcze nie byłem na świecie, ale ojciec opowiadał, a mówił tylko to, co sam widział.

Dziadek znowu zamilkł i nie odrywał oczu od wymurowanego szarymi kamieniami kominka wypełnionego różnymi płomieniami. Skakały, tańczyły, głupio i bezmyślnie, jak to one, ale bez nich człowiek by zamarznął, ot co. Zatem i z głupiego może być pożytek. Listopad zgotował im niemal lato, dawno już tak nie było, potem deszcze, jakby kto w niebie staw opróżnił, no a grudzień nasłał mrozy pierwej bez śniegu, ale już się po polach bielilo, więc zostało nam siedzieć w chałupie i słuchać.

– Zima też była tęga, zaczęła się w listopadzie i trzymała do maja. Jednego dnia słońce i radość, a drugiego ciemność i mróz. Żeby tak po bożemu, że pier-

wej zimno, a potem lód kałuże skuje, człowiek wtedy wie, czego się spodziewać, ale nie, przyszło i już.

– I wtedy też tak wyło? – zapytał Pietruś, podrostek jeszcze.

Cała sprawa rozchodziła się o to, że odkąd ścisnęły mrozy, coś przeraźliwie wyło po nocy, aż wszyscy wstrzymywali pod pierzynami oddech, żeby złego nie skusić, nie zwabić do domu. Gdy zapadały ciemności, a księżyc wchodził wysoko na niebo, coraz cieńszy i chudszy, po wiosce momentalnie rozlegało się wycie. Gdy tylko ktoś wychodził sprawdzić, co to tak wyje, to nastawała cisza jak makiem zasiał.

– Wyło – potwierdził dziadek i przeniósł wzrok na Pietrka, smutny, zmęczony, po części zakryty bielmem.

– I co? – pyta jak głupi braciszek, jak dziecko, chociaż idzie mu już na szesnasty rok, to i rozumu powinien kapkę mieć.

– Wiesz, Pietruś, dlaczego w zimie noce długie? – zapytał dziadek.

– Nie – odpowiada.

– Bo w lecie to człowiek spiżarnie napelnia, dlatego musi cały dzień chodzić, orać, sadzić, żniwować. Ma wtedy zapasów do wiosny, on i jego chudoba. W zimie za to żniwuje wszystko, co złe. Dla nich zima. Ale dla nas zimno, dla nas mróz. To ostrzeżenie, żeby człowiek za próg nosa nie wystawiał, na dupie ma siedzieć w ciepłej chałupie i wypatrywać wiosny. Bo w zimie za oknem po nocy złe chadza.

– Nijak złego wypatrzyć – odparł Pietruś.

– Bo my do takiego widoku niezwyčajni – odpowiedział cierpliwie dziadek. – Bóg mądrze zrobił i żeby nam oszczędzić takich potworności, to na szyby sprwadza mróz, kwiaty piękne maluje. Nie masz co tedy wyglądać na świat, ciemność świdrować okiem, bo niczego nie zobaczysz. Patrz na kwiaty, powiada Bóg, com ci je wymalował, a potem idź spać. W domu jesteś bezpieczny. Wiele jest znaków, że zimą diabeł blisko jest, tylko ludzie głupie, patrzą, a nie widzą.

– Jakich znaków? – zapytała Esterka, najstarsza z moich sióstr.

– Raz, że noc długa, żeby demony mogły swobodnie polować, bo za dnia śpią. Jednak przez to okrutnie głodne, bo jak się w lecie przebudzą, to jeszcze nie zdążą się porządnie po zadku podrapać i przeciągnąć, jak noc się kończy i trzeba iść spać.

– Ano tak – zgodziła się Esterka. – I co jeszcze, dziaduniu?

– Ot choćby zobaczcie, że w lecie jak naciągniesz wody ze studni, to zimna, aż w zęby kole, tak jest?



– Ano – potwierdził mój ojciec. – Tak jest.

– Ale w zimie też możesz wody naciągnąć, nawet jakby mróz był taki, że ptaki w powietrzu zamarzają, co się zdarzało.

– Bywało – wtrącił się ponownie ojciec.

– Bo w zimie piekło bliżej podchodzi i to, co w ziemi, to podgrzewa, dlatego woda w studni nie zamarza.

– Ano racja – zgodził się ojciec, a wszyscy pozostali pokiwali głowami.

– A jaki najstraszniejszy zły jest? – zapytał Pietruś. – Ten, co tak wyje.

Dziadek odwrócił głowę w stronę kominka, jakby musiał coś z płomieni wyczytać, jakąś prawdę. Może i tak jest, że długie życie zapisuje swoje mądrości w czymś ulotnym, jak choćby w ogniu, i tylko starzy potrafią z nich czytać, kto wie. Młodzi nie tracą czasu na ślepienie w ogień, wiecznie za czymś biegają, dokądś się śpieszą, nie ma u nich chwili na mądrość.

– To nie on, ino ona – powiedział po chwili dziadek cichym głosem.

– Ona? – zapytały jednym głosem dziewczynki.

– Mówią na nią „Mara” – oznajmił dziadunio. – Ale dawniej zwali Śmiercicha.

– Co robi? – zapytał Pietruś.

– Przychodzi z pierwszym mrozem, żeby jej stopy z kości ostrych niczym noże nie zapadały się w miękkiej ziemi. I żniwuje. Aż do pierwszego ciepła, a nie ma tak, że patrzy, kogo zabrać, chociaż starą krew najbardziej lubi, stąd się mawia: „cieszy się starzec, że przeżył marzec”. Jednak nie pogardzi młodą dziewczyną, roślą gospodarzem czy podrostkiem.

– A dzieci? – zapytała Esterka.

– Na dziatki małe też ma smaka – powiedział dziadunio, na co małe bąki skuliły się w sobie.

– Skąd dziadek to wszystko wie? – zapytałem.

Staruszek pochylił się nad kominkiem, dorzucił jedno polano, przez co ogień na chwilę przygasł, ale nie minęło długo, jak wstąpiło w płomień nowe życie i ochoczo zabrały się do kawałka jabłoni, którą połamała burza w środku lata.

– Sto lat temu to było – powiedział cicho dziadek. – Najpierw wyło to coś po nocach, tak było, tak ojciec opowiadał. Jednej nocy ucichła Mara w końcu i ludzie myśleli, że poszła sobie precz przepadła, że odwilż krótka przyjdzie. Rano, jak wyszli po wodę do studni, to śnieg przed chałupą czerwony był, nie biały. Czerwony jak pole maków, a to zima przecie, gdzie maki? Dziewczyna leżała na środku podwórca, biała na czerwonym śniegu. Nogi i ręce rozłożone, jakby się witać chciała.

– Witać? – zapytała słabym głosem Juleczka, moja młodsza siostra.

– Witać – przytaknął dziadek. – A i Mara ją powitała, pocałunkiem najpierw, bo twarz jej odgryzła, wargi też, że zęby widać było. Znać, lubi miękkie i ciepłe usta, bo obgryzione były dokładnie. Nosy też lubi, bo i to zeżarła, tylko dziura została. Oj, bardzo lubi miękkie, bo i powieki odgryzła, jakby kozuch z mleka zjadła. I uszy.

– O matko – jęknęła Juleczka.

Dzieciaki podciągnęły koce pod nosy, przytuliły się do siebie, a ich oczy, wielkie i brązowe, jeszcze się powiększyły. Gdyby matula była w domu, toby na takie strachy dziaduniowi nie pozwoliła, ale poszła do Kapiców świece z wosku odlewać. Ojciec za to na takie opowiastki pozwalał, bo sam bardzo lubił o duchach i upiorach słuchać.

– Jak to: zeżarła? – zapytał podekscytowany Pietruś. – I uszy, i nos, i powieki, i policzki?

– Apetyt miała, to z pewnością, pewnie z głodu wyła tak przez tych kilka dni, a gdy już się nażarła, to ucichła i poszła spać. Ale ile to trzeba by warg zjeść, nosów i powiek, żeby brzuch zapełnić?

– Wiele – odparł szybko Pietruś, co to sam wiecznie był nienajedzony.

– Tym się nie naje nawet najchudszy potwór, masz rację, więc żeby sobie podjeść, Śmierciucha odgryzła jej też piersi, duże i białe. Musiały jej smakować, bo wiele nie zostawiła, krwią nachlapała i jęzorem posokę po brzuchu rozmazała. Ale przestała wyć.

– Złapali ją? – zapytałem w końcu, bo to mnie najbardziej ciekawiło.

– Nie – zaprzeczył stanowczo dziadek. – Michałku, nie złapano. Śladów została, kopyta wielkie miała i szpony przy łapach jak noże, poszli po tych śladach z widłami, ale w lesie ginęły, a tam już bali się iść, zresztą dni krótkie, a śniegi straszne były, nie do chadzania po lesie taka pogoda, oj nie.

– Ale wyć przestała? – dopytywał Pietruś.

– Najadła się i przestała – oznajmił dziadek. – Tyle że nie minął tydzień, jak znowu wycie spadło na wieś.

– Ojej – jęknęła Esterka.

– Zabiła znowu? – drążył niestrudzenie Pietruś.

W izbie zaległa cisza jak makiem zasiał i chciało się krzyknąć albo chociaż westchnąć, żeby tak cicho nie było, ale wyręczył nas ogień, który w kominie trzasnął mocno na żywicznym polanie i wyrwał dziadka z zamyślenia.

– To była bardzo długa i strasznie mroźna zima – powiedział w końcu dziadunio, wstał, po czym potarł kciukiem powiekę, aż oko zatrzęszczało.

I nie mówił już więcej, czy to nie chcąc budzić wspomnień, które zamroziły dziesiątki mroźnych zim, czy też obawiając się matuli, która właśnie wróciła do domu z koszem pełnym świec.

Trzasnęły drzwi, matula otrzepała buty, weszła do kuchni i od razu zrozumiała, co się działo. Tak, nie trzeba jej było niczego tłumaczyć, jej przenikliwy wzrok objął dziadka wystukującego resztki tytoniu z fajki, którą miał w zwyczaju ćmić po śniadaniu, obiedzie i przed snem, potem ujrzała wszystkich domowników zgromadzonych wokół staruszka i dwie swoje córeczki nakryte pierzyną pod same nosy. Ich wielkie brązowe oczy świeciły niczym dwie latarnie, oznajmiając matce, że oto w tej izbie brzmiały echa przerażających historii.

– Znowu dziadek wam głupot do głów nakładał, co? – zapytała, biorąc się pod boki.

– Daj żyć, Marysiu. – Dziadunio zbył ją machnięciem fajki. – Tak jakbyś ty za dzieciaka nie słuchała takich opowieści.

– I do dziś mi się te wszystkie potwory śnią – odparła niezrażona. – O czym było dzisiaj, co? Wąpierz? Strzygonie? Beboki?

– Dziadunio o Marze opowiadał – odparłem szybko, widząc, jak Esterka i Juleczka głębiej chowają się pod pierzyną, jak to dzieci, czując, że to one najmocniej zawiniły. – O tej, co tak wyje po nocy.

– Wilki podchodzą pod wioskę i wyją, a nie żadne Mary czy Śmierciuchy – odparła matula. – Zima ciężka, a mróz dziś ściska, jak dawno nie było.

– Świece przyniosłaś? – zapytał ojciec, chcąc zejść z niebezpiecznego tematu, ale postąpił nieopatrnie, bo uwaga matuli skupiła się na nim.

– A tyś jeszcze głupszy, że ojcu na to pozwalasz – zaatakowała matula. – Nie ty z nimi w nocy będziesz przy piecu leżał, jak im się koszmary zaczną.

– Ale prądu znowu nie ma, radia nie szło posłuchać – wyjaśniłem, stając w obronie ojca. – Do Kowalów byśmy poszli w telewizor popatrzeć, ale jak prądu nie ma, no to jak. A dziś dobranocka, a wcześniej leciała Stawka.

– Trzeba było do roboty się wziąć – skontrowała matula. – Święta za pasem, Wigilia za dwa dni. Groch przepatrzeć, czy przez robaka nie stoczony, drew na zapas narąbać, żeby nie trzeba było od stołu wstawać, a nie o głupotach gadać.

– A kiedy wróci prąd? – zapytała Esterka, która ogromnie lubiła słuchać radia.

– Dziś piątek, więc jak jutro nie naprawią, to może dopiero po świętach, kto wie – odpowiedział jej ojciec. – No, spać, smarki! – zarządził, wstając od stołu

i klaszcząc zachęcająco.

– Michałek! – Matula skierowała oczy na mnie i właśnie zdałem sobie sprawę, że ja jeden nie oberwałem za dziadkowe opowieści. – Idź do babci, sweter ci zrobiła i trzeba przymierzyć.

– Już lecę – odpowiedziałem i skinąłem głową, ciesząc się, że tylko o to chodzi i dziś nie dostanie mi się za dziadkowe opowieści.

– I świece jej zanieś, bo kto wie, kiedy prąd będzie – dodała, wręczając mi mały pakunek. – Nafta nam się do lamp kończy, kto by pomyślał, że tak często tej zimy prądu nie będzie i lampy się przydadzą. Narobiliśmy świec, a Kapica ma się jutro wybrać do sklepu w mieście po naftę, może kupi parę flaszek.

Zabrałem pakunek od mamy, ubrałem się ciepło, bo mimo że dom babci był obok naszego i mógłbym szybko przelecieć, to później byliśmy umówieni z Andrzejem i Krzyskiem w stodole tego ostatniego, żeby omówić nasze własne przygotowania do świąt.

\*\*\*

Babcia pokiwała smętnie głową, potwierdzając, że wszystko, o czym opowiadał dziadek, było prawdą. Musiałem zapytać, wyjścia nie było, a tylko ona mogła wiedzieć to samo.

– I całą zimę ta Mara szalała po wsi? – zapytałem, nie dowierając.

– Mówią, że całą – odpowiedziała babcia, obierając uważnie małym nożem jabłko, jak zawsze walcząc o prymat w robieniu najdłuższej obierki na świecie.

– I dużo dziewczyn zabrała?

– Różnie mówili, ale że jak już zacznie, to dopóki mróz nie zelży, będzie zabierać. Mój dziadek opowiadał, że wtedy sporo grobów trzeba było wiosną kopać. Zimą nie dało rady, bo takie tęgie mrozy nadeszły, że w ziemię nie szło nawet szpilki wbić. Trzymali ciała w stodole pozawijane w całuny aż do wiosny.

– I nie złapali Mary?

– A jak demona złapać? – zapytała babcia, krojąc jabłko na cząstki i podając mi na talerzyku. – Przyjechał posterunkowy, w papierach ponoć coś napisał i tyle go widzieli.

– Dziwne to wszystko – stwierdziłem. – Że tak coś przyłazi i zabija, a ludzie nic.

– Był potem ksiądz wezwany – odparła babcia. – Modlił się i poświęcił ziemię.

– I pomogło?

– Wyc przestało i ludzie ginąć przestali, nigdy już Mara nie wróciła. Mało to ma wiosek, gdzie ziemia niepoświęcona? A może co miała zeżreć, to zeżarła, i już? Kto wie? Chyba tylko jeden Pan Bóg. No, nie mówmy już, nie wywołuj wilka z lasu.

Chciałem jeszcze pytać, bo tyle rzeczy kotłowało mi się w głowie, ale babcia była okropnie uparta i jak powiedziała, że koniec, to nie było po co języka strzępić. Jednak sama w końcu się odezwała, jakby coś jej ciążyło i musiała to powiedzieć.

– Ale wróciła – wyszeptała.

– Teraz? – zapytałem od razu.

– Wtedy – odparła.

Nagle do drzwi babkowej chałupy ktoś załomotał, a mi z tego wszystkiego serce niemal stanęło, jednak staruszka niezrażona kiwnęła głową i kazała otworzyć. Wiadomo, starzy ludzie nie boją się niczego, a nasza babka to już w szczególności.

Podszedłem nieco niepewnie pod drzwi i położyłem dłoń na klamce. Otwierać? Nie otwierać? A jak to demon? Który demon puka, głupku.

Ano okazało się, że są też takie, które pukają.

## ROZDZIAŁ 2

### *Lubię wracać tam, gdzie byłem*

*Rok 2023*

Jan Ryś kroki na schodach stawiał ostrożnie, mimo że znał każdy ze stopni niemal jak współpracownika, wszak deptał po nich przez trzydzieści lat pracy. A może raczej służby? Przecież strażak, pielęgniarka, lekarz czy policjant to służba właśnie, a nie klasyczna robota z oczekiwaniem na upragniony piąteczek. Chodził po wysłużonych schodach w sandałach, zimowych butach, trzeźwy i pijany, radosny, ale też zdarzało mu się zbiegać, będąc wkurwionym na zmiany następujące w jego ukochanej instytucji. Na początku zdobywał je rażno i przeskakując nieraz po dwa stopnie, a pod koniec, z lekkim uczuciem nienawiści odpoczywając co chwilę, aby uspokoić oddech. Każdy metr pokonywanej drogi budził nowe wspomnienia.

Ludzi pamiętał już trochę mniej, ale obecnie rotacja w Policji była olbrzymia, starzy odchodzili przy pierwszej nadarżającej się okazji, a młodzi często nie wytrzymywali nawet roku, gdy romantyczna wizja policjanta zostawała brutalnie zweryfikowana przez rzeczywistość. Niegdyś trzeba było być odpornym na durne procedury, nieskończoną papierologię oraz upierdliwych przełożonych, dziś dochodził do tego kompletny brak szacunku dla munduru, spadek zaufania do policji oraz ludzie, którzy nagrywali każdą interwencję i z lubością umieszczali swoje produkcje w internecie. Młodzi funkcjonariusze wystawiali się na pośmiewisko, bo brakło starych, którzy by im pokazali, jak wygląda policyjna robota. Obezwładnianie pozoranta na szkoleniu w Szczytnie nijak ma się do próby skucia naćpanego karka, rozrabiającego z kumplami w ogródku piwnym.

Może i ludzi nie poznawał, ale drzwi do pokoju, który nazywali „kanciapą”, nie się nie zmieniły. Jedyne pomieszczenie w Komendzie Miejskiej Policji w Jeleniej Górze, które było traktowane jako pokój gościnny, gdy przychodziło porozmawiać z kimś z zewnątrz. Złapał za klamkę, sapnął ciężko i zatrzymał się na chwilę. Czy nadal był u siebie? Wyciągnął z kieszonki chusteczkę, przetarł czoło z potu, gorący sierpień dawał się w tym roku wszystkim we znaki. Cały czas trzymając klamkę, zapukał, po czym dopiero wszedł do środka.

Pokoik był za mały na salę konferencyjną, mógł pomieścić raptem sześć osób, choć tym razem gościł tylko trzy: jego – emeryta, który zakończył karierę w służbach piętnaście lat temu na stopniu nadkomisarza, oraz dwóch policjantów będących na pierwszy rzut oka równolatkami koło czterdziestki, raczej bliżej piątego krzyżyka niż czwartego. Ryś zlustrował ich szybko, jak czynił to tysiące razy ze świadkami czy podejrzanymi; niepozorni, ogoleni, obydwaj ubrani w dzinsy i podkoszulki. Jeden z nich był wysokim chudzielcem, trochę żylastym, skromne mięśnie na bicepsach i przedramionach były napięte niczym sznury, najpewniej biegał albo jeździł dużo na rowerze. Czarne, bardzo starannie przycięte włosy, ciemna karnacja, lekki uśmiech na twarzy, który najczęściej widywało się u zatrzymanych zdających sobie sprawę, że policja gównem im może zrobić. Ten przedstawił mu się jako pierwszy.

– Komisarz Krzysztof Podyma. – Mężczyzna podał mu dłoń.

– Podkomisarz Łukasz Sukiennik – dodał drugi, niższy, ale i tęższy, można nawet powiedzieć, że otyły w tej pierwszej fazie nabierania wagi, gdy jeszcze nie przeszkadza w życiu, ale jest już dobrze widoczna. Nad spoconym czołem królowała czapa niepokornych włosów mocno już siwiejących, a pod nimi gościł bezczelny wyraz twarzy. Ot, dobrali się.

– Z? – zapytał Ryś, informując w ten sposób, że łatwo z nim nie będzie.

– Komenda Wojewódzka Policji we Wrocławiu – poinformował go wysoki. – Dolnośląskie Archiwum X.

– Elita – rzucił Ryś, siadając bez zaproszenia i od razu otwierając jedną z butelek wody mineralnej stojących na stole. Nie przedstawiał się, bo i po co. Skoro go wezwali, to doskonale wiedzieli o nim wszystko, może nawet i więcej, niżby sobie życzył.

– Płacą tak samo – odpowiedział niższy z policjantów, na co wszyscy zaśmiali się krótko, raczej z uprzejmości.

– No to miło już było – powiedział Ryś, odstawiając butelkę. – Czego chcecie? Zaczął wyższy.

– Dziękujemy, że zgodził się pan przyjść. – On także usiadł i upił łyk kawy z białego kubka, na którym sporo brązowych zacieków informowało, że nie była to pierwsza mała czarna tego ranka.

– Dziwne, jak stąd odchodziłem, to obiecywałem kolegom, że będę ich odwiedzał, wpadał na kawę, albo żeby wypić piwo i ich podenerwować, ale od tamtej pory byłem tu może ze trzy razy.

– Tym bardziej dziękujemy – odparł wysoki. – Potrzebujemy pana pomocy. Jak pan wie, nadkomisarzu...

– Bez takich – wszedł mu w słowo Ryś. – Ja w firmie nie jestem od piętnastu lat.

– Dobrze – pałeczkę przejął niższy. – Jednak my tu przyszliśmy do pana jako policjanta, a nie pana Jana, więc pozwolimy sobie używać stopnia służbowego.

Jan Ryś w odpowiedzi wyraził zgodę oszczędnym skinieniem głowy.

– Nie będę tutaj tłumaczył, czym się zajmujemy – dodał Podyma.

– Archeologią – wszedł mu w słowo Ryś. – Wykopujecie stare sprawy, które z jakichś powodów nie zostały rozwiązane. Mam takich sporo.

– Bez przesady – powiedział Sukiennik. – Ma pan jeden z najlepszych współczynn timer wykrywalności i to nie chodzi jedynie o ilość, ale po ich przejrzeniu trzeba też pochwalić jakość. Wszystkie duże sprawy o morderstwo dociągnął pan do końca.

– No niemal wszystkie – poprawił go Podyma.

– Tak – zgodził się jego kolega. – Jedyna nierozwiązana to sprawa o kryptonimie „Osada”.

Jan Ryś spochmurniał nieco, poruszył się niespokojnie na krześle, ponownie sięgnął po butelkę z wodą.

– Minęły czterdzieści cztery lata, o ile dobrze liczę – powiedział po chwili.

– Tak, dokładnie tyle.

– Szmat czasu – stwierdził Ryś. – Co tam się wydarzyło, że do niej wracacie?

Policjanci spojrzeli po sobie i bezgłośnie ustalili, że to wyższy wzrostem, ale i stopniem zajmie się wyjaśnieniem tego tematu.

– Jesteśmy na etapie selekcji spraw, a ta wydała nam się ciekawą zagadką – powiedział swobodnym tonem wysoki.

– I chcemy dopytać, jak wyglądał przebieg z perspektywy śledczego zajmującego się nią na bieżąco – dodał jego kolega.

– Tym bardziej że to była pana pierwsza poważna sprawa tutaj, w Jeleniej Górze – kontynuował Podyma. – Był pan też uczestnikiem tych zdarzeń, czyż nie?

Ryś spojrział na nich, postukał niemal pustą butelką po lewej dłoni, jak zwykli robić to swoją pałką policjanci patrolujący rewiry na amerykańskich filmach, i odchylił się wygodnie na krześle.

– Ale to jak? – zapytał. – Umawiamy się na prawdę i tylko prawdę, czy będziemy sobie wciskać jakieś gówniane historyjki?

– Historyjki? – zapytał niski zbyt szybko, aby jego czarnowłosego kolega zdążył go powstrzymać, co próbował uczynić, łapiąc go za ramię.



– No wy zaczęliście – odparł Ryś z szerokim uśmiechem. – Przestańcie mi tu pierdolić, że robicie jakąś selekcję. Nie uczcie starego wróbla z dachu srać.

– Teraz widzę, skąd te wszystkie rozwiązane sprawy – powiedział, siłąc się na luzny ton wysoki. – Wbudowany wariograf, co?

– Synku, to że jestem emerytem, nie znaczy, że mogę sobie tu siedzieć i pierdolić trzy po trzy – odparł Ryś, wstając z wysiłkiem z krzesła. – Ja mam siedemdziesiąt lat i został mi rok życia, a może i dwadzieścia, kto wie, z tym że każdy jest coraz trudniej przeżyć, bo nawet wyszczanie się przed wyjściem z domu to wyzwanie. Jak będę chciał posłuchać takiego słodkiego pierdolenia, to włączę sobie obrady sejmu, tam przynajmniej pośmiać się można z tych debili, a z was to mi jakoś tak głupio, bo jesteście fachowcy.

Policjanci spojrzeli po sobie tym samym wzrokiem, który Ryś zdążył już skatalogować w swoim umyśle jako „cicha narada”.

– No dobra – zaczął wysoki, na co jego kolega sięgnął do skórzanej teczki stojącej do tej pory na krześle obok niego. – Nie skłamałszy tak całkowicie, bo naprawdę nie wiemy, czy ruszymy tę sprawę. Musimy znać odpowiedź na pytanie, czy pamięta pan wydarzenia z grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku, bez tego nie ma po co w ogóle siadać do roboty.

Ryś spojrział na nich, wyczuwając swoimi starymi, policyjnymi zmysłami napięcie dwóch śledczych. Nadal kłamali, a to oznaczało, że coś wiedzieli, musiało się coś wydarzyć, może nawet znali już prawdę i liczyli, że zasłoni się niepamięcią. Chcą grać w grę? Proszę bardzo, on robił to przez czterdzieści pięć lat, z chęcią się pobawi.

– Czy pamiętam? – zapytał, ponownie siadając. – Koledzy, to była najgorsza zima w moim życiu. Tego się, kurwa, nie da zapomnieć.

Napięcie z nich zeszło. Na stole wylądowała dobrze mu znana teczka z aktami sprawy.

## ROZDZIAŁ 3

*Jasiek*

*Rok 1978*

Drzwi otworzyły się lekko, widocznie dziadunio zdążył je nasmarować łojem, zanim mrozy nadeszły. Do chaty wtargnęło zimne powietrze bijące w twarz, aż piekło. W progu natomiast stał nie demon, lecz młody mężczyzna okutany w kurtkę i czapkę uszankę, z nosem zaczerwienionym od mrozu i oczami łzawiącymi od wiatru. Wszedł, nie czekając na zaproszenie, na co od razu ustąpiłem mu miejsca.

– Niech będzie pochwalony, babko – powiedział na powitanie, zrzucając z ramienia wielki brezentowy plecak.

– Jaśko? – zapytała babka czujnie, jakby nie od razu poznała gościa. – Rany boskie, kiedyż ja ciebie widziała?

– Będzie kilka lat.

Babka żwawo wstała z krzesła i ruszyła w stronę gościa, a następnie dała się wziąć w ramiona i uściskać oraz pocałować mocno w dwa policzki.

– To twój stryjek – powiedziała z uśmiechem w moją stronę. – Janek. Pamiętasz go? Ryby cię uczył łapać w rzece.

– Jak ma pamiętać? – odpowiedział gość, rozpinając kurtkę, a potem odwijając z szyi wełniany szalik w kratę. – Straszny był z niego srajda, gdy wyjeżdżałem. Ile masz teraz lat, Michałku?

– Osiemnaście.

– No to dorosły mężczyzna już jesteś – stwierdził stryj, podając mi prawicę, którą uściśnałem najmocniej, jak potrafiłem. – Tyle samo miałem, jak stąd wyjeżdżałem. To ty wtedy miałaś z dziesięć lat.

No nie pamiętałem stryja Jana, chociaż wysilałem głowę, jak tylko mogłem, starałem się przypomnieć sobie to łowienie ryb wspomniane przez babkę, ale nic z tego.

– Jak dobrze, że jesteś. – Babka z radości aż kiwała się na boki. – Taka niespodzianka na święta, taka niespodzianka. Leć, Michałku, po ojca i mu powiedz, kto przyjechał, a ja kolację szybko jaką zrobię. No leć!

Założyłem pośpiesznie kurtkę i ruszyłem do drzwi, aby zgodnie z prośbą powiadomić moich rodziców o niespodziewanym gościu, ale stryj zatrzymał mnie tuż przed progiem.

– Czekaj, młody – powiedział ciepłym, acz nieco zasadniczym głosem. – Mam coś dla ciebie, bo tak myślałem, że ty już poważny gość jesteś.

Wyciągnął w moją stronę dłoń, w której spoczywał nieduży czarny przedmiot. Wziąłem go z lekkim ociąganiem, wszak to nie był jeszcze czas prezentów, dopiero w Wigilię ojciec miał postawić choinkę, którą przybierzemy ładnymi ozdobami. Przedmiot wręczony przez stryja to był szczyryk, z rękojeścią z brązowego drewna, ładną i dobrze wypolerowaną. Oczy mi się zapaliły, co chyba nie uszło uwadze ani babki, ani nowego gościa, bo nóż był piękny, a co najważniejsze, pachniał wręcz nowością. Rozłożyłem go z cichym szcękaniem zapadki umieszczonej gdzieś w środku i mogłem od teraz ruszać w świat z nożem o zakrzywionym ostrzu, długim niczym moja dłoń.

– Dziękuję! – wyrzuciłem z siebie, jakby w obawie, że jeśli nie zachowam się jak należy, to stryj natychmiast zabierze swój podarek. Ale tego nie zrobił, przez chwilę miałem wrażenie, że poczochna mnie po czuprynie, jak to często robią starsi, ale nie, uderzył mnie mocno w ramię, po męsku.

– Niech ci służy wiernie – powiedział. – Każdy mężczyzna powinien mieć nóż. Niegdyś dawano młodemu miecz, potem szablę, a teraz już tylko nóż wolno.

Dwie godziny później siedziałem z moimi przyjaciółmi w stodole starego Brysia, która od jego śmierci stała opuszczona, tworząc tym samym idealne miejsce spotkań, i chwaliłem się szczyrykiem. Brzuch był przyjemnie pełny, bo z okazji przybycia niespodziewanego gościa babka i matula nagotowały gałuszek, które suto posypały ciepłym białym serem, polały miodem i zaprawiły mielonymi orzechami. Zwyczajowo z takiej okazji na kluskach pojawiłby się wędzony boczek, dobrze podsmażony i przez to pachnący jak wszystkie bogactwa tego świata, jednak posiłek musiał być postny, wszak mieliśmy Adwent.

Stryj Jan zrobił nie tylko niespodziankę swym przybyciem, ale także nie pojawił się z pustymi rękoma i ze swego przepastnego brezentowego plecaka, który zdawał się nie mieć dna, począł wyjmować wiktuały, od których aż ślina ciekła. Grube pęta lśniącej kiełbasy, baleron jak ramię siłacza, kulę szynki podobną do piłki, którą na boisku podawali do siebie Deyna, Żmuda, Lubański i Boniek, dwa wędzone półcie boczku, pasztetową niemal wyrrywającą się z kiszki i kilka świńskich nóżek na galarecie. No nie dość, że gość miły, to i z takim zaopatrzeniem, istny skarb na święta. Jednak dla mnie najważniejszy był nóż, którym właśnie chwaliłem się kolegom.

– Gerlach – powiedział ze znanstwem Przemek, wskazując palcem nieduży napis na klindze scyzoryka. Chłopak czytał dużo książek, głównie o Indianach i kowbojach, więc na broni znał się najlepiej z nas wszystkich.

– Porządna firma, nie ma co – przyznałem mu rację.

– No, prezent jak się patrzy – dodał Mietek, ważąc scyzoryk w dłoni. – A jaki ostry!

– Fajny ten stryj – dodał Przemek. – Ale go nie pamiętasz?

– Nic a nic – odpowiedziałem. – Staram się coś tam wymyślić, ale pusto. Podobno na ryby z nim chodziłem, ale nie pamiętam, za Chiny Ludowe.

– Może to jakiś przebieraniec? – zapytał Mietek.

– Gdzie tam – odparłem ze śmiechem. – Babka go od razu poznała. Wszyscy go pamiętają, tylko nie ja.

– No to mam coś na poprawę pamięci – oznajmił Przemek, wygrzebując małą kankę na mleko z siana wciąż leżącego w stodole starego Brysia. – Ojcu spuściłem z aparatury.

– Nie zorientuje się? – zapytałem z obawą, bo jego ojczulek robił co prawda najlepszą księżycówkę w okolicy, ale rękę miał ciężką jak cholera.

– Gdzie tam! – stwierdził mój przyjaciel z przekonaniem. – Dziś sprawdzali z wujkiem Stachem, czy dobrze przefiltrowana, i tak się napruli, że posnęli na krzesłach.

Przemek odemknął kankę, każdy z nas złapał swój aluminiowy kubek, które swego czasu tu przynieśliśmy, i podstawił do napełnienia. Mietek odwinął lnianą ściereczkę i podał każdemu po kawałku ciemnego chleba. Kiedyś przeczytał w gazecie, że znawcy pijają bimber tak, że należy powąchać chleb, potem wypić, co jest w kubku, i od razu zakąsić powąchaną pajdą.

Powąchaliliśmy, wypiliśmy, zagryźliśmy. Łzy poszły nam z oczu, bo ojciec Przemka zmajstrował przedni trunek. Nie ma co, przefiltrowany był porządnie.

– A nie boisz się tak pić przed spotkaniem z ukochaną? – zapytał mnie Mietek. – Pomyśli, żeś moczymorda, i gotowa cię zostawić.

Zazdrościł mi Alicji, zresztą nie on jeden, ale cóż miałem zrobić, w tym wieku już ważniejsze były miłości niż przyjaźnie.

– Gdzie tam – odparłem. – Sama lubi wypić, chociaż woli wino, najbardziej z malin. Nawet jak sobie golnie szklankę lub dwie, to się robi rozgadana i wesołutka.

– No to jeszcze po jednym – zarządził Przemek. – Na gadane.

– I pewnie się z nią ożenisz? – zapytał Mietek, podstawiając kubek. – A mówię, że chcesz do wielkiego miasta. Tak jak ten twój stryjek, co?

– W naszym wieku był – powiedziałem. – Matka mu zmarła, jak był mały, a ojciec, czyli brat mojego taty, na zawał umarł kilka lat potem, to on wziął, co po nich zostało, i wyjechał do miasta.

– To jaki on stryj dla ciebie? – zdziwił się Mietek, ocierając oczy po bimbrze. – Kuzyn.

– Ale mówią wszyscy stryjek, to i już tak zostało.

– I kim on został w tym mieście, co? – zapytał Przemek.

– Milicjantem – odparłem z pewną dumą.

– Ulala – skomentował Mietek i aż zagwizdał z wrażenia. – Pan dzielnicowy?

– Nie takim – odpowiedziałem od razu. – Jest w wydziale od łapania poważnych przestępców, w kryminalnym. Mówi, że takie miał dobre wyniki w szkole, że go od razu zabrali do takiej jednostki. Na początku w Warszawie, ale teraz przenieśli go do Jeleniej Góry, od stycznia zaczyna i dlatego przyjechał do nas na święta.

– Mocna rzecz – skomentował zarówno opowieść, jak i trunek Przemek i ponownie napełnił nasze kubki.

Oj dobry to był bimber, nie ma co. Język już kołowaciał, ciepło się od środka robiło, bo pomimo że stodoła starego Brysia była wypełniona sianem, to niezbyt dobrze chroniła przed zimnem.

– Zdrowie stryjka – zarządził Mietek. – Może przyjdzie kiedyś i opowie kilka historii o mordercach i trupach.

Zamilkł, a nas aż wyprostowało, bo przez mroźne powietrze przetoczyło się wycie. Zaczynało się piskliwie, potem rosło i trwało smętnie przez długie sekundy, aż cichło, do momentu, gdy człowiek nie wiedział, czy to wyje ktoś jeszcze, czy już skończył.

– Jezus Maria, Alicja miała tu przyjść! – rzuciłem, zrywając się na równe nogi.

Serce waliło mi niczym kowalski młot o kowadło, krew szumiała w uszach, ale nawet mimo to usłyszałem wycie, które ponownie zawisło nad naszą osadą.

# ROZDZIAŁ 4

## *Kłótwa*

*Rok 2023*

Nóż marki Gerlach, składany, z drewnianą brązową rękojeścią. Pamiętał, co miał nie pamiętać, zabrał go jakimś gówniarzowi ubranemu w podarte ciuchy na dworcu. Nie mógł wpaść na to, co sprezentować kuzynowi, a ten brudas z nożem spadł mu jak z nieba. Albo, jak się potem okazało, z piekła.

– Spis dowodów rzeczowych z miejsca zbrodni uwzględnia ten nóż – oznajmił komisarz Krzysztof Podyma. – Został sfotografowany, powinien znajdować się w materiale dowodowym, ale pozostała po nim jedynie wzmianka.

– Jak i po zdjęciu – dodał jego kolega.

– Wiemy tylko, że był. Zero innych śladów.

– Zresztą jak niemal po wszystkich przedmiotach, które trafiły do magazynu dowodowego. Mamy ich spis, ale to jedyne, czym dysponujemy.

Jan Ryś wzruszył ramionami. Upił łyk kawy, aby dać sobie czas na spokojną i przemyślaną odpowiedź. Namówili go na kawę, chociaż za nią nie przepadał, jednak powolne popijanie z kubka przed udzieleniem odpowiedzi strasznie irytowało przepytującego. Przesłuchał w życiu tysiące ludzi, począwszy od świadków, na ciężkich kryminalistach kończąc, i doskonale wiedział, jak wyprowadza się ze strefy komfortu osobę po drugiej stronie.

– Czterdzieści pięć lat, panowie – powiedział w końcu. – Cóż mam wam powiedzieć? Ja nigdy nie zajmowałem się sprawami tak starymi, więc nie wiem, czy taki stan rzeczy jest normą czy też to anomalią. Raz chciałem wrócić do sprawy morderstwa cinkciarza spod Bolesławca, on działał we Wrocławiu, potem przeniósł się do Jeleniej. Okazało się, że jego sprawa zniknęła, bo jak palono w osiemdziesiątym dziewiątym akta esbecji, to przy okazji zlikwidowano całkiem sporo dokumentacji dotyczącej także spraw niepolitycznych. Potem jeszcze powódź we Wrocławiu w dziewięćdziesiątym siódmym, która też sporo szkód narobiła, może to poginęło? Tam był przecież główny magazyn archiwum.

– Może i tak – zgodził się Podyma, chociaż w jego głosie nie było za grosz przekonania.

– Na szczęście uchował się dziennik z magazynu dowodów – poinformował niższy z policjantów, chyba nazywał się Sukiennik. Ryś nie miał już tak dobrej pamięci do nazwisk jak kiedyś.

– I coś tam jest ciekawego? – zapytał.

– Zależy, jak patrzeć – odparł wyższy z funkcjonariuszy. – Po pierwsze nie ma wzmianki o żadnych przenosinach pudeł z aktami czy dowodami. Nie ma protokołów zniszczeń ani nic z tych rzeczy. Wszystko zostało do roku dwa tysiące dziesiątego tutaj, a potem dopiero pojechało do Wrocławia. Powódź nie wchodzi w grę.

– Sprawdziliśmy archiwum i znaleźliśmy te kartony z dowodami – dodał jego kolega.

– Tylko że puste – oznajmił Podyma. – Nie ma niczego oprócz akt, które były trzymane osobno, ale tutaj też część papierów zaginęła. Mamy tylko zeznania świadków, w tym pańskie. Z materiału dowodowego nie został nawet strzęp.

– Wypadek w transporcie? – podsunął Ryś.

– Możliwe – odparł Sukiennik.

– Dodatkowo o tej sprawie nikt nie chce mówić – dodał Podyma. – Co do trzemy do świadka, to albo nie wie, albo nie pamięta, i niemal każdy mamrocze coś o kłątwie.

– No tak, kłątwa. – Ryś skinął głową. – To było wtedy w modzie, stąd takie gadywanie.

– Nie rozumiem – odparł Podyma.

– Pięć lat wcześniej otwarto na Wawelu grób króla Kazimierza Jagiellończyka – powiedział Ryś. – Sprawa była głośno komentowana w mediach, szczególnie że ludzie biorący udział w tych pracach poczęli umierać w dziwnych okolicznościach, głównie na wylew lub zawał. Z tego, co pamiętam, to w ciągu dziesięciu lat zmarło piętnaście osób zaangażowanych do otwarcia i przebadania królewskiego grobowca. Już po pierwszych zgonach zaczęła się medialna kariera „kłątwy Jagiellończyka”. Temat był nośny i głośny, a tak się złożyło, że przy tej sprawie – tu wskazał palcem na szare teczki leżące na stole – zawału dostał technik, który jako pierwszy badał miejsca zbrodni.

– Ciekawe – wtrącił Sukiennik.

– Bzdury. – Ryś machnął lekceważąco ręką. – Palił dwie paczki klubowych dziennie i chlał najtańszą wodę, miał nadwagę. Potem jeszcze wpadła pod samochód pani psycholog, która rozmawiała z dziećmi z osady, i utonął jeden z kolegów z wydziału, który pomagał w sprawie. Ale ten też wybrał się w nocy popły-

wać nawalony jak stodoła, żeby przetrzeźwieć do rana. Ale ludziska zaraz, że kłątwa.

– No i tu się zgadzamy – powiedział Podyma. – My też w żadne kłątwy nie wierzymy. Chociaż do spraw tych tajemniczych śmierci wrócimy później.

– Nam to wygląda na celowe działanie – dodał jego kolega. – Trudno tylko stwierdzić czyje.

Ryś wzruszyła ramionami i sięgnął po kubek z kawą.

– Wszelkie rejestry informują, że po zamknięciu sprawy kompletnie nikt się nią nie interesował – oznajmił Podyma. – Nie było najmniejszych prób wznowienia śledztwa, nie zachowała się nawet wzmianka o tym, aby jakiś dziennikarz prosił o dostęp do materiałów, co jest o tyle zastanawiające, że to przecież wymarzona sprawa do umieszczenia w spisie największych nierozwiązanych zagadek polskiej kryminalistyki. No i jeszcze ta kłątwa na dodatek, smakowity kąsek.

Ryś spojrział na nich, starając się zachować kamienny wyraz twarzy. Dopił swoją kawę i odstawił spokojnie kubek; teraz ważne było ustalenie, czego oni właściwie od niego chcą. Zdradzili się, że przepytali już sporo osób, czyli nie prowadzili żadnej selekcji spraw, oni już nad nią poważnie pracowali, a co za tym idzie, wyciągnęli wnioski i mieli plan działania. Każdy policjant doskonale wie, że zarówno sprawa włamania do blokowej piwnicy, jak i seryjnego mordercy mają jeden wspólny mianownik: zaczynają się w momencie, gdy śledczy wiedzą, jakie pytania postawić. Oni już wiedzieli.

Postanowił wyjść przed szereg i zaproponować im to, czego w obecnej sytuacji powinni chcieć od uczestnika dawnych wydarzeń dwaj śledczy. Od takiego uczestnika, który przecież prowadził tę sprawę.

– Nie pomogę – zaczął spokojnym głosem. – Wiem, że wielu policjantów kopiuje na własny użytek akta sprawy, którą prowadzą, ja zresztą też tak wiele razy czyniłem, ale to jeszcze nie były czasy, gdy kserokopiarki były dostępne w każdym urzędzie. Czy mogłem to zrobić później? Pewnie, że tak, nawet może i chciałem, ale jak sami widzicie z rejestrów – tu wskazał palcem na leżące przed nim przygotowane przez policjantów kopie wspomnianych przez nich zapisków – nigdy tego nie zrobiłem.

– A dlaczego pan nigdy nie wrócił do tej sprawy? – zapytał Podyma.

– Odpowiedź na to pytanie jest akurat bardzo prosta – powiedział. – Nie zaistniały okoliczności, które mogłyby wprowadzić do sprawy cokolwiek nowego. Nic, żaden nowy świadek, plotka, strzęp informacji przy innym dochodzeniu.

– Można było przebadać ślady biologiczne przy pomocy nowych metod – podsunął Sukiennik.



– Pewnie tak – zgodził się Ryś. – Ale to jest tak, że zawsze było coś pilniejszego do roboty. Okres transformacji to... wiecie sami, jak było, każdy bał się o robotę. Ja na szczęście nigdy do politycznych zadań nie byłem delegowany, toteż spałem spokojnie. Potem pojawiło się bezrobocie, a więc i wzrost przestępczości, dodatkowo te wszystkie mafie. Było tyle roboty, że człowiek przychodził rano do pracy i znajdował na biurku pięć nowych teczek ze sprawami.

– I nikogo ta sprawa nie interesowała? – nie dowierzał Sukiennik.

Ryś spojrział na nich z kpiącym uśmiechem, najpierw na wyższego, chwilę potem na niższego.

– Koledzy – zaczął. – Ja myślałem, że w dolnośląskim Archiwum X to pracują najlepsi z najlepszych, tacy, co to im nie trzeba tłumaczyć takich pierdół. No dajcie spokój. Kto by chciał odkopywać sprawę, w której wszyscy świadkowie mówią jednym głosem, że za morderstwa odpowiada ludowy czy tam słowiański demon, Mara. I nie ma nawet cienia poszlak wskazującego na innego sprawcę. Taką sprawę można przyrównać do odbezpieczonego granatu albo taczki gówna. I to jeszcze za czasów Polski Ludowej? Serio? Nawet dziś nikt by tego szamba nie chciał. Ucięto to natychmiast, zakopano, nie pisano nawet w lokalnej prasie, wtedy władza ludowa miała narzędzia, aby na dziennikarzach pewne rzeczy wymóc.

– Sprawdziliśmy i to miało być nasze kolejne pytanie – stwierdził Sukiennik. – Nie ma w lokalnych gazetach nawet wzmianki.

– Otóż to – zgodził się Ryś. – I dokładnie z tego powodu sprawę dostałem ja, jako świeży w jednostce. Od samego początku było wiadomo, że jakkolwiek przełom w śledztwie to będzie cud, a w cuda w PRL-u tym bardziej nie wierzono.

– A nie dlatego, że był pan uczestnikiem zdarzeń? – zapytał wyższy.

– To też.

– Właściwie powinowactwo z ofiarami i świadkami powinno pana wykluczyć z czynności – stwierdził Sukiennik.

– Dziś pewnie tak by się stało, ale wtedy? – Ryś machnął ręką. – Dajcie spokój. Wszyscy z radością kopnęli mnie w dupę we właściwym kierunku, a gdy dziewięć miesięcy później przedstawiłem wniosek o umorzenie śledztwa, prokurator podpisał jeszcze przy mnie, nawet zaskarżyć nie było komu. Amen.

– A dowody? – zapytał Podyma.

– A tego to ja już nie wiem.

W pokoju zwanym w komendzie kanciapą zaległa cisza; wyższy z policjantów podszedł i otworzył okno, przez które wleciały do środka świeże powietrze oraz odgłosy gruchających gołębi.

– I pan także uważa, że to była Mara, ten demon czy tam upiór? – przerwał ciszę Sukiennik.

– Ja? – zapytał Ryś, rozsiadając się wygodnie na krześle, aż zatrzeszczało oparcie. – Nie znam przypadku w polskiej, czy nawet światowej kryminalistyce, gdy postawiono przed sądem demona.

Uwierzą? Spojrzał na ich poważne miny i miał pewność, że łatwo nie będzie.

## ROZDZIAŁ 5

### *Alicja*

*Rok 1978*

Czekaliśmy, aż wycie ucichnie, jakby ten ponury odgłos blokował możliwość wyjścia ze stodoły, jakby zawodzący dźwięk stanowił barierę nie do przejścia. Ileż to może trwać, do jasnej cholery, co to za stwór, który tak długo potrafi wyc?

Cisza.

– To wilk? – zapytał Mietek.

– Brzmiało jak wilk – ocenił Przemek.

– Raczej pies – odpowiedziałem, czując, jak mimo ciszy wcale się nie uspokojam, a wręcz przeciwnie, do głowy wpadają mi różne obrazy, co jeden to gorszy, a w każdym widzę rozszarpane ciało Alicji leżące na środku wioski, z odgryzionymi powiekami, śladami zębów i szponów na jej piersiach.

– Racja – zgodził się Mietek. – Wilk by nie zszedł do osady, a to brzmiało, jakby bydlę siedziało na którejś z chałup.

– Chodźcie! – rzuciłem w ich stronę, nie wdając się w zbyteczne konwersacje. Co to miało za znaczenie – czy wilk, czy nie?

Wypadliśmy ze stodoły i mroźne powietrze uderzyło nas w twarze. Ruszyliśmy przez naszą osadę, prowadzeni pamięcią ścieżek wydeptywanych za dnia i nikłym światłem wąskiego księżyca. Żadne z okien nie biło mocnym poblaskiem elektrycznego światła, blade światło świec i lamp dawało efekt, jakby chałupy przymrużyły zmęczone oczy i miały zamiar udać się na spoczynek.

Nagle się zatrzymałem, co było sygnałem dla moich przyjaciół, bo ich kroki także umilkły, za to ciszę nocy wypełniły ciężkie oddechy. W tej niewdzięcznej ciemności dostrzegłem jakiś ruch, który natychmiast mnie zaalarmował. Jeszcze wczoraj szedłbym nadal prosto, bo i kogóż można u nas spotkać, ale przez to wycie poczułem się jak w obcym miejscu, na terenie łowieckim jakiegoś drapieżnika, może nawet i lwa, o którym czytałem we *W pustyni i w puszczy*.

– Coś idzie – wyszeptalem i usunąłem się pod ścianę domu Kapiców, a dwójka kompanów uczyniła to samo.

Pech chciał, że schowaliśmy się za rogiem chałupy i nawet za dnia dostrzeżenie nadchodzącego przeciwnika byłoby trudnym zadaniem.

– Wychyl głowę za róg – wyszeptał Mietek.

Przełknąłem ślinę. Ja bym to zrobił, tylko obleciał mnie strach. Przypomniał mi się film, na który udało nam się pojechać do miasta z chłopakami. To był pierwszy horror, jaki widziałem w życiu, miał tytuł *Halloween* i opowiadał o psychopacie, który mordował w spokojnym amerykańskim miasteczku. W osadzie jak nasza. Jeśli wystawię głowę za róg domu, to czy nie spadnie na nią wielki nóż? Albo siekiera.

Kroki, które jeszcze przed chwilą słyszeliśmy, ucichły. Zapadła cisza, przynajmniej tak bym chciał, bo nasze ciężkie oddechy zagłuszały mi wszystko i jeśli ta upiórzyca, Mara, jak nazwał ją dziadunio, faktycznie tam jest i idzie w naszym kierunku, chce sięgnąć po nasze życia, to słyszy nas z daleka.

Moi przyjaciele chyba zrozumieli to samo, bo każdy nagle zaczął za wszelką cenę walczyć z tym, aby uspokoić swoje płuca i serce.

Udawało się.

W końcu można było wsłuchać się w noc i modliłem się, aby nic teraz nie zaczęło wyć, bo gałuszki z serem i miodem wyskoczą mi z gardła same.

Nóż! Przypomniałem sobie o szczyryku i sięgnąłem po niego do kieszeni, jednocześnie nie spuszczać wzroku z narożnika domu. Zacząłem otwierać ostrze, ale sprężyna była nowa i trzymała twardo, a moje palce były już nieco zgrabiałe z zimna, ciepłe rękawice zostały przy kance z bimbrem.

Nóż z cichym pacnięciem spadł mi pod nogi.

Wtedy wyskoczyła na nas zza rogu.

– Bu! – krzyknęła Alicja, jej blond warkocze nieschowane pod czapkę zafurgotały w powietrzu, a szeroki uśmiech i rumiane policzki zaśniły w delikatnym świetle księżyca.

– Ja pierdole! – krzyknął Mietek, łapiąc się za serce.

– Kurwa mać! – dodał Przemek. Oparł się o ścianę domu i wypuścił głośno powietrze. – Zawału można dostać.

– Aleście się obsrali! – zawołała wesoło, od razu całując mnie w policzek. – Co się tak skradacie po wsi, jak partyzanci jacyś?

– A ty co tak łazisz sama po nocy, co? – odparł zaczepnie Przemek. – Życie ci niemiłe?

– Co? – zdziwiła się. – A co mi tu się może stać? Oszalałeś?

– Nie słyszałaś tego wycia? – zapytałem.

– Czego?

– Coś wyje w osadzie, kolejną noc – wyjaśnił Mietek już nieco spokojniejszym głosem.

Alicja popatrzyła na naszą trójkę z namysłem, przesuwała wzrok od jednego do drugiego, na samym końcu patrząc na mnie, jakby rzucała wyzwanie. Jakaż ona była piękna w tym delikatnym świetle księżycy, blond warkocze spadające na plecy, kształtna twarz i pełne usta, błękitne oczy, których koloru oczywiście w nocy nie szło zobaczyć, ale ja je znałem i wiedziałem, że tam są i patrzą na mnie z miłością, chociaż może teraz z lekkim powątpiewaniem. Piękna. Sam nie umiałem pisać wierszy, ale doskonale rozumiałem, co kierowało poetami, że spotykając się z tak niezmiernym, absolutnie obezwładniającym i wypierającym z głowy inne myśli widokiem, musieli usiąść nad kartką i zacząć głowić się nad rymami, aby nie uchybić czytającemu, przenieść go dokładnie w ten czas i to miejsce, postawić go przed identycznym widokiem, jaki natchnął ich do pisania.

– Mam takiego wuja w Warszawie, Andrzeja – powiedziała z nutką kpiny w głosie. – On mawia: nie strasz, nie strasz, nie się zesrasz.

– Naprawdę niczego nie słyszałaś? – zapytał Mietek.

– Jak babcię kocham – odpowiedziała. – Ale teraz to mnie jednak lekko przestraszyliście. Chodźcie do stodoły, zagrzejemy się, bo zmarzłam. Mam nalewkę na wiśniach, dostałam od babki Pankowej za zakupy z miasta.

Ruszyliśmy w drogę powrotną, dosłownie dwa kroki dalej zatrzymałem się i wróciłem na miejsce naszego spotkania po scyzoryk, który nie zdążył posłużyć mi jako broń. Może i dobrze, gdybym stał tam z ostrzem na wierzchu, kto wie, co mógłbym zrobić ze strachu, gdy Alicja na mnie wyskoczyła. Woląłem o tym nie myśleć, podbiegłem do przyjaciół i ruszyliśmy przez zatopioną w mroku osadę.

Nic nie wyło, ale może to i dobrze, bo ta noc okazała się jedną z najpiękniejszych w moim życiu.

Dostałem dziś jeszcze jeden prezent. Gdy dopiliśmy biber, nie zostało go wszak dużo, a potem poradziliśmy sobie z wiśniówką, Alicja zaczęła się do mnie przytulać, smyrać mnie nosem po policzku, gładzić po kolanie. Koledzy natychmiast zrozumieli powagę sytuacji.

– Rano muszę z ojcem po choinkę do lasu jechać – stwierdził Mietek. – W dodatku inna robota czeka, a matka, jak to przed świętami, szalu dostaje ze sprzętaniem. Pewnie będę musiał trzy razy okna myć.

– Ja też idę – dodał Przemek. – Ma rano przyjechać po pierogi jakiś facet z miasta. Obiecałem, że pomogę lepić.

– Widzimy się jutro na pasterce? – zapytał Mietek.

– Tak, jak co roku idziemy razem – odpowiedział mu Przemek.

Nie skomentowałem, bo usta już miałem zajęte. Moja dziewczyna, a miałem nadzieję, że wkrótce narzeczona, a zaraz potem żona, wpiła się we mnie, jakby chciała odnaleźć na moim języku smak wypitej wiśniówki. Chciałem coś powiedzieć, ale nie pozwoliła mi. Uwielbiała mnie całować, a ja pieścić jej piersi, które były duże i ciężkie, aż chciało się w nie wtulać niczym w ciepłą pościel w zimny poranek.

Utonąłem w tym ciepłe, w tej bladej skórze, tak cudownie pachnącej, że już nie chciało się innych aromatów na świecie, od tej pory wszystko mogło mieć zapach mojej ukochanej, poranna kawa, świeżo upieczony chleb, bez kwitnący wiosną w naszym ogrodzie, truskawki zbierane latem za domem, wrzos jesienią i świąteczny piernik zimą.

– Zimno mi – wyszeptła i to było najpiękniejsze kłamstwo, jakie dane było mi słyszeć, gdyż jednocześnie rozpięła stanik i jej piersi spadły na mnie niczym osiem błogosławieństw, a gdy jej ręce, zazwyczaj błędzące po mojej klatce, czasem tylko zapędzające się na brzuch, zeszły odważnie w dół między moje nogi niczym lawina z majaczącej gdzieś tam w ciemności Śnieżki, namiętność porwała moje wszystkie zmysły niczym fala śniegu nieostrożnego turystę.

Gdy leżała już naga, biło od niej ciepło mogące ogrzać chyba cały świat, stopić lodowce i sprowadzić przez to na świat potop, który nie zajmie się grzesznikami, lecz tymi, którzy nie wierzą w miłość.

Ja wierzyłem, gdy kładłem się na niej, odnajdując ustami jej spragniony pieszczoł język, dłońmi piersi unoszące się niczym fale ciepłego, ogarniętego sztormem morza i w końcu pośladki, twarde, lecz gorętsze od wulkanu.

Tysiące razy wyobrażałem sobie ten moment, umierając ze strachu, że nie będę wiedział, co robić, jednak wszystkie obawy uciekły precz, spłoszone jej pewnością i wspólną namiętnością buchającą takim ogniem, że zacząłem obawiać się o stodołę starego Brysia, czy aby nie stanie w płomieniach.

Ocalała, mimo naszej dwójki tarzającej się w pachnącym jesienią sianie, jęczącej z rozkoszy i spełnienia. Mogły w tej chwili wyć i wszystkie upiory świata, my słyszeliśmy tylko siebie i do tego świata nikt nie miał wstępu.

– Nadal ci zimno? – zapytałem, gdy już leżeliśmy przykryci kocem, który tu swego czasu przytargał Przemek.

– Już nigdy mi nie będzie zimno – odpowiedziała głosem, który zastępował mi wszystko, co można na świecie usłyszeć.

– Słyszałaś taką piosenkę w radiu? – zapytałem. – O tym, żeby wsiąść do pociągu byle jakiego i nie dbać o bagaż czy o bilet. Patrzeć, jak wszystko zostaje

w tyle.

– No cały czas ją grają. Hit!

– Chciałbym tak.

– Wyjechać z osady?

– Tak.

– Ja też – powiedziała i w mojej głowie zaśpiewały chóry anielskie. – Wuj z Warszawy mówi, żebym do niego przyjechała. Jest lekarzem i mówi, żebym szybko skończyła studium pielęgniarstwa, a jeśli chce mi się uczyć, to mi pomoże w studiach medycznych.

– Zostałabyś lekarzem?

– Chciałabym pomagać ludziom, a najbardziej dzieciom.

Nie odpowiedziałem, jej mały braciszek zmarł kilka lat temu w środku zimy na zapalenie płuc. Lekarz nie zdążył z miasta, bo śnieg zasypał nam wieś na kilka dni.

– Piękne marzenie – powiedziałem po chwili. – Będziesz świetnym lekarzem, najlepszym.

– Tak myślisz?

– Jasne.

– A ty kim chciałbyś zostać w takim dużym mieście?

– Milicjantem – odpowiedziałem bez namysłu i sam się zdziwiłem. Jeszcze wczoraj by mi to przez myśl nie przeszło, ale to był chyba wpływ wizyty stryja. Pomacałem kieszeń, nóż spoczywał na swoim miejscu.

– Ty byś łapał przestępców, ja leczyła dzieci – powiedziała rozmarzonym głosem. – W wielkim mieście. Chodzilibyśmy do kina, teatru, może do opery. Nigdy nie byłam w operze.

– Tam można robić wszystko – zgodziłem się.

– Zatem wyjedźmy – powiedziała i w tej propozycji nie było cienia rozmarzenia, lecz sama stanowczość.

– Tak. Tam jest przyszłość – stwierdziłem.

I nie ma tam żadnych demonów wyjących po nocach, dodałem w myślach. Byłem tego pewien.

## ROZDZIAŁ 6

### *Kiedyś to były święta*

*Rok 2023*

Serce zaczynało mu galopować w piersi i dlatego właśnie Jan Ryś nie przepadał za kawą. Uwielbiał jej smak, ale był niezwykle czuły na kofeinę, która nawet w małej ilości powodowała u niego *herzkleoty*. Zresztą zdał sobie bardzo wczesnie sprawę, że jest podatny na wszystko co złe. Gdy zaczął palić papierosy, to odpalał jednego od drugiego i zaczął bardzo szybko mieć problemy z oddychaniem, rzucił więc to cholerstwo, a nie było to takie proste w latach siedemdziesiątych, gdyż palono wtedy właściwie wszędzie, nawet w urzędach, co było dziś nie do pomyślenia. W każdej restauracji unosiła się sina chmura gryzącego dymu i dla niepalącego nawet wypad na szybki obiad był wyzwaniem.

Bardzo polubił także wódkę i abstynentem został jeszcze szybciej, niż rzucił palenie. Najgorsze było to, że gorzałka mu po prostu smakowała, a gdy poczęstowano go whisky, to wręcz oszalał z zachwytu. Otrzeźwienie, w sensie metaforycznym, jak i bardzo przyziemnym, przyszło po tej jednej feralnej nocy, gdy obudził się w nieswoim mieszkaniu, bez spodni, z damą wielce wątpliwej proveniencji i urody przy boku i kompletnie bez pieniędzy. Bez żalu i wyrzutów sumienia zabrał pierwsze lepsze spodnie z szafy gospodarza, którego nie był nawet w stanie ustalić, wyszedł z mieszkania i nie dotknął więcej kieliszka. Pozwalał sobie tylko na piwo, bo to szybko go syciło i nie potrafił wypić więcej niż trzech z rzędu.

Ta stanowczość i zdeterminowanie stały się jego znakiem rozpoznawczym i wszyscy współpracownicy doskonale wiedzieli, że jak coś postanowi, to z raz obranej drogi nie zawróci go żadna siła. Była to po części wada, ale dzięki temu stał się policjantem, który, gdy łapał się za jakąś sprawę, to szedł po trupach do celu.

– Czyli mieszkała tam pana rodzina? – zapytał wyższy z policjantów.

– Dokładnie – potwierdził Ryś, starając się policzyć liczbę łomotnięć w klatce piersiowej.

– I z racji przeniesienia do Jeleniej Góry postanowił pan tam spędzić święta? – dopytywał komisarz Krzysztof Podyma.



– Ale to którą metodę teraz stosujecie? – zapytał z ironią w głosie emerytowany policjant. – Szczegółowe powtarzanie nawet najdrobniejszych detali w nadziei, że się wysypię?

– A jest z czego? – odciął się niższy z policjantów.

– Skoro idziecie tą drogą, to pewnie tak uważacie.

Sto uderzeń na minutę, jak wyszło z wyliczeń. Jak na stare serce to zdecydowanie za dużo.

– Nie – zaprzeczył stanowczo Podyma. – W tej sprawie jest tyle niedomówień, nieścisłości, urwanych i niewyjaśnionych wątków, że musimy iść od samego początku, krok po kroku. Gdybym miał pełne akta i kompletny materiał dowodowy, to moglibyśmy skupić się tylko na lukach i nieścisłościach, ale w obecnej sytuacji to sam pan rozumie.

– Rozumiem.

– Zatem możemy liczyć na pełną współpracę?

– Szczerość za szczerość, czy nie taka była nasza umowa? – zapytał Ryś, nie odrywając oczu od swoich młodszych kolegów.

– Dokładnie – potwierdził szybko Podyma.

Mądry chłopak, jak kłamać, to szybko, żeby nie zdążyła nawet powieka zarżeć.

– Adam Antczak to był brat mojego ojca – zaczął spokojnie Jan Ryś. – Nieżyjącego ojca gwoli ścisłości, ale to dla sprawy znaczenia nie ma. Ja po śmierci rodziców wyjechałem z osady, musiałem zmienić otoczenie. Spadek po nich mi mały został i dobre świadectwo ze średniej szkoły, wzorowo zdana matura. W pociągu zaczął mnie milicjant, myśląc, że może jestem złodziejem, bo głębę zawsze miałem nieciekawą, ale na koniec postawił piwo i nagadał, żebym z takim świadectwem szedł do milicji. Jak się okazało, wykladał w Szczytnie, zabrał mnie ze sobą i tak poszło. Młody byłem, głupi, dałem się namówić. A może i dobrze?

– Nie lubi pan tej roboty? – zapytał Sukiennik.

– A jest ktoś, kto lubi? – odpowiedział pytaniem Ryś. – Wtedy królował serial o zgłoś się i do milicji przychodziło mnóstwo świeżaków, każdy chciał być jak Borewicz. Ściągał bandytów nowiutkim polonezem, wyrwać dupy na dansingach, pić dobre alkohole. Potem się okazywało, że ganiają złodziejasków na piechotę, zamiast dansingów odwiedzają meliny, a whisky widzą, jak przejmują kontrabandę, bo na tę z Peweksu ich nie stać. Czar przysł.

– U pana też?

– Ja szedłem tam bez oczekiwań, więc się nie zawiodłem, w dodatku się okazało, że jestem w tym dobry, ale drugi raz bym się nie zdecydował.

– To lecimy dalej – powiedział Podyma.

– No w każdym razie najpierw służyłem chwilę w Warszawie, ale jak się pojawiło zapotrzebowanie tutaj, to natychmiast się przenieśliśmy i tak się złożyło, że miałem zameldować się w Jeleniej Górze pierwszego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku. Wybrałem urlop i pojechałem do rodziny na święta. Potem miałem plan urządzić się w mieście przed rozpoczęciem służby.

– Ale pogoda pokrzyżowała szyki – stwierdził Sukiennik.

– Zima stulecia – odpowiedział Ryś, kiwając głową. – Dzisiaj z tymi nowoczesnymi pługami i szerokimi drogami byle śnieg potrafi sparaliżować kraj, a wtedy? Spadł prawie metr śniegu w jedną noc. Temperatura poleciała na łeb na szyję, z dodatniej do dwudziestu stopni mrozu. Do tego śnieżyce, wichury, kraj po prostu zamarzał. Władza ludowa bardzo dzielnie informowała o walce z żywiołem, dużo mniej bohatersko tę walkę prowadziła. Szczególnie małe wioski na końcu świata zostały odcięte od cywilizacji, prądu nie było przez wiele tygodni. A osada leżała na prawdziwym końcu wszystkiego.

– Aż mi się zimno zrobiło – powiedział z uśmiechem Sukiennik.

– Nienawidzę mrozu – odparł Ryś i sięgnął po butelkę wody.

– Wspomniał pan Antczaka – kontynuował przesłuchanie Podyma. – U niego spędzał pan święta.

– Tak – odparł szybko Ryś.

– Pana rodzina?

– Zgadza się. Brat ojca.

– Ale nazwisko nosicie inne?

– Wstępując do milicji, zmieniłem na nazwisko panieńskie swojej matki, z sentymentu.

– Czyli Antczak to pana rodzina. I zarazem jedna z ofiar.

– Można tak powiedzieć – odpowiedział Ryś z niepewnością w głosie. Jak dużo wiedzieli? To pytanie mogło być podchwytliwe.

– Ale nie pierwsza?

– No nie.

– Zaczęło się w pasterkę?

– Dokładnie – odpowiedział Ryś. – Wigilia przebiegła spokojnie, a potem niemal cała osada udała się na pasterkę. Za dzieciaka to jechało się rowerami, fur-

mankami lub saniami, w zależności od pogody, ale wtedy w osadzie mieszkał chłopak, który był kierowcą PKS-u i zaczynał kurs od Wnyków, przez Barcinek, do Jeleniej. Po sąsiedzku. Na noc stawiał autobus na podwórku, no i zawoził wszystkich chętnych, bo pasterka w kościele we Wnykach była.

– I co tam się wydarzyło? – zapytał Sukiennik.

– Na mszy to nic. Wszystko, co najgorsze, zaczęło się w drodze powrotnej.

Policjanci spojrzeli na niego z wyczekiwaniem, to był moment, do którego dążyli od samego początku.

On też.

## ROZDZIAŁ 7

### *Cicha noc, śnieżna noc*

*Rok 1978*

Nie lubiłem kościoła we Wnykach. Zawsze było w nim cholernie zimno i jakoś tak martwo, zupełnie nie jak w świątyni, może to przez ten krzyż z figurą Jezusa Chrystusa, wielki i taki naturalny, miało się wrażenie, że zbawiciel zaraz otworzy oczy, po czym zejdzie na kamienną posadzkę i pocznie mścić się za doznane krzywdy, gładzić grzechy tego świata. Różne rzeczy ludzie mówili o tym kościele, jak i o mieszkańcach Wnyków, że to niebezpieczne miejsce, ludzie zawistni, a sama świątynia przez miejscowych nazywana była Kościołem Chrystusa Mściwego. Nie wiem, czy to wszystko było prawdą, pewnie nie, a cała ta niechęć do tutejszych według mnie wzięła się z faktu, że oni mieszkali tu od wieków i nie wysiedlono ich do Niemiec, a my znowuż przybyliśmy ze wschodu w trakcie akcji przesiedleńczej Wisła. Byliśmy sąsiadami, którzy pochodzą z dwóch światów i po prostu nie mogą z dnia na dzień zmienić siebie i tradycji, która kieruje ich każdym działaniem.

Moje półprzymknięte oczy otwarły się z radością, gdy z ust proboszcza padło: „Idźcie w pokoju Chrystusa”, co oznaczało zakończenie części mszy zwanej rozestaniem, na co odetchnąłem z ulgą. Wspomnienia wieczery wigilijnej ucieki przeganiane szumem głosów wypowiadających zgodnie „Bogu niech będą dzięki”, i mogliśmy ruszać do domów.

Tak ogólnie to był piękny wigilijny dzień z tradycyjną wieczerzą przy rodzinnym stole. Wcześniej ojciec przyniósł wyciętą z lasu jodłę, którą udekorowaliśmy najróżniejszymi ozdobami, w większości przygotowanymi przez moje młodsze rodzeństwo. Aniolki z włóczki, gwiazdki z giętego drutu pomalowanego srebrzanką, orzechy pomalowane na złoto, jabłka, a nawet kilka najprawdziwszych bombek choinkowych w różnych kolorach, które udało się ojcu skądś załatwić. Prawdziwym rarytasem był jednak komplet światełek choinkowych złożony z różnokolorowych żarówek, który świecił tak mocno, że potrafił zalać ciepłym światłem cały duży pokój w naszym domu. Dotychczas na gałęziach montowaliśmy prawdziwe świeczki, ale trzeba było nieźle się nagimnastykować, żeby nie podpalić drzewka.

Dodatkowego uroku dodawała obecność stryja Jana, który już kazał mi do siebie mówić po imieniu i pokazał przy okazji zabijania karpia, jak prawidłowo ostrzy się nóż, abym odpowiednio dbał o swój scyzoryk. Rano ojciec i stryj przywieźli ładną choinkę, którą z sapaniem i kilkoma przekleństwami rzucanymi pod nosem umieścili w stojaku, było strojenie drzewka wśród pisków, śmiechów i kłótni młodszego rodzeństwa, nawet wrócił prąd i w radiu dało się posłuchać kolęd. Dziadek wyjął z szafy swój brązowy adapter do płyt winylowych, odkurzył kolekcje płyt pocztówek z kolędami i po mieszkaniu popłynęła na początek pieśń *Bóg się rodzi* w wykonaniu zespołu Mazowsze.

Przybyliśmy tutaj ze wschodu, z okolic Biłgoraju. Kilkanaście przesiedlonych rodzin, do których dołączono kilka innych również z okolic Frampola i całego Roztocza. Początkowo byliśmy nieufni i wystraszeni, źli na władzę i cały świat o to, że zabrała nam naszą ojcowiznę i przesunęła jak niechciany pionek na planszy na obcą, poniemiecką ziemię. To znaczy moi rodzice i dziadkowie byli źli, bo nam, dzieciom, to było wszystko jedno. Jednak złość minęła, trzeba było żyć.

Przez trzydzieści lat w życiu osadników pojawili się ludzie z zewnątrz, jak chociażby mama Mietka była tutejsza, z Barcinka, a to wszystko skutkowało pomieszaniem tradycji, zachowań i zwyczajów. Jeszcze moja babcia mówiła nieco śmiesznie, zaciągała i zmiękczała słowa, ojciec i matula już dużo mniej, a ja to mówiłem całkiem „po miastowemu”, jak śmiała się babcia.

Różne też były zwyczaje dotyczące samej Wigilii, jak i chociażby picia czegoś mocniejszego w ten szczególny dzień. Jedni pili pod rybkę w trakcie wieczery, drudzy dopiero po jej zakończeniu, nieliczni zaś czekali na powrót z pasterki. U nas w domu mało się pijało, ojciec trzymał w piwniczce na półkach ze starych desek nalewkę i wino z owoców, kupnej wódki nie widziałem na oczy w jego rękę nigdy, stąd też i alkoholu nikt nawet nie ważył się stawiać na białym obrusie. Na stole za to pojawiły się potrawy w liczbie dwunastu, od zupy grzybowej z łazankami przez groch z kapustą, pieróg gryczany, proziaki i pierogi z kapustą i grzybami, aż po smażonego karpia. Gdy wręczyliśmy sobie prezenty, najlepsze te dla dzieciaków, a sobie nawzajem najskromniejsze, mogłem udać się do stodoły starego Brysia, w której przeżyłem tak całkiem niedawno chwile pełne uniesienia. Przyjaciele już czekali.

– Mam bimber – stwierdził na powitanie Przemek, pokazując kankę. – Ojciec już nawalony, pewnie na pasterkę nawet się nie dźwignie.

– No to wesółych świąt, przyjaciele – powiedział Mietek, rozdając nam kubki. – Dziś mamy zakąskę przynajmniej.

Każdy coś zabrał z domowego stołu, zatem na desce ustawionej w formie prowizorycznego stołu wylądowały przed nami specjały wprost z naszych biłgorajskich stron.

– Proziaki – rozmarzył się Mietek. – Moja matula nie robi.

– No bo tutejsza, to i skąd ma umieć – odparłem. – Niby żadna filozofia, mąka, jajo, zsiadłe mleko, do pieca i już.

– Wiem, wiem. – Mietek machnął ręką, biorąc jednego wielkości swojej dłoni i wachając z lubością.

– Dla mnie to jednak pieróg z kaszą najlepszy – stwierdził Przemek. – Jeszcze z sosem grzybowym, to cymes.

– A dla mnie karp – odparłem. – Nigdy nie smakuje jak w święta. Matula trzyma przez noc w mleku z cebulą, potem macza w jajach i bulce tartej i niechaj świat zginie, jakie to dobre. Gdzie tam barszcz czerwony czy zupa grzybowa, kurtia czy pierogi z kapustą i grzybami.

– Mam też kompot na przepitkę – poinformował nas Przemek, pokazując litrową butelkę po mleku z zawieszonym płynem w środku.

– Zatem ucztujmy – zarządziłem.

– O tak, to może ostatni raz – stwierdził Mietek.

– Dlaczego? – zapytałem.

– No za rok to ty już będziesz żonkoś – odparł. – A może i tatuś. Myślisz, że puści cię po kolacji ta twoja Alicja do nas na bimberek?

– Daj spokój – odpowiedziałem. – Nie jest mi tak śpieszno do żeniaczki.

– A jak dzidzius będzie? – zapytał Przemek, polewając bimbru do kubków.

– Wczoraj we wsi po nocy co prawda wyło – stwierdził Mietek. – Ale też coś strasznie jęczało. Stara Maciejowa podobno do rana zdrowaśki klepała, bo myśli, że to dusze pokutne zawodziły pod dachem stodoły.

– W jej wieku to już człowiek stęka i jęczy tylko z bólu – odpowiedziałem, mocno się rumieniąc, czego moi przyjaciele nie mogli na szczęście zobaczyć.

Zaśmialiśmy się wspólnie, wznieśliśmy kubki do toastu.

– Oby to nie było ostatnie takie spotkanie – powiedział Mietek.

Stuknęły delikatnie aluminiowe naczynia, bimber spływał do pełnych żołądków niczym nektar, ciepło rozchodziło się po całym ciele, chciało się żyć. Niby zawsze chce się żyć, ale dziś mogę stwierdzić, że jak człowiek młody, to jakoś tak w dwójnasób. Szczególnie jak pod ręką przyjaciele z dobrym trunkiem, a w głowie jeszcze błąka się wspomnienie upojnej nocy z piękną dziewczyną.

– Fajnie, że prąd rano wrócił – powiedział Przemek, zagryzając proziakiem. – Matka mogła w prodiżu ciasta popiec.

– I radia posłuchaliśmy – dodał Mietek. – Mówili, że dobra pogoda się skończy i ma śnieg spaść. Zalewski mówił, że to będą prawdziwe białe święta. Magiczne, tak dodał.

– Też mi magia w śniegu – parsknąłem. Nie lubiłem zimy. Tutaj w górach nawet najmniejszy opad śniegu sprawiał, że życie stawało się nieznośnie ciężkie.

– To pod te białe święta – zarządził Przemek, od razu napełniając nasze kubki.

I tak wypiliśmy małą kankę bimbrowa i w głowach nam mocno zaszumiło, nie powiem. W autobusie, który zawoził nas tego roku do kościoła, może i nie było czuć magicznej atmosfery świąt, ale za to aromat bimbrowa unosił się tak mocno, że szyby nie miały prawa zamarznąć. No cóż, jak wspomniałem, mój ojciec stronił od alkoholu, ale był on chlubnym wyjątkiem. Reszta miejscowych łoła gorzałę, nadrabiając średnią krajową za mojego ojczulka, matulę, moje dwie siostry i braciszka oraz za wszystkie inne dzieci w osadzie.

Autobus jechał powoli, bo po deszczu ślapiącym od rana pozostało tylko wspomnienie w postaci pokrywy lodowej, którą załatwił nam stary i dobry Dziadek Mróz. Kierowca ostrożnie zajechał pod kościół we Wnykach, mimo że należeliśmy do parafii w Barcinku, i powiedział, że dalej nie jedzie, bo taka ślizgawica. Gdy wysiadaliśmy, to na niebie zatańczyły pierwsze płatki śniegu.

Przywilejem młodości jest nie tylko picie bimbrowa w tajemnicy przed rodzicami czy baraszkowanie z ukochaną na sianie, ale także stanie w kościele na samym końcu przy drzwiach, a co za tym idzie, to ja pierwszy po skończonej mszy złapałem za klamkę wrót pamiętających chyba jeszcze bitwę pod Grunwaldem i wyszedłem na zewnątrz. Śnieg walił już jak oszalały i cały świat zamienił się w biały obrazek, jakby faktycznie ktoś użył magii.

– No popatrzcie, a rano jeszcze deszcz padał – stwierdził ktoś z opuszczających kościół. – Na wiosnę się miało.

– Zalewski nie kłamał – powiedział Mietek, spoglądając w górę i wystawiając język, żeby złapać kilka płatków śniegu.

Ludzie przed kościołem składali sobie jeszcze życzenia, poklepywali się po ramionach, przytulali, całowali w policzki. Dzieciaki szybko urządziły sobie ślizgawkę, a ksiądz proboszcz stał w drzwiach i błogosławił odchodzących. Nie miało znaczenia, kto z Wnyków, a kto z naszej osady, w wigilijny wieczór wszyscy byli sobie braćmi. Po chwili, gdy zdawało się, że świąteczna atmosfera pierzchnie niczym kot z mroźnego podwórka, ksiądz zaintonował *Wśród nocnej ciszy* i przed niedużym kamiennym kościółkiem w małej wsi pod Karkonoszami

niosła się przez noc piękna pieśń. Gdy ostatnie słowa kolędy wybrzmiały i ludzie entuzjastycznie zaczęli bić brawo i krzyzczyć: „Wesołych świąt, Alicja podeszła do mnie i pocałowała mnie w policzek.

Jezusie, nawet i Mściwy, jak chciało się żyć!

Ruszyliśmy w końcu do autobusu, rozradowani, z policzkami zaczerwienionymi od mrozu i bimbru. Poczułem, jak ktoś łapie mnie za rękę, to Alicja, rozsławiana i szczęśliwa. Mimo że nasze dłonie były osłonięte wełnianymi rękawiczkami, to czułem jej ciepło wnikające chyba aż do samego żołądka. Niby nie wypadało tak chodzić, dopiero planowałem poprosić jej rodziców o rękę, może nawet i w drugi dzień świąt. Babcia obiecała przekazać mi swój pierścionek zaręczynowy. Stwierdziła, że lepiej, żeby nosiła go młoda dziewczyna niż ona w trumnie.

W autobusie pozajmowaliśmy miejsca, kierowca, młody Andrzejek, który z dumą powoził tym znacym autem, włączył radio i znowu w powietrze popłynęła kolęda, tym razem *W żłobie leży*. Wiele osób zaczęło śpiewać, nawet i ja wraz z kolegami.

Atmosfera popsowała się dopiero, gdy nowy autosan złapał delikatny poślizg i zaczął zsuwać się do rowu. Nikt by tego nie zauważył, zarówno śpiewana kolęda, jak i wypity bimber zabrały ludzi gdzieś daleko poza wnętrze pojazdu, ale w tekst pieśni wdarł się głośny krzyk kierowcy, akurat, gdy kończył się wers: „Naprzód tedy niechaj wszędy zabrzmi świat z wesołości”.

– Kurwa mać! – krzyknął Andrzejek. – Trzymajcie się! – dodał.

I ludzie nagle przestali śpiewać, atmosfera zniknęła w mgnieniu oka, czar świąt i ich magia prysły, jakby ich nigdy nie było. W głosie naszego kierowcy było słycać powagę sytuacji, że żartów nie ma, że oto nadciąga katastrofa. Łapaliśmy się, kto czego mógł i miał pod ręką. Stało jedynie kilka osób i te zareagowały najszybciej, chwytając się oparcia i rurek umieszczonych pod sufitem. Ja się skuliłem i pomyślałem natychmiast o Alicji, która siedziała z rodziną na przodzie autobusu. Oby nic jej się nie stało.

Autosanem szarpnęło i zaczął się przechylać na prawą stronę, bardziej i bardziej, aż zdawało się, że zaraz się przewróci i wszyscy spadniemy głowami w dół. Stojący między siedzeniami z sapnięciami zwalali się na siedzących, bo ustać nie szło, nas po lewej stronie zaczęło ściągać w stronę przejścia i trzeba było naprawdę mocno się trzymać, żeby nie polecieć ze swojego siedziska. Obok mnie siedział Mietek i czułem jego ciężar napierający na mój bark, zdając sobie sprawę, że za chwilę moje dłonie nie wytrzymają, palce puszcza podparę, jaką było siedzenie przede mną i runę na prawą stronę autobusu.



Wnętrze pojazdu wypełniły krzyki dorosłych i piski dzieci, o wiele głośniejsze i bardziej zgodne w chóralnym unisono niż śpiewana po drodze kolęda. Autobus zajęczał, jakby ten wypadek sprawiał mu ból i też musiał sobie ulżyć w cierpieniu, po czym zatrzymał się z szarpnięciem. Ci, którzy ustali na nogach do tej pory, padli na przejście pomiędzy siedzeniami, zupełnie jakby zmyła ich fala podczas sztormu.

Dosłownie na chwilę, na kilka sekund, cisza zawładnęła całym autobusem, bo nawet silnik zgasł, a ludzie zastanawiali się, czy żyją, czy też zaraz święty Piotr uchyli im drzwi do rajów. No a potem, co zrozumiałe, dzieci poczęły płakać i wyć. Istny koniec świata.

– Cisza! – krzyknął kierowca. – Ciiiiiiiisza!

O dziwo, podziałało. Co prawda nie zapadła nagle pełna skupienia i uwagi wywoływana przez niego cisza, ale najgłośniejsze płacze ustały, przez co można było coś powiedzieć.

– Czy nikomu nic nie jest? – zapytał.

Ludzie poczęli sprawdzać głównie stan zdrowia dzieci, ale, jak się okazało, nikomu nie poszła nawet krew z nosa. Autobus zjechał na pobocze w miękką zaspę. Oprócz zszarganych chwilowo nerwów nie mieliśmy strat. Istny świąteczny cud.

– Dobrze, spokojnie – mówił kierowca Andrzejek tonem głównodowodzącego na linii frontu. – Najważniejsze, że nikomu nic się nie stało. Teraz trzeba wyjść z autobusu, więc niech każdy usiądzie i się nie rusza, nie przeszkadza.

Słuchali go, o dziwo, chociaż przecież był młody, ale na kierowaniu autobusem znał się jako jedyny w naszej osadzie. Nie to, że nagle cisza i już, ale chlipanie i ciche lamenty zostały przegnane przez głosy mężczyźni, którzy zaczęli szukać drogi wyjścia. Niestety, drzwi autobusu zarówno przednie, jak i tylne nie dawały się otworzyć, to na nich oparł się autosan, ześlizgując się do rowu. Wyjścia ewakuacyjne znajdowały się w dachu, w uchylnych lufcikach, co w zaistniałej sytuacji było nawet i wygodnym rozwiązaniem, bo autobus był przechylony.

– Tak się to robi – poinformował kierowca, kilkoma mocnymi szarpnięciami otwierając kwadratowy właz w suficie pojazdu.

– Jak czterech pancerni – zauważył mój ojciec i kilka osób nawet się zaśmiało.

Napięcie spadało, jako że nikomu nie stała się krzywda, to i humory wracały.

– Najpierw młodzież – zarządził kierowca. – Wyjdziecie i przejdziecie do rowu, będziecie łapać kobiety i dzieci. Panowie na końcu.

– Dawaj, Micha! – Ojciec pchnął mnie lekko w ramię. – Najchudszy jesteś.

Reszta pasażerów z niejakim trudem w mocno pochylonym autobusie zrobiła mi odpowiednie miejsce, złapałem się za brzegi dziury, podsadzono mnie i wylądowałem na dachu autobusu, po czym od razu, niczym ze zjeżdżalni, poleciałem do rowu. Na szczęście daleko nie było, a lądowanie złagodził śnieg, którego już całkiem sporo napadało.

– Żyjesz? – doleciało mnie z autobusu. To Mietek wystawiał głowę z włazu.

– Ta, mięciutko, ale dzieciaki trzeba będzie łapać – odpowiedziałem, otrzepując się ze śniegu.

– To teraz ja – oznajmił mój przyjaciel i zaczął gramolić się na zewnątrz.

Po chwili wylądował obok, również począł się otrzepywać, a ze środka już gramolił się Przemek, po czym dołączył do nas z cichym wizgiem gaci i kurtki trących o dach autobusu.

Jedynym problemem podczas ewakuacji okazała się garderoba, bo przecież mieliśmy zimę i wszyscy byli dość grubo poubierani, stąd też kilka osób musiało wydostać się na zewnątrz bez palt czy kurtek, stara Masiakowa nawet z nieufnością pozbyła się futra, które jej mąż przywiózł z Czechosłowacji.

Dzieci miały frajdę, bo żadne nie spodziewało się takiej zjeżdżalni na powrocie, dorośli mniejszą, bo z rowu trzeba było wydostać się na drogę, a nawianego śniegu było już powyżej kostek i kto nie założył wysokich butów, kłął teraz, próbując wytrześć ze skarpet zimny śnieg.

A ten nie odpuszczał, walił, jakby mu za to płacili, bez litości, zaczęło też mocniej wiać, co tylko wzmocniło uczucie chłodu. Wiadomo, jak jest zimno i wieje, to jest jeszcze zimniej, bo najgorszy to jest wiatr.

Ostatnim, który opuścił feralny pojazd, był jego kierowca, Andrzejek, który niczym kapitan wyczekał, aż ostatni z pasażerów opuści dowodzony przez niego okręt. Ześliznął się do rowu, nie przyjął żadnej z pomocnych dłoni, które do niego się wyciągnęły, i wydeptaną już ścieżką wyszedł na szosę. Potarł butem asfalt, a właściwie lód, który go pokrywał.

– Nie było szans dojechać – stwierdził Bernard, który był sołtysem naszej wsi. – Na nogach ciężko ustać.

– No z rowu to my go nie wypchniemy – dodał mój ojciec, spoglądając na leżący bezradnie obok drogi autobus, przypominający jakiegoś zdechłego mastodonta, którego pokonała zima i teraz próbowała ukryć swoją zbrodnię, zasypując martwe cielsko wielkimi płatkami śniegu.

– Do rana go zasypie – powiedziałem.

– Przynajmniej nikt nie ukradnie – dodał Mietek.

– Przez święta i tak go nikt nie wyciągnie – oznajmił Andrzejek. – Na bazie wszyscy wolne mają, bo, jak to w święta, niemal wszystkie kursy wstrzymane.

– To wracamy – zarządził Bernard. – Nie ma sensu tu po próżnicy stać, dzieciaki zmęczone, a do osady jeszcze kawałek.

– Idziemy – zgodził się mój ojciec, na co Bernard skinął dużą głową, ozdobioną rozłożystym wąsem, po czym odwrócił się do pasażerów stojących na środku drogi.

– Ludziska, idziemy do dom, bo cudów tu nie będzie – oznajmił. – Przodem chłopy, co mają najlepsze buty, baby środkiem, dzieci za rękę trzymać. Jak kto dzieciaka nosi, niech się z innymi zmienia, bo ślisko i drogi kawałek, a wieje okrutnie. Jeśli kto za słabo ubrany, niech też do środka grupy wlezie, to go tak nieowieje. No, idziemy.

Przeszedł na przód i ruszył jako pierwszy, a ludzie posłusznie formowali skromną kolumnę wedle zaleceń. Rzuciłem okiem jeszcze na autobus, ale padający śnieg tak zgęstniał, że już nie było widać poboczy, a jedynie plecy Andrzejka, który wpatrywał się gdzieś w ciemność poprzecinaną smagnięciami śnieżnej nawałnicy.

– Chodź już – złapałem go pod rękę. – To tylko autobus.

– Tak – odwrócił się i nie tyle dojrzałem czy usłyszałem, ale wyczułem, że płacze. Kochał ten autobus, pucował go często, oliwił drzwi, pompował opony, latał między siedzeniami z miotłą i chyba czuł, jakby przyjaciela zostawiał, a nie kilka ton żelastwa.

Dogoniliśmy kolumnę w ostatniej chwili, bo zniknęli nam z oczu niemal natychmiast. Dziwne by to było, zgubić się na drodze do własnej wsi. Dziwne i groźne, bo mróz tężał, a śnieg zaczynał wdzierać się wszędzie, gdzie tylko nieuważny człowiek mu pozwolił. A to pod oszywkę, to znowuż w otwarte usta, jak chciało się głębiej powietrza złapać, a jeśli komuś wpadło do głowy, żeby przed siebie popatrzeć, zaraz dostawał w twarz niczym mokrą ścierką. Marzły uszy, piekły policzki, drętwiały palce, bolały stopy, ale nikt nie płakał, nie kwilił i nie lamentował. Ludzie uparcie szli krok za krokiem wpatrzeni we własne buty, liczyli kroki, sumowali je z oddechami, przełykali ślinę, obawiając się, że może być zmarznięta. Dzieci opatulono, czym się dało, kilka bab zdjęło chusty, ktoś oddał swój płaszcz. I słychać było wycie wiatru. To było dopiero groźne i zwiastujące śmierć, a nie to niosące się nad naszą osadą.

Ja starałem się myśleć o czymś ciepłym, wspominać wigilijną kolację, ale do głowy pchała mi się tylko Alicja i nasza wspólna noc. Widziałem ją, szedłem kilka

kroków za nią, niczym cień mający w życiu jedno zadanie, aby nie zgubić swego właściciela, bo czymże jest bez człowieka?

Śniegu przybywało i nawet idąc na końcu, zaczynałem czuć, jak coraz ciężiej stawia się kroki. Kilkadziesiąt osób udeptujących drogę powoli nie dawało sobie rady z kopnym śniegiem, ten po bokach wyżłobionego stopami mieszkańców naszej osady tunelu zaczynał sięgać kolan. Wszyscy towarzysze niedoli, zarówno ci przede mną, jak i kroczący po bokach przyjaciele byli już oblepieni śniegiem niczym zimowe demony i jeśli ktoś teraz minąłby nas samochodem, pewnie stwierdziłby, iż duchy stanęły na jego drodze, a nie ludzie pokrzywdzeni przez kapryśną aurę.

Dopiero w domach się dowiedzieliśmy, że szliśmy dwie godziny, dwa razy dłużej aniżeli latem, choćby i w największym upale. Gdy pierwsza chałupa zamajaczyła nam dosłownie przed nosami, bo z daleka to niczego nie było widać, wszyscy chyba się popłakali z ulgi, a ja na pewno. Bernard stał na drodze dojazdowej do wsi i patrzył na tych, co go mijali, chyba ludzi liczył. Czy w tej zamieci, po ćmoku nikt się nie zgubił, nie został na chwilę buta zawiązać i niczym autobus Andrzejka nie leży gdzieś tam w rowie przykrywany śnieżną pierzyną. A może ktoś dziecko zgubił?

Gdy już przekroczyłem próg chaty, to jakby mnie kto z nóg ściął, jakby życie chciało we mnie siedzieć tylko do momentu, gdy śnieg na mnie spada, a już pod dachem nie miała mu taka kwatery. Opadłem z sił kompletnie, a oczy poczęły same się zamykać i kleić.

Ubrania na nas zamarzyły i zdejmowaliśmy je z głośnym trzeszczeniem, jak pranie, które wywieszzone przed domem w mroźny dzień zaczyna przypominać deskę. Zatem zdjąłem drewnianą kapotę, czapkę i drewniane spodnie. Ręce wyciągnięte do pieca zabolowały tak, że aż wyc mi się zachciało. Matka szybko podstawiła miednicę z zimną wodą, aby w niej odmrozić palce, żeby tak nie bolało. Najbardziej bałem się o stopy, bo buty miałem skórzane i wypastowane, ale przemały natychmiast. Może i ładne były, do kościoła się nadawały, lecz na śnieżne wyprawy nie bardzo. Oczami wyobraźni widziałem skarpetę schodzącą ze stopy razem ze skórą i paznokciami, ale na szczęście niczego takiego nie zobaczyłem, tylko zsiniałą bladą stopę, która zimna była niczym lód. Włożona do miednicy z wodą bolała, ale palce ruszały się i pocierane nawzajem dawały znać, że wszystko działa, jak należy.

– Wody nagotuję – oznajmiła matula, napełniając wielki gar stojący na piecu.

– Zimno jak wejdziesz w kości, to najlepiej w gorącej kąpeli je wygonić – dodał ojciec.

– Albo gorzalką – dodał stryj.

– Każdy po kolei do kąpania, potem natrzeć olejkim rycynowym plecy i spać pod pierzynę – zarządziła matula. – A napić się też możemy.

Grzaliśmy się przy piecu, ale matula wygoniła mnie za zasłonkę do wanny. Dała gąbkę, mydło biały jeleń i kazała rozetrzeć skórę. Ona sama, tatko i stryj siedzieli wokół pieca i grzali dłonie na kubkach z gorącą herbatą mocno zaprawioną sokiem z malin, który też nielecho rozgrzewał. Potem ojciec sięgnął po wyciągniętą wczoraj z piwniczki i trzymaną w kredensie butelkę nalewki wiśniowej i rozlał nam po dużym kieliszku. To był pierwszy raz, gdy poczęstował mnie alkoholem i wspólnie mogliśmy się napić. I ostatni.

Nie gadaliśmy za wiele, popękane od wiatru i mrozu usta posmarowane wazeliną nie zachęcały do mówienia. Prądu nie było, pewnie mokry śnieg zerwał linie.

– Koniec świata – skomentował ojciec.

– Ano – dodała matula.

Poszliśmy spać pewni, że tak ciężka noc zapewni nam sen na wiele godzin, ale się myliliśmy.

Rano obudziło nas łomotanie do drzwi. Potężne. Paniczne. Złowróżbne.

## ROZDZIAŁ 8

### *To jak w końcu było?*

*Rok 2023*

Jan Ryś odsunął styropianowy pojemnik z obiadem, który dowieziono do salki po godzinie trzynastej. Zestaw z mielonym najpewniej pochodził z baru Gratka, który osobiście lubił i często w nim jadał, gdy nie chciało mu się niczego pichcić. Bądźmy szczerzy, rzadko chciało mu się stać za garami i jego mieszkanie najczęściej wypełniał zapach fasolki po bretońsku lub flaków, które to najłatwiej było kupić i podgrzać.

– Zima stulecia – powiedział na głos, popijając kompotem posiłek. – To już chyba oficjalna nazwa na to, co się wtedy wydarzyło w kraju, w grudniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego. Śnieg padał bez litości i zdawało się, że nigdy nie przestanie. Zasypało osadę kompletnie.

– Nie było we wsi telefonu? – zapytał Podyma.

– Gdzie tam – odparł Ryś. – Takie czasy, dzisiaj trudno sobie wyobrazić. Najbliższy telefon w Barcinku był. Nawet sklep dopiero we Wnykach. Jak ktoś chorował, to trzeba go było w samochód zapakować i wieźć do Jeleniej Góry. Dopiero jak Andrzejek w pekaesach zaczął pracować, to zrobili przystanek u nas, rano wyjeżdżał, przed nocą wracał. Dzisiaj jak ci ktoś napisze przez telefon i nie odpowiesz w pięć minut, to myśli, żeś trup, a wtedy na pogrzeb rodzina potrafiła z drugiego końca Polski nie dojechać, bo powiadamiało się telegramem.

– Czyli jak wieś zasypało, to kontaktu ze światem nie mieliście?

– Jak nas zasypało, to nie było już Polski, tylko nasza osada i nic więcej. Tak samo było trudno dostać się do Brazylii, jak i do Jeleniej Góry wtenczas. I myśleliśmy, że to nad ranem ustanie, człowiek się odkopie, ale nic z tego. Śnieg walił cały dzień i całą noc, a jak tylko coś się odgarnęło, to od razu zasypało. W pewnym momencie to nie było już nawet gdzie tego śniegu odrzucać, więc czekaliśmy, aż przestanie. Potem kopało się takie korytarze, że śnieg po bokach usypiany na wysokość człowieka.

– I prądu nie było?

– Prąd wrócił w połowie stycznia – odparł Ryś. – Musieli podnieść linie od samej Jeleniej, przez Barcinek i Wnyki, na końcu dopiero u nas, a i tam priorytetowo działali ze względu na sprawę.

– To trudno działać w takim przypadku – zauważył Podyma.

– Ale to nie taki kłopot, jak się dzisiaj ludziom zdaje – odpowiedział Ryś. – Co tam wtedy ludzie na prąd mieli? Telewizor, radio, w niektórych domach lodówki, pralka Frania, żelazko. Jedyne różnica, że po zmroku siedzieli przy świeczce albo lampie naftowej, ot co. W robocie to nie przeszkadzało. Gorzej, że śnieg leżał i skuł go mróz, to był problem.

– To już w ogóle nie dało się z tej wsi wy dostać? – zdziwił się Sukiennik.

– Tylko pieszo.

– I nikt nie poszedł po pomoc?

– Pierwszego dnia nie, bo sypało i wiało tak, że głowę chciało urwać. A nawet jakby ktoś wyszedł i dotarł, dajmy na to, do Barcinka, to co by to dało? Jedynym sposobem byłoby Jelenią zawiadomić, a stamtąd mogło wojsko przyjść z pomocą, ale i tak by się nie zjawili.

– Dlaczego? – dopytywał Podyma.

– A bo po co? – odparł, wzruszając ramionami Ryś. – Bo ktoś zaginął? Albo do trupa? Oni mieli ręce pełne roboty. Połamane drzewa, zarwane dachy, linie elektryczne w całości pozrywane, maszty się poprzewracały. Popękały węzły ciepłownicze, Ludzie poutykali w samochodach na drogach. Mieli wtedy priorytet ratowania życia, a u nas ratować nie było czego. Dlatego nie od razu posłaliśmy po pomoc.

– Czyli w pierwszy dzień świąt jeszcze nie wiedzieliście, że kogoś zamordowano? – zapytał Sukiennik.

Ryś dopił kompot i spojrzął na dwóch śledczych. Oto nadszedł czas próby zarówno dla niego, jak i dla nich. Do tej pory nie mógł kłamać, jego zeznania mogłyby podważyć jakikolwiek świadek tamtych wydarzeń, o ile odważyłby się mówić. Ale teraz?

– Nie – odparł.

Teraz sytuacja uległa radykalnej zmianie.

## ROZDZIAŁ 9

### *Bóg się rodzi, człowiek umiera*

*Rok 1978*

Kompletny przypadek sprawił, że stałem akurat w kuchni i to właśnie ja otworzyłem drzwi, i wpuściłem do domu Zośkę Wiśniewską, wraz z całym zimnem, tumanem wirującego śniegu i złem, które od tej pory na dobre rozgościło się w naszej osadzie. Może Mara weszła razem z nią, kto wie?

Stałem w kuchni, bo zgonił mnie z łóżka pełny pęcherz i uczucie suchości w ustach, może nawet i kac, niewykлучzone, w każdym razie, gdy pochyliłem się nad garnkiem z kompotem wigilijnym ugotowanym z suszonych owoców, ktoś załomotał w drzwi. A ile było w tym mocy i żywiołu, to aż podskoczyłem, rozlewając kompot na kuchnię, bo piłem wprost z chochelki. Pierw myślałem, że to dach się od śniegu wali, albo że coś poważnego się stało, ale łomotanie nie ustaowało, Zośka waliła w drzwi, jak ptak zaplątany w sieć panicznie młóci skrzydłami z nadzieją, że się wydostanie. Nic z tego, znikąd pomocy ani dla niego, ani dla niej.

Zerknąłem za okno, próbując rozróżnić, czy to, co widzę, to mróz na szybie, czerń nocy czy też wiatr niosący zmarzniętą zgubę przez pogrążony w półmroku świat. Wycie w kominie dobitnie jednak świadczyło o tym, że zima nie ustępuje, zamierza zrobić z tym światem porządek raz na zawsze, wymrozi ludzi jak te pchły z kożucha, bo i po co jej oni. Włączyłem latarkę, którą ojciec zostawił na stole na wszelki wypadek, żółte światło zalało kuchnię, dając złudny promyk cywilizacji.

– Idę! – krzyknąłem w stronę drzwi, miarkując, że pobudzę domowników, z drugiej strony to chyba łomotanie wyгнаło ich z wyrek, bo już slysząłem człapanie ojca.

Łup, łup, łup! Odpowiedziały mi drewniane drzwi, jakby wcale nie chciały slychać.

– Kto tam?! – zawołałem, chwytając za klamkę, ale nie czekałem na odpowiedź.

Do środka w tumanie śniegu wpadła cała roziskrzona odbijanym przez białe kryształki światłem latarki wspomniana Zośka Wiśniewska. Nic nie gadała, za-



trzasnęła za sobą drzwi i otrzepała buty, porządne walonki. Dobrze, że zamknęła drzwi, bo na zewnątrz wyło przeokrutnie, może nie był to demon, ale coś znacznie gorszego, przed czym schować się można jedynie w ciepłe domowego ogniska.

– Co tam się dzieje? – zapytał z sieni ojciec.

– Szczęść Boże – powitała nas Zośka, odwijając wełniany szal, pod którym schowała twarz. – Pomocy potrzebuję.

– Co się stało? – zapytałem, cofając się w stronę ojca i robiąc jednocześnie sąsiadce miejsce, aby mogła przejść do kuchni.

– Siadajcie – powiedział ojciec. – A ty, Michaś, dorzuc do pieca, bo przygasa, a mróz coraz większy. Herbatę nastaw.

Usiedli przy stole i po chwili ich twarze wyłoniły się z ciemności rozświetlane przez blask lampy naftowej odpalonej przez ojca.

– Anuli nie ma – powiedziała Zośka i zaczęła płakać. Teraz dopiero zobaczyłem, że ten śnieg na twarzy to były tak naprawdę zamrznięte łzy.

– Jak nie ma? – zapytał ojciec.

– Z pasterki nie wróciła. Poszła sama, bo mnie noga jeszcze po tym złamaniu, co to w lecie z drabiny spadłam, boli jak cholera i mi ciężko chodzić. Wyprawiłam, a sama poszłam spać. Przebudziłam się niedawno, poszłam zajrzeć, czy śpi, a tej nie ma. Nie wróciła.

– Może dokądś wyszła? – podrzucił ojciec, chociaż głupie to było, bo i dokąd miała iść w taką zadymkę, ale nasza głowa zawsze szuka najprostszego rozwiązania. Jak powiedział mi kiedyś nauczyciel w szkole: jeśli słyszysz kopyta stukające po drodze, to spodziewasz się koni, choć zebry też kopyta mają.

– A gdzie tam wyszła – zaprotestowała Zośka. – Nie wróciła. Nie ma jej stroju, butów, nic. Jak wyszła, tak nie wróciła. Byliście na pasterce, widzieliście ją?

Ojciec spojrział na mnie, ja na niego. Czy była z nami Anula? Nie wiem, ja tylko patrzyłem na Alicję i oprócz niej żadnej dziewczyny nie widziałem. Może i była. Może jej nie było.

– Michaś, widziałeś Anulę? – zapytał.

– Obok mnie w autobusie nie siedziała – odparłem wymijająco. – A potem to sam ojciec wie, po tym wypadku to jakoś tak...

Właśnie, wypadek. Czy była wśród zjeżdżających po dachu autosanu? Powiniennem ją zapamiętać. Ale nie, ja tylko czekałem, aż Alicja zjedzie w moje ramiona, aby móc ją nieco dłużej przytrzymać. Ale wiem, kto na nią czekał.

– Mietka trzeba będzie zapytać – powiedziałem. – On ma dobrą pamięć. Albo Bernarda.

– Wypadek? – zapytała kobieta, zatykając usta dłońmi. – Jezus Maria.

– Spokojnie, Zośka – powiedział łagodnie ojciec. – Nikomu nic się nie stało. Autobus wpadł w poślizg, utknął w rowie i trza było na piechotę wracać. Ale nikomu włos z głowy nie spadł. Nawet się bardzo nie potłukliśmy, więc jak jechała z nami, to wyszła cała i zdrowa.

– No jak nie jechała? – zdenerwowała się kobieta. – Przecież poszła na pasterkę.

– Bernarda trzeba by spytać – zaproponowałem. – On na powrocie do osady sprawdzał, czy wszyscy dotarli.

– Ano racja – przytaknął mi ojciec. – Szedł na przodzie, a potem stał i liczył ludzi. On będzie wiedział.

– A może została gdzieś z tyłu? – Zośka ponownie załamała ręce. – Pośliznęła się, do rowu wpadła, wiatr wył, to i nikt nie usłyszał.

– Po to właśnie Bernard wszystkich liczył – odparł ojciec.

– W dodatku ja z Mietkiem i Przemkiem szliśmy na końcu – powiedziałem. – Mieliśmy mieć baczenie, żeby nikt się w tej ćmie nie zgubił. I na pewno nie została.

– Michaś, ubierz się ciepło i leć po Bernarda – zarządził ojciec. – Niech nam tu powie, czy była Anula na pasterce, czy jej nie było.

Skinąłem głową i ruszyłem do swojego pokoju na górze. Jako że babcia z dziadkiem swoją chałupkę mieli, a u nas tylko przesiadywali, to miejsca w naszym domu było sporo. Rodzice mieli swój pokój i ja jako najstarszy także osobny, a reszta dzieciarni mieściła się w dwóch mniejszych. Ojciec najczęściej i tak spał w kuchni na amerykance, bo bolały go plecy i najlepiej mu się leżało na twardym.

Założyłem na siebie, co tylko miałem, bo za oknem śnieżycą szalała w najlepsze. Jeśli opowieści o Marze, bogini zimy, były prawdziwe, to musiało ją coś nielicho zdenerwować. Może to, że Bóg się dziś rodzi, a to nie jej wiara i chciała dać wyraz tęsknocie za dawnymi czasami?

Schodziłem po schodach i zacząłem się pocić, ale wiedziałem, że jak tylko wyjdę za próg, to ziąb przeniknie mnie na wskroś. Nie było mocnych na taką pogodę. W sieni zapiąłem karplę<sup>4</sup>, bo Zośka powiedziała, że śniegu to już jest po pas i nawet ciężko drzwi otworzyć.

Tak też się stało, gdy zmieniłem ciepłe wewnątrz domu na grudniową noc wypełnioną rozszalałą wichurą, kompletnie mnie zmroziło. Jakby jakaś siła nie tyle zrzuciła nieprzebrane tony śniegu z nieba, ale nawet ten, co już spadł, podnosiła i zmuszała do ponownego tańca, nie dając mu chwili wytchnienia. Każdy niedopięty guzik i niedociągnięty pasek, każda szczelina w pancerzu stworzonym z wełnianych ubrań natychmiast dawały o sobie boleśnie znać piekącym zimnem. Całe szczęście, że Bernard mieszkał niedaleko, zaledwie pięć chałup od nas, bo droga do niego była straszna, jakbym szedł w basenie napełnionym śniegiem, już po kilku krokach nie widziałem naszego domu.

Nie spał, światło w oknie zobaczyłem dopiero, gdy podszedłem pod dom, załotałem do drzwi, pragnąc tylko z powrotem znaleźć się w ciepłym wnętrzu, choć na chwilę. Na szczęście gospodarz szybko otworzył i wpuścił mnie do środka, nie bardzo wiedząc, z kim ma do czynienia, bo twarz miałem zasłoniętą chustą.

Domy, do których nas swego czasu przeniesiono, były porządne, ceglane i co najważniejsze: poniemieckie, a Niemiec może i świnia, ale głupi nie jest. Każda chałupa miała dodatkowe wejście do domu właśnie na potrzeby zimy, zbudowane od zawiętrnej i podniesione na kilku schodach, a do tego zadaszone. Czasem były to główne drzwi do domu, kiedy indziej boczne lub tylne, w każdym razie sprawowały się wyśmienicie i nawet przy bardzo śnieżnych zimach można było wyjść z domu bez problemu.

Bernard wysłuchiwał mojej sprawy, wcześniej dając mi kubek gorącej kawy zbożowej na rozgrzewkę, po czym dziarsko się ubrał, a widząc mnie oblepionego śniegiem, wyciągnął z szafy wszystko, co miał na zimę. Założył karpie i ruszyliśmy w drogę powrotną.

Myślałem, że będzie łatwiej, bo pójdziemy po moich śladach, ale gdzie tam, wszystko zasypane. Bernard miał latarkę, ale jej światło nic nie dawało, burza pożerała je łapczywie, jakby pragnęła tylko jednego, by na świecie zapanowały ciemność i chaos.

Zośka czekała zapłakana, ale w kuchni pojawiła się już moja matula i pocieszała sąsiadkę. Ojciec nerwowo szarpał wąsa i chodził w kółko. Tak to jest, jak mężczyzna jest bezsilny i nie może nic poradzić na kłopot, zaczyna się miotać w kółko niczym lew po klatce.

– Dajcie coś ciepłego do picia – poprosił Bernard i wcale mu się nie dziwiłem, szliśmy może kwadrans, ale czułem się, jakbym pół dnia przerzucał siano w stole.

– Moja Anula nie wróciła do domu z pasterki – powiedziała Zośka, nie czekając, aż się rozbierzemy i ogrzejemy.

– Wiem, młody mi wszystko powiedział – odparł sołtys.

– Była z wami? – dopytywała kobieta. – Podobno liczyłeś wszystkich.

– Zosia, ja ludzi policzyłem i było w sumie osób czterdzieści siedem – odpowiedział Bernard. – Ale wszystkich, co byli, nie wyznaję. Zarówno w osadzie, jak i po pasterce każdy ładował się do autobusu i nie patrzyłem, kto jedzie, a kto nie.

– Na pewno pojechała – oznajmiła kobieta z niezachwianą pewnością w głosie.

– Jak żeśmy robili ewakuację – kontynuował Bernard, odbierając od mojej matuli kubek z kawą – to zamieszania było sporo, ja tylko ludzi policzyłem. A czy była? No zdaje mi się, że mogła być.

– Czyli była. – Zośka złapała się słów sołtysa niczym przysłowiowy tonący brzytwy.

– Tak mi się coś zdaje – odpowiedział Bernard, ale ton jego głosu zdradzał, że pewności nie ma.

– A jakżeś liczył na powrocie ludzi, to widziałeś ją? – zapytał ojciec.

W odpowiedzi sołtys pociągnął solidny łyk z kubka i wzruszył ramionami.

– Czterdzieści siedem osób, z dziećmi razem licząc, wyszło z autobusu po wypadku i tyle samo przywędrowało do osady – stwierdził. – Jeśli była w samochodzie, to i wróciła cała razem z nami.

– Andrzejek będzie wiedział – powiedziałem z ciężkim westchnieniem, bo wiedziałem, że mnie zaraz czeka podróż przez całą osadę pod dom kierowcy auto-sanu.

– No tak, on powinien – stwierdził ojciec, a Bernard przytaknął.

– Bo kierowca? – zapytała Zośka.

– Bo mieli się ku sobie – odpowiedział jej sołtys.

– A gdzie tam – oburzyła się kobieta. – Moja Anula to w ogóle o chłopakach nie myślała. Modliła się tylko w domu i marzyła, żeby na gosposię księdza pójść, a może nawet i do zakonu. Nawet do Jeleniej Góry jeździła na rekolekcje.

Nikt nie skomentował, bo wiadomo, że rodzice o swoich dzieciach wiedzą najmniej, a widzą tylko to, co chcą zobaczyć. Anula strzelała oczami za chłopakami jak każda dziewczyna w jej wieku, była ładna i kształtna, to i myśmy za nią też się oglądali. Nawet Mietek robił podchody pod nią, ale ta za Andrzejkiem się oglądała i wiadomym było, że przy byle okazji wsiadała do jego autobusu, żeby z nim pobyć, a rekolekcji w Jeleniej Górze najpewniej na oczy nie widziała i dałbym sobie za to rękę uciąć.

Dopiłem kawę i zacząłem się ponownie ubierać. Na szczęście za oknem zaczęło się robić widniej, chociaż mimo świtu pogoda wcale się nie poprawiała; wiało z taką samą mocą jak w nocy, a może i nawet mocniej. Jednak dzięki temu, że słońce gdzieś tam za ciemnymi, ciężkimi chmurami świeciło z całą swoją mocą, szło się lepiej i szybciej. Mogłem już nie po omacku i na pamięć szurać po śniegu, ale co jakiś czas podnieść głowę i spoglądać na drogę. Z powrotem miałem iść z wiatrem, co da nieco oddechu.

Andrzejek też już nie spał, siedział w kuchni przy piecu i palił nerwowo papierosa. Zastukałem w okno, a ten szybko mnie wpuścił. Gdy wysłuchał, z jaką sprawą przychodzę, od razu się ubrał i bez zbędnej dyskusji ruszył do naszego domu.

Z wiatrem szło się łatwiej i gdybym miał narty na nogach, to pewnie bym nie musiał nawet za bardzo pomagać sobie kijkami.

W domu czekał na nas komitet powitalny wzbogacony o mojego stryja, który pomagał matuli przygotować śniadanie dla wszystkich.

– Czemuście mnie nie obudzili wcześniej? – oburzał się stryjek, gdy z Andrzejkiem zdejmwaliśmy oblepione śniegiem ubrania.

– Boś gość – odparł mu ojciec. – A i co byś pomógł?

– Dajcie spokój – uciszył ich Bernard, napełniając kieliszki nalewką i podając mnie i Andrzejkowi na rozgrzewkę. – Trzeba szybko Anulę odnaleźć, a nie się tutaj wyklócać.

– Gadaj, Andrzejek – zarządził mój ojciec, gdy tylko wypiliśmy i zasiedliśmy przy stole. – Była ta Anula na pastercie?

– Była – odpowiedział z pewnością chłopak.

– Wracła z nami? – zapytał sołtys.

– Tak jest, z przodu siedziała – odparł Andrzejek. – A jak już wróciliśmy do osady, to pod sam dom ją odprowadziłem, żeby w tej kurzawie się nie zagubiła.

– Weszła do domu? – zapytał stryjek.

Tutaj Andrzejek rzucił płochliwe spojrzenie w stronę Zośki, a później błagalne na sołtysa.

– No gadaj, nikogo się nie bój – powiedział Bernard. – Musimy wiedzieć.

– Nie wiem, czy weszła do domu – odparł cichym głosem chłopak. – Ona nigdy nie pozwalała mi za furtkę wchodzić, żeby... – Zawiesił głos.

– No żeby nikt z domowników nie zobaczył, że z tobą wraca – dopowiedział za niego Bernard.

– No tak – potwierdził cicho Andrzejek.

Zośka siedziała niewzruszona, jej zacięta mina zwiastowała, że aż dwie tragiczne wiadomości spadły na nią w pierwszy dzień świąt, zaginęła jej córka i, jak się okazało, mogła nie być dziewczicą i miłować innego chłopca niżli tylko Jezusa Chrystusa.

– Czyli tutaj mamy jasność – odezwał się stryj Jan. – Była na pasterce, wróciła z niej, ale nie wiadomo, czy dotarła do domu. Chciałbym zobaczyć wasze mieszkanie, pani Wiśniewska.

– Ale jej w domu nie ma – odpowiedziała. – Cały przeszukałam.

– Ja nie jej będę szukał – odparł stryj.

– A kogo? – zapytała zdziwiona kobieta.

– Śladów – odpowiedział.

– Janek jest milicjantem – wyjaśniła matula, chociaż wszyscy o tym wiedzieli, ale widocznie trzeba było to głośno wypowiedzieć, żeby uprawomocnić jego działania.

– No to idziemy – powiedział mój ojciec i dźwignął się z krzesła.

– O nie – zaprotestował stryj. – Idę ja sam i tylko Michał do pomocy.

– Dlaczego? – zdziwił się ojciec.

– Im więcej ludzi na miejscu, tym gorzej – wyjaśnił stryj. – A chłopak ma młode oczy, prędzej coś dostrzeże. Dajcie nam wszystkie latarki, jak macie, bo prądu nie ma, a musimy sobie przyświecić.

– Chałupa otwarta – poinformowała Zośka z lekką nutką nadziei, chyba fakt, że zajmie się sprawą milicjant, podniósł ją na duchu.

– A jak Anula była ubrana? – zapytał stryj.

– Szare palto, rękawiczki z niebieskiej wełny i taka sama czapka – opisała córkę kobieta. – Buty nowe, kozaczki czarne bez obcasa, ledwo udało się je dostać przed świętami, pół dnia w kolejce stałam. Sukienkę miała też wełnianą, z takiej szarej włóczki, sama wszystko na drutach robiłam.

– Dobrze, to idziemy – zarządził stryj i kiwnął na mnie głową.

Tym razem ubierałem się z radością. Milicyjna robota, to było coś. Badanie miejsca przestępstwa, jak w komiksach o kapitanie Żbiku albo serialu z porucznikiem Borewiczem, o7 zgłoś się. Chłopaki mi nigdy nie uwierzą, jak im opowiem.

Stanęliśmy w progu ubrani jak na wojnę i wyposażeni w cztery latarki. Stryj spojrział na mnie i puścił do mnie oko. Widział moje podniecenie i rozumiał je doskonale, chociaż ja trochę się go wstydziłem. Zaginęła moja sąsiadka, a ja cieszyłem się, że biorę udział w akcji jej poszukiwania.

Wyruszyliśmy.

Wycieczka była krótka, bo Wiśniewscy z nami sąsiedowali. Po prawej stronie naszej chałupy stał domek dziadków, a po lewej mieszkały właśnie Zośka z Anulą. Jednak nawet te kilkanaście metrów dało nam popalić ostrym śniegiem bijącym prosto w twarz. Szybko dotarliśmy do drzwi i weszliśmy do środka. Jeszcze w progu stryj mnie zatrzymał.

– Tu się rozbieramy – polecił. – Wieszamy wszystko przy drzwiach. Ale najpierw przyświeć.

Uruchomiłem szybko kwadratową latarkę, którą mój dziadek zawsze nazywał baterijką. Omiotłem żółtym światłem sień, ale nie było w niej niczego, co by wydało mi się podejrzane. Kosz wiklinowy na mokre rzeczy, gumofilce, czarna parasolka i nowe berloce<sup>2</sup>.

– Coś cię zastanawia? – zapytał stryj.

– Wszystko jak zawsze – odpowiedziałem, bo bywałem tu często. Od Anuli czasem pożyczałem podręcznik do matematyki, bo mój miał wydarte dwa rozdziały, a że Zośka była wdową, to i z ojcem pomagaliśmy im przy gospodarstwie. Drewna się narąbało, czasem coś przy domu zrobiło.

Zacząłem się rozbierać, ale stryj mnie powstrzymał.

– Popatrz na swoje ubranie – polecił. – Jakie jest? I jakie było, gdy wróciliśmy z pasterki?

– No całe w śniegu – odpowiedziałem, patrząc na rękawy kurtki, i w lot zrozumiałem. – Jakby wróciła do domu i się rozebrała, to byłoby tu mokro. Cały ten śnieg by stopniał.

– Tak jest – potwierdził stryjek. – Przypomnij sobie naszą sień, z butów kałuże takie, że twoja matka ścierki kładła, a wszystko suszyło się przy piecu i ciekło z tego jak ze świeżo wypranego.

– Nie wróciła do domu – stwierdziłem.

– Nie – zgodził się stryj. – Chyba że jako porządna dziewczyna zaniósła mokre rzeczy do łazienki i je rozwiesiła, ale Zośka by je zobaczyła.

– To dokąd poszła?

– Tego musimy się dowiedzieć. Rozbieramy się.

– A nie powinniśmy iść szukać? – zdziwiłem się.

– Na to przyjdzie czas – odparł. – Jeśli dokądś poszła, to musiała mieć powód. Możliwe też, że nigdy nie dotarła pod dom.

– Ale przecież Andrzejek... – zacząłem, ale przerwałem. – Myślisz, że to on jej coś zrobił?

– W zdecydowanej większości przypadków za śmiercią człowieka stoi ktoś bliiski, mąż albo chłopak, kochanek, czasem rodzic. Tutaj szuka się zawsze na samym początku, dopiero później sprawdza się obcych.

– Ale dlaczego on miałby ją zabić? – zapytałem. – Przecież mieli się ku sobie.

– Tego właśnie postaram się dowiedzieć.

Zostawiliśmy buty i odzienie wierzchnie w sieni, po czym weszliśmy do kuchni. Było ciepło, pod piecem cały czas się paliło, w powietrzu unosił się jeszcze aromat wigilijnych potraw, najmocniej dało się wyczuć kapustę z grochem.

– Wiesz, gdzie miała pokój? – zapytał stryj.

– Na poddaszu – odparłem i skierowałem się w tamtą stronę.

Weszliśmy na górę po trzeszczących schodach, przydałoby się sprawdzić, czy stopnie dobrze trzymają i całość nawoskować. Na górze były tylko drzwi do pokoju Anuli i drugie do strychu, który zajmował pół poddasza.

– Niczego nie dotykaj – powiedział stryj, po czym nacisnął klamkę na samym jej koniuszku i wszedł do środka, podążając po śladzie promienia swojej latarki.

Wkroczyłem za nim i w świetle świeżo zapalanej lampy naftowej zobaczyłem to, czego właściwie się spodziewałem, czyli pusty i posprzątaný pokój z równo pościelonym łóżkiem. Wszystko było tak jak zazwyczaj, tapczan pod ścianą, pod oknem stary stół robiący za biurko, szafa i komoda, na ścianie plakat Czerwonych Gitar informujący, że „Gramy i śpiewamy najgłośniej w Polsce”. Roman-tyczka, nadal słuchała tego zespołu, chociaż jej rówieśnicy już nucili na szkolnych korytarzach Piechotę do lata Bajmu. Na nocnym stoliku obok łóżka stał obszczerbiony kubek po herbacie, niczym samotny strażnik nieporządku, znak, że jednak ktoś tu żyje.

– I jak? – zapytał stryj.

– Normalnie wszystko – odpowiedziałem. – Tyle że tak dziwnie, pierwszy raz jestem tu sam, bez Anuli.

– Rozejrzyj się, a jak musisz czegoś dotknąć, to nie palcami. – Podał mi lnianą chusteczkę z kraciastym wzorem na rogach, sam wziął drugą i podszedł do szafy.

– Tak wolno grzebać w rzeczach? – zapytałem.

– Normalnie nie – odparł. – Ale teraz to, co znajdziemy, może jej uratować życie. Zagineła i może ktoś ją gdzieś uwieźił, kto wie.

– Andrzejek?

– Może i on. Przeglądaj rzeczy i odkładaj wszystko na miejsce.

Nie miałem śmiałości, ale co było robić, może i faktycznie mogliśmy uratować jej życie, kto wie. Podszedłem do stołu, na którym oprócz lampy naftowej leżały



jej szkolne zeszyty i kilka podręczników. Reszta spoczywała w tornistrze stojącym obok łóżka. Mieliśmy przerwę świąteczną, ale Anula była pilną uczennicą, pewnie się uczyła nawet i teraz, gdy my woleliśmy popijać biber w stodole starego Brysia.

Na półce obok łóżka stał adapter i kilka płyt oraz nowiutkie radzieckie radio neywa, którego szczerze jej zazdrościłem. Co prawda Zośka była wdową, ale jej brat jako dyplomata został wysłany na placówkę gdzieś w Związku Radzieckim i przysyłał stamtąd paczki, zatem Anula od swojego wuja dostawała często rzeczy niedostępne w Polsce. Radio było jednym z takich caczuszek.

– Dalej chłopaki spotykają się w stodole starego Brysia? – zapytał stryj.

– Ale że my? – zapytałem.

– No daj spokój, przecież ja niedawno też tam chodziłem – odparł.

– No tak – odpowiedziałem.

– A dziewczyny? Za moich czasów to chodziły do starej mleczarni.

– Spaliła się od pioruna dwa lata temu.

– To dokąd teraz chodzą?

– Raczej nawzajem do domów się spraszają.

– Anula cicha była i bogobojna, taka szara myszka, co nie?

– Raczej tak, grzeczna i mądra dziewczyna. Najlepiej się uczyła.

– Szary płaszcz, szary sweter, szare życie.

– Niby tak.

– Ale przyjaciółki miała?

– Pewnie – odparłem. – Nawet jeśli nie chodziła z nimi na zabawy, to ją lubiły, bo pomagała w lekcjach.

– Miała taką najlepszą przyjaciółkę? – dopytywał stryj.

– Raczej nie – odparłem z przekonaniem, bo akurat to wiedziałem, moja Alicja mi opowiadała różne ploteczki.

– Michał, wy w stodole starego Brysia trzymacie biber i pewnie obrazki z gołymi panienkami. No chyba że te gazetki z Niemiec, które jeszcze mój kumpel z wakacji przywiózł, to wyrzuciliście, w co wątpię.

Zarumieniłem się w odpowiedzi, mając nadzieję, że z racji niezbyt mocnego światła Janek tego nie zauważył. Nie czekał na odpowiedź.

– To powiedz mi – ciągnął. – Czy takie samo miejsce mają dziewczyny?

– Teraz chyba nie – odparłem. – Alicja jak opowiada, to siedzą u niej albo czasem u Baśki Grabarczyk, bo tam najwięcej miejsca.

– Czyli jeśli miała coś cennego, czego nie chciała pokazać matce, to musiała trzymać tutaj – stwierdził stryj.

– Co na przykład?

– List od ukochanego, prezent od niego, może pamiętnik. Kto wie. Wspólne zdjęcie, może jeszcze coś innego.

W szafie Anuli znalazłem jej ubrania, ale chcąc poszperać głębiej, zaświeciłem na dno dębowego mebla, solidnego, jeszcze poniemieckiego. Znalazłem kartonowe pudełko.

– Mam coś – poinformowałem.

Stryj podszedł od razu i wyjęliśmy znalezisko, postawiliśmy na stole obok lampy naftowej. W kartonowym pudle z radzieckimi literami świadczącymi o tym, iż znajdowały się w nich kiedyś buty, znaleźliśmy kilkadziesiąt fotografii. Przeglądaliśmy je po kolei, ale żadna nie pokazywała nikogo, kogo bym nie znał. Rodzice Anuli, bo ojca jeszcze pamiętałem, jej wuj, ona sama przy chrzcie, a potem u komunii, wszystkie nieco powycierane, pewnie były często przeglądane, ząbkowane brzegi były lekko zniszczone.

– Tutaj raczej nic – stwierdził stryj. – Odłóż na miejsce.

Spełniłem jego polecenie, a on tymczasem przesunął promieniem światła po ścianach, oświetlając najpierw krzyż nad progiem, potem obraz Jezusa spoglądającego gdzieś w górę, następnie pamiątkę z pierwszej komunii świętej, no i plakat Czerwonych Gitar na końcu.

– Gdzie byś schował coś cennego, wiedząc, że jedyna osoba, która tego będzie szukać, to twoja matka? – zapytał stryj.

– Gdzieś poza domem? – podrzuciłem.

– Ale powiedzmy, że jesteś zwyczajną, romantyczną dziewczyną, która chce mieć to pod ręką, żeby sobie na przykład powspominać ukochanego.

– Jakąś skrytkę bym zbudował – odparłem. – Drugie dno w szufladzie albo podwójne plecy w szafie.

– A gdybyś nie potrafił?

– Szukałbym miejsca, gdzie matula nie zajrzy.

– Jak sprząta, to zajrzy wszędzie – odpowiedział stryj. – Nawet obrazy przetrze.

– Zgadza się... – Przypomniałem sobie, jak matula wpadała raz na jakiś czas do mojego pokoju, robiąc generalne porządki. Była niczym ten huragan za oknem, tylko nie toczyła mas śniegu, ale porywała brudne ubrania i kurz, który się nagromadził, ale wyla dokładnie tak samo i była chyba nawet nieco groźniejsza.

– W dodatku jest tu mama, która mocno pilnuje moralności córki – kontynuował stryj. – Zajrzy wszędzie. Nawet radio rozkręci, jak coś jej nie będzie pasowało.

Podał mi nowe, lśniące fabryczną czernią radyjko neywa, pokazując palcem śrubki z tyłu, ewidentnie ktoś już je odkręcał. Mogli to być jednak równie dobrze celnicy, chociaż czy wolno im sprawdzać przesyłki dyplomatyczne?

– No to nie wiem.

– Ja bym schował tutaj – wskazał na półkę, gdzie stały tylko trzy książki. *Katechizm kościoła katolickiego* w pięknej, niebieskiej okładce, książeczka do nabożeństwa i Biblia w pięknym, dużym wydaniu, w czarnej okładce.

Podniósł Biblię, po czym usiadł na łóżku i począł ją kartkować. Ku mojemu zdziwieniu, bo nigdy bym akurat w tym miejscu nie szukał, już po chwili wyciągnął triumfalnie różową kartkę z papieru papeteryjnego, który służył do wysyłania ozdobnych listów.

– O cholera – skomentowałem. W tym momencie zdecydowałem, że naprawdę chcę zostać milicjantem.

– Posłuchaj mnie, Michał. – Stryj spojrzał na mnie bardzo poważnie. – To, co tutaj znaleźliśmy, i wszystko, co ustaliliśmy i co jeszcze ustalimy, zostaje między nami, rozumiesz?

– Tak.

– Absolutnie nikt nie może się dowiedzieć o tych kartkach, bo widzę, że jest ich tu więcej. Nikt. Nawet ksiądz na spowiedzi. Jeśli ktoś Anuli zrobił krzywdę, to najpewniej o nich nie wie, a to może być ślad. Możliwe, że nie uda nam się go rozszyfrować teraz, ale może być częścią układanki w przyszłości. Z drugiej strony może o tym wiedzieć i spróbować zatrzeć ślady, wtedy jest szansa go złapać.

– Rozumiem, kompletna tajemnica śledztwa – odparłem, kładąc rękę na sercu.

– Dokładnie – potwierdził stryj. – Podaj mi jakiś jej zeszyt i ołówek. Notuj numery stron, na których znajdujemy kartki.

– To jakiś szyfr? – zapytałem.

– Nigdy nie wiadomo, co ma znaczenie – odparł. – A jeśli dziewczyna nagle się znajdzie, to trzeba to będzie niepostrzeżenie odłożyć na miejsce.

Stryj wyjmował kolejne kolorowe kartki papeterii, a ja notowałem posłusznie numery na ostatniej kartce zeszytu do języka polskiego. W sumie na łóżku wylądowało dwadzieścia jeden stron.

– I co to jest? – zapytałem. – Jej pamiętnik?

– Nie.

– Listy do ukochanego?

– Też nie – odparł stryj. – Chociaż po części jedno i drugie – dodał, podając mi pierwszą kartkę, na którą łączywie rzuciłem wzrokiem, łapiąc ją wcześniej przez chusteczkę.

– Wiersz – stwierdziłem z lekkim zawodem.

– Cały zestaw, nieomal tomik poezji.

– Czyli nic ciekawego.

– Wręcz przeciwnie. – Podał mi kolejne kartki. – Czytaj.

– Same miłosne.

– I świeże – dodał. – Daty są z tego roku, zaczęły się w czerwcu. Musiała kogoś poznać, może nieszczęśliwa miłość?

– Ale przecież cały czas z Andrzejkiem się prowadziła, to już od ponad roku, bo Alicja mówiła, że w poprzednie święta już się całowali.

– Może to o niego chodzi, a może o kogoś innego.

Czytałem wiersze po kolei i mimo iż literat ze mnie żaden, to jednak co to jest rym częstochowski, nawet ja wiem, a tych było tu sporo. Proste rymowanki, ale cały czas mówiły o wyśnionym ukochanym, którego nigdy nie będzie mogła mieć obok siebie tak naprawdę, bo los jest przeciw nim.

– Zośka to zaborcza matka – stwierdziłem. – Pewnie na Andrzejka krzywo patrzyła, bo on już bardzo miastowy, miał się za nieco lepszego. Córkę do zakonu chciała posłać. Może to być i on.

– Może też ktoś inny, a Andrzejek się dowiedział i...

– Zabił.

– Kto wie. Powiedział, że ją odprowadził, ale tego nie sprawdzimy. Dokądś poszła, ale śladów nie ma.

– No tak.

– W taką wichurę na pewno nie ruszyła na spacer, musiała być z kimś umówiona. I to był ktoś, na kim bardzo jej zależało, nawet za cenę szwendania się w trakcie burzy śnieżnej. I miał imię zaczynające się na literę „A”.

Stryj podał mi kartkę i wskazał wiersz zatytułowany *Oda do A*.

– Wspomina też Romea i Julię, Tristana i Izoldę czy Wertera – dodał po chwili.

– To ktoś znany?

– Musisz się lepiej przygotować do matury – stwierdził. – Pytałeś mnie wczoraj, jak trafić do milicji. Tam biorą każdego, ale jeśli nie chcesz szlifować krawęż-

ników w najgorszych dzielnicach miasta, to musisz mieć dobre świadectwo. Ode mnie dostaniesz polecenie i poręczenie, ale wszystko zależy od ciebie.

– Tak, stryju – zapewniłem go szybko.

– Prosiłem, żebyś mówił mi po imieniu – odpowiedział. – Wspomniane przez Anulę w wierszach pary to byli nieszczęśliwie zakochani, choć w różnych konfi-guracjach, bo na przykład Werter bez wzajemności. Jednak faktem jest, że łączyło ich jedno: niemożność otwartego i legalnego związku. Zatem musimy znaleźć odpowiedzi na pytanie, o jaki związek chodziło.

– Jak to zrobimy?

– A kogo byś zapytał?

– Andrzejka – odparłem bez namysłu.

– Bardzo dobrze – ucieszył się Jan. – Do tego musimy jeszcze raz porozmawiać z jej matką i te dwie kwestie ja biorę na siebie. Musi za tym stać odznaka mili-cyjna.

– A ja?

– A ty masz równie delikatne zadanie. Odwiedź swoją dziewczynę i wypytaj o Anulę. Możesz nawet powiedzieć prawdę, że zaginęła, ale absolutnie nie wspo-minaj o wierszach. Zrozumiano?

– Tak jest.

– No to do roboty.

Odłożyliśmy Biblię na miejsce, ale wiersze stryju zabrał ze sobą. Sprawdził jesz-cze katechizm i modlitewnik, lecz nie znalazł w nich niczego ciekawego. Skinął głową, po czym zgasił lampę i pozostawił pokój w półmroku. Mimo poranka za oknem wciąż było ciemno od szalejącej wichury.

---

<sup>1</sup> Karple – obręcze z drzewa lub metalu zapobiegające zapadaniu się nóg w głębokim śniegu; rakiety śnieżne

<sup>2</sup> Berloce (gwarowo) – słomiane buty zakładane w zimie na normalne obuwie, ogrzewały stopę i ułatwiały poruszanie się po śniegu.

# ROZDZIAŁ 10

*Lis*

*Rok 2023*

Jan Ryś ziewnął przeciągle, dając znać dwóm funkcjonariuszom, że z chęcią zakończyłby to spotkanie i uciął sobie drzemkę. Wszak był starszym panem i taki odpoczynek po prostu mu się należał, chociaż na co dzień nie praktykował tego zwyczaju. Zerknął na zegarek, dochodziła szesnasta.

– Czyli nie sprawdził pan pomieszczeń na obecność zaginionej dziewczyny? – zapytał wyższy.

– Nie było sensu – odpowiedział. – Anuli tam nie było.

– Skąd ta pewność?

– Ostatnio czytałem o takich badaniach, że kot zawsze wie, w którym miejscu domu jest jego właściciel, nawet jeśli jest kilka pięter. Zofia Wiśniewska była właśnie takim typem, zresztą post factum okazało się, że faktycznie nie było Anuli w domu. Zatem zabraliśmy się do przeszukania jej rzeczy osobistych.

– Dobrze posunięcie – powiedział niższy.

– Oczywiście, że tak – zgodził się Ryś. – Różnie się teraz mówi o milicji, wiesz się na niej psy, ale pracowało tam wielu bardzo dobrych funkcjonariuszy, genialnych śledczych. Co najważniejsze, nie odchodzili na emeryturę przy pierwszej nadarzającej się okazji, żeby pilnować parkingów i hipermarketów, ale służyli długo i można było wiele się od nich nauczyć. Nie to, co teraz. Zatem skorzystałem i od pierwszego dnia służby uczyłem się zapamiętałe tego fachu i zaginięcie Anuli nie było pierwszą tego rodzaju sprawą, którą się zajmowałem.

– Tylko takie czasy, że musieliście służyć politykom – skwitował Podyma. – Co się potem na was odbiło.

Jan Ryś zaśmiał się głośno, rubasznie i chyba całkiem szczerze, po czym rozkaszał się i przepił kilkoma łykami wody.

– Tu się akurat nic nie zmieniło – powiedział, gdy już doszedł do siebie. – Jeszcze nie wiadomo, z czego wy się będziecie kiedyś musieli tłumaczyć. I proszę, nie rozśmieszajcie mnie, bo gubię wątek, a muszę mocno grzebać w pamięci.

– Czyli przeszukanie domu i pokoju dziewczyny nic nie dało? – zapytał Podyma nieco zmieszany.

– W mieszkaniu nie było jej śladów, na pewno nie wróciła z pasterki do domu nawet na chwilę, od razu poszła na umówione spotkanie. Nie znalazłem śladów walki, krwi czy czegokolwiek wskazującego chociażby na większą kłótnię. Matka dziewczyny była cholernie apodyktyczna, ale który rodzic wtedy nie był. Dzieci miały się przede wszystkim słuchać starszych i finito. Dopóki mieszkały pod jednym dachem z rodzicami, miały gówno do gadania. Przemoc fizyczna też była na porządku dziennym. Nie znam dzieciaka, który nie dostał od ojca pasem po dupie.

– Matka biła Anulę? – zapytał Sukiennik.

– Nie sądzę – odparł Ryś. – To było dręczenie psychiczne, ale też bez przesady. Dzisiaj nazywa się takie postępowanie mianem toksycznego rodzica. Wymyśliła córce przyszłość, święcie wierząc, że takiej samej drogi życiowej chce dziewczyna. A Anula miała normalne marzenia zwyczajnej dziewczyny ze wsi: zakochać się, mieć dobrego męża i gromadkę dzieci. Nie w głowie jej był wielki świat, ale i nie zakon.

– No dobrze – odezwał się Podyma. – Czyli nic nie wskazywało na awanturę, porwanie czy cokolwiek budzącego podejrzenia. A pokój dziewczyny?

– Pusty – odpowiedział Ryś rozkładając ręce. – Kompletnie nic ponad to, co można było w latach siedemdziesiątych znaleźć w pokoju nastolatki.

– Żadnych notatek, liścików, zapisków czy pamiętnika? – dopytywał komisarz.

– Niestety. Mam podejrzenia, że bała się trzymać cokolwiek takiego w domu, matka pewnie regularnie przetrzepywała jej rzeczy osobiste.

– Może schowała w innym pomieszczeniu? – nie odpuszczał Podyma. – Trzeba było jednak przeszukać dom.

– Komisarzu, nie było światła, dom był obcy, a ja byłem sam – odpowiedział Ryś. – Komu mogłem zaufać, skoro każdy mógł stać za jej zniknięciem? Dziś to prosta sprawa, wzywa się technikę, zamyka dom i panowie znajdą nawet jej pierwszego mleczaka, ale wtedy liczył się czas. Założyłem, że dziewczyna zagięła, a warunki były trudne. Za oknem szalała wichura, śnieg walił niemal poziomem i już sięgał jednego metra.

– Czyli co pan zrobił? – zapytał niższy.

– A proszę mi powiedzieć, co by pan komisarz zrobił w takiej sytuacji? – odbił pytanie Ryś. – Takie ćwiczenie dla asów, pogłówkujcie.

– Prosta sprawa – odpowiedział Sukiennik. – Przeszukania nie dało się zorganizować ze względu na warunki pogodowe. Szukałbym sprawcy wśród najbliż-

szych, czyli matka lub chłopak.

– Widzicie panowie – Ryś się uśmiechnął. – Czasy się zmieniły, pojawiły się telefony komórkowe, sztuczna inteligencja, ale jedno się nie zmieni nigdy.

– Motywy sprawców – stwierdził Podyma.

– Otóż to – zgodził się emerytowany policjant. – Dziewczyna nie miała długów, nie kłóciła się o majątek z rodziną, więc ten motyw nie wchodził w grę. Musiało zatem chodzić o uczucia, zazdrość lub napaść na tle seksualnym.

– Lub chorobę psychiczną matki – dodał Sukiennik. – Lub kogokolwiek we wsi.

– To też, ale wiadomo, że w takiej małej społeczności o chorobach psychicznych sąsiadów raczej wszyscy wiedzą. Odrzuciłem ten motyw po rozmowie z matką. Była zaborcza, zimna w uczuciach, ale świadoma swoich czynów i nawet tego, że jest dla córki surowa. Równie dobrze mogliśmy brać na poważnie opowieści o demonie szalejącym po wsi.

– Zatem miłość i zazdrość? – zapytał Podyma.

– Otóż to, miłość i zazdrość – odparł Ryś. – Zatem na pierwszy ogień ponownie wziąłem jej matkę, ale ta naprawdę niczego więcej nie wiedziała i nawet w obliczu faktów nie wierzyła w związek jej córki z kierowcą pekaesu. Myślę, że ona już wtedy ułożyła plan, że tak naprawdę to on ją zgwałcił i zabił, bo jej córka przecież nigdy nie rozłożyłaby nóg przed mężczyzną. Pewnie gdybym miał psychologa pod ręką, to coś więcej by z niej wyciągnął, ale nie miałem tego komfortu. Zresztą wtedy psycholog był postrzegany niemal niczym szaman.

– Czyli wykluczył pan na tym etapie współudział lub sprawstwo matki? – zapytał Podyma.

– Tak – odparł zdecydowanie Ryś.

– Zrobiłbym dokładnie tak samo – zgodził się Sukiennik, a jego kolega pokiwał głową.

– Zabrałem się zatem do jej chłopaka, czyli Andrzejka, kierowcy tego feralnego autobusu, o którym opowiadałem wcześniej.

– I co?

– Utrzymywał swoją wersję, że odprowadził dziewczynę pod dom i odszedł, a czy weszła do środka, już nie wiedział, zadyma straszna i zniknęła mu z oczu. Wicie, to była spokojna wieś i nikt tam się nie bał po nocy chodzić. Odprowadził ją tylko ze względu na pogodę. No i może za buziaka na dobranoc, a nie ze strachu, że może ją ktoś napaść.

– Uwierzył mu pan? – zapytał Podyma.



– Powiem tak. – Ryś złapał za kubek, ale nie znalazł w nim kawy, odstawił naczynie ze skwaszoną miną. – Sami macie do czynienia ze świadkami, podejrzanymi i oskarżonymi i często wiecie, czy ktoś mówi prawdę, czy też łże jak pies. Taki policyjny zmysł. Dziś co prawda nie bije się w celu odświeżenia pamięci czy też przypomnienia, że kłamstwo nie popłaca, ale wtedy także nie mogłem sobie na to pozwolić, nie byłem w komendzie, tylko w rodzinnym domu. Chłopak był w ciężkiej sytuacji, bo jego ukochana zniknęła, a on widział ją jako ostatni. Przemaglowałem go. Naprawdę srogo. Straszylem, groziłem, nakreślałem wizję odsiadki w trudnych warunkach, ale też grałem na uczuciach, że dziewczyna może zamarza gdzieś w rowie. Wykorzystałem wszystkie znane mi bezprzemocowe metody przesłuchania. O wierszach nic nie wiedział. Na koniec dowałem, że z moich informacji wynika, że miała drugiego kochanka.

– No i? – dopytywał niecierpliwe Podyma.

– Doznał szoku – odpowiedział emerytowany policjant. – Załamał się i oskarżył mnie o kłamstwo.

– Szczera reakcja? – zapytał Sukiennik.

– Uwierzyłem mu – odpowiedział Jan Ryś. – Ale nie wszyscy tak łatwo dali wiarę jego zapewnieniom. Zrobiło się nerwowo.

Spojrzał na dwóch policjantów, wyraźnie było widać, że historia zaczyna ich wciągać. Powinienem nazywać się Lis, a nie Ryś, pomyślał emerytowany policjant.

## ROZDZIAŁ 11

### *Cisza*

*Rok 1978*

Alicja ucieszyła się na mój widok, chociaż już po chwili zgromiła mnie wzrokiem, a nawet i słownie.

– Dlaczego łazisz po wsi w taką pogodę? – rzuciła z naganą w głosie, pomagając mi się rozebrać. – Zamarznąć idzie!

– Mam pilną sprawę.

– Jutro miałeś być – szepnęła, rozglądając się trwożnie na boki, ale jej rodziców czy siostry nie było w pobliżu.

– To swoją drogą – odparłem. – Ale teraz musimy pomówić.

– Kto przyszedł? – dobiegło z głębi domu wołanie jej matki, kobiety równie urodziwej jak i moja ukochana, choć z nieco ostrym charakterem, przez co wszyscy chłopcy w osadzie woleli jej unikać.

– Michał – zaraportowała Alicja.

– No to niech wchodzi, herbaty wam zrobię, pewnie zziębnięty. – Głos się zbliżał i po chwili ujrzałem w przedpokoju starszą wersję mojej dziewczyny z talerzem pełnym równo pokrojonego piernika. – Jadłeś coś?

– Bardzo dziękuję, nie jestem głodny – odpowiedziałem z uśmiechem.

– Bzdury – machnęła wolną ręką. – Zaraz ci coś przygrzeję. No, idźcie do pokoju, a ja przyniosę herbatę i ciasto, a potem pierogów z kapustą i grzybami, Alicja sama robiła, spróbujesz.

Podziękowałem i chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale Alicja szarpnęła mnie za rękę i pociągnęła w stronę swojego pokoju.

Gdy weszliśmy do środka, automatycznie porównałem to miejsce z pokojem, który przyszło mi nie tak dawno przeszukać. Dwa różne światy. Co prawda na ścianach nie było plakatów ani obrazków z Jezusem, wisiało za to kilka szkiców, które Alicja sama wykonała. Rysunek był jej pasją i skrycie marzyła o dostaniu się na Akademię Sztuk Pięknych we Wrocławiu. Jej prace przedstawiały las, zazwyczaj z mroczną otuliną będącą mieszkanką bladego światła i języków lepkiego cienia. Byłem tu ostatnio przed kilkoma tygodniami i od tego czasu pojawiły się

dwie nowe prace, szkic kościoła we Wnykach i Śnieżka z niedawno oddanym do użytku obserwatorium meteorologicznym składającym się z nachodzących na siebie kręgów.

Ale nie to najbardziej zwróciło moją uwagę, tylko kolory. Zielona narzuta na łóżko, na niej żółty i niebieski jasiek, na stoliku wazon z zasuszonymi kwiatami, czerwony talerzyk na ciasto, biała serweta, kwieciste zasłonki w oknach, a u Anuli wszystko było szare. Czy gdyby te dziewczyny zamieniły się miejscami, to Zośka w mojej Alicji także stłamsiłaby tę radość życia, miłość do kolorów i talent do tworzenia obrazów?

– Opowiadaj, co się stało – zarządziła, siadając na tapczanie i wskazując mi krzesło przy biurku.

– Możemy zamknąć drzwi?

– Świntuch! – parsknęła.

– Nie o to chodzi, muszę ci coś powiedzieć w tajemnicy.

– Absolutnie wykluczone – odpowiedziała z uśmiechem. – Zaraz mama przyniesie ciasto. Jest dziś w wyśmienitym humorze, więc może to ona wychodząc, zamknie drzwi, a wtedy... – Puściła do mnie oko.

Jakby na zawołanie pani Klimkiewicz pojawiła się w pokoju i postawiła na stoliku dzbanek z herbatą oraz talerz z kilkoma rodzajami ciasta.

– Dobrze, że już wszystko popiekłam – oznajmiła, spoglądając w stronę okna, które odgradzało nas od nieprzyjemnej aury zaciągniętymi zasłonami. – Prądu nie ma i pewnie do sylwestra nie naprawią. Bardzo wieje? Może słabnie?

– Jest nieco lepiej – odpowiedziałem. – Wydaje mi się, że słabnie.

– No wczoraj nas nielicho przemroziło. – Westchnęła. – Mąż siedzi w pokoju przy piecu i nie rusza się na krok, pije grzane piwo. No, ale nie przeszkadzam wam, jedz, Michałku, ja jeszcze pierogów przygrzeję.

Mówiąc to, już ruszała w stronę wyjścia, a następnie – o dziwo – zamknęła za sobą drzwi.

– Masz farta – skwitowała Alicja, po czym wstała z łóżka i podeszła do mnie, rozpinając jednocześnie bluzkę. – Bardzo mi się wszystko podobało tamtej nocy, wiesz?

– Wiem, kochanie – odpowiedziałem, wstając. – Mi też, ale słuchaj, musimy poważnie porozmawiać.

– Poważnie? – zapytała, a na jej czole pojawiła się pionowa zmarszczka świadcząca o budzącym się gniewie. – Chodzi o twoją jutrzejszą wizytę? Rozmyśliłeś się?

– Ależ nie, skąd! – zapewniłem natychmiast. – Kocham cię!

– Yhm – chrząknęła nieprzekonana. – Wypadałoby udowodnić.

– Alicja, Anula zaginęła – rzuciłem szybko, bo nie było czasu na przekomarzanie się.

– Co?! – krzyknęła i od razu spojrzała na drzwi, ale jej głos nie zaalarmował czujnej matki. – Jak mogła zginąć? Kiedy? Co ty pieprzysz, Michał?

Posadziłem ją na tapczanie, a sam usiadłem obok, po czym na spokojnie opowiedziałem o wydarzeniach z rana, oczywiście pomijając szczegóły, o których zakazał mi mówić stryj. Przerywała mi kilka razy, pytając, czy nie robię sobie z niej jaj i czy to wszystko dzieje się naprawdę. Pod koniec opowieści jednak mi uwierzyła, widziałem to w jej oczach, patrzyła na swoje dłonie, jakby spodziewała się znaleźć w rękawie swojego brązowego sweterka odpowiedź na dręczące nas od wizyty Zośki pytanie.

– Po pierwsze, to nie mów na razie rodzicom – poleciłem. – Ogólnie nie mów nikomu. Sprawa jest delikatna i nie możemy wzbudzać paniki.

– Zgoda – odpowiedziała, wciąż patrząc w dół.

– I zastanów się, bardzo cię proszę, czy jest takie miejsce, gdzie mogła się schować na tę noc?

– Nigdy nie nocowała poza domem – odpowiedziała. – Nawet jak robiłyśmy sobie babskie wieczorki, to wracała do domu. Cholera, jak mój tato kupił ten wielki namiot na wakacje, taki z przedsiönkiem, i go rozbił na próbę, to spałyśmy w nim z dziewczynami, a ona nie mogła. Zrobiłyśmy sobie wtedy ognisko, tata załatwił nawet nam kielbasę, a ona zjadła i wróciła. Nie nocowała poza domem. Nigdy – podkreśliła dobitnie na koniec.

– Narzekała na matkę? – zapytałem, gryząc się od razu w język, bo zabrzmiało to jak jakieś oskarżenie.

– Ona ją kochała i to bardzo – odparła Alicja. – Wracała nie dlatego, że matka jej kazała czy też ją karała, po prostu nie chciała jej martwić i denerwować.

– Andrzejek twierdzi, że po pasterce odprowadził ją pod furtkę – powiedziałem.

– On też za nią świata nie widział – stwierdziła. – Ale ona to chyba bardziej z nim była, żeby ją woził autobusem. Zwodziła go, jak na moje.

– Nie rozumiem, jak to: woził autobusem?

– Chciała zostać pielęgniarką – wyjaśniła. – Chodziła na kursy wieczorowe w Jeleniej Górze. Matka nie chciała o tym słyszeć, więc musiała to robić w tajem-

nicy, no a Andrzejek kursował autobusem w tę i z powrotem, więc podchodziła na przystanek w Barcinku, a stamtąd zabierała ją do Jeleniej.

Zdziwiłem się, bo przecież Anula, jak cała młodzież z naszej osady, uczęszczała do liceum w Starej Kamienicy, a tu się okazuje, że ta szara myszka wiodła niemal podwójne życie.

– A ja myślałem, że ona taka skromna i bez ambicji – stwierdziłem.

– Widzisz, niektórzy potrafią bardzo dobrze się maskować – odparła. – Zazwyczaj im bardziej normalni się wydają, tym więcej mają tajemnic. Normalność skrywa tajemnice niczym skorupa żółwia jego wnętrze.

Upiłem tyk herbaty, bo faktycznie zaczęło mi się robić zimno, Alicja ciągle miała spuszczoną głowę i nie mogła pogodzić się z myślą, że jej koleżanka zaginęła.

– Kochanie, a gdzie ona trzymała podręczniki do tego pielęgniarstwa? – zapytałem po chwili namysłu.

– No tak – odpowiedziała Alicja. – Przecież nie mogła mieć ich w domu, matka na pewno by znalazła. No chyba że miała dobrą skrytkę.

– Założmy, że nie miała – odparłem.

– To może u Iwony – stwierdziła Alicja. – To jej taka niby przyjaciółka. Tak mi się wydaje, że jak coś, to właśnie u niej.

– Myślałem, że nie przyjaźniła się z nikim.

– Michaszku, no jak to nie. Każdy potrzebuje kogoś, komu może się zwierzyć. Ze wszystkiego – zakończyła z uśmiechem, a ja się zarumieniłem. – Może wy, chłopcy, tak nie macie, ale dziewczyna musi przegadać temat, wypowiedzieć pewne rzeczy na głos i upakować je w świadomości innej osoby, żeby wszystko nabrało realności. To jak ogłoszenie rozporządzenia czy ustawy w jakimś oficjalnym dzienniku ustaw, bez tego nie ma mocy prawnej.

– Iwona będzie chciała ze mną rozmawiać? – zapytałem, bo nie znałem jej bliżej, zamieniłem z nią w życiu kilka słów. Oczywiście za dzieciaka biegaliśmy całą bandą po osadzie i razem grzebaliśmy patykami w kałużach, ale gdy człowiek zaczyna dorastać, to nie tylko dziewczynom rosną piersi, ale i pojawia się nowa bariera w kontaktach i koleżanki nagle stają się odległe i nieuchwytnie, trzeba ponownie je zdobywać.

– Jeśli powiesz, że Anula zaginęła, to na pewno – odparła. – Mogę z tobą do niej iść, jak chcesz.

– Mama wypuści cię w taką pogodę?

Alicja wstała z łóżka i podeszła do okna, odchyliła kwieciste zasłonki i zobaczyliśmy biały świat, ale wiatr jakby zelżał, śnieg nie padał już poziomo, ale całkiem zwyczajnie, pod lekkim skosem, ot jak każdej zimy.

– Damy radę – stwierdziła. – Siądź tutaj i zjedz ciasto, talerz ma być pusty. Wracam za kwadrans.

Wyszła z pokoju, zostawiając mnie samego, a ja od razu nabrałem ochoty, aby pobuszować w jej rzeczach. Dziwne, jeszcze przed dwoma godzinami miałem opory, aby przeszukać pokój Anuli, a teraz nie wydawało mi się to takim złym czynem. No cóż, pierwszy grzech jest furtką do dalszych występków.

Wróciła faktycznie po około piętnastu minutach z zadowoloną miną i oznajmiła, że możemy ruszać. Zszedłem na dół, a ona została, aby się odpowiednio ubrać. Jeszcze w kuchni jej mama poczęstowała mnie pierogami, których nie chciałem jeść, ale nie wypadało odmówić potencjalnej przyszłej teściowej.

– Spokojnie, zanim zejdzie na dół, to zdążysz zjeść i przetrawić – uspokoiła mnie, widząc, jak łapczywie pochłaniam pierogi. – Musisz się przyzwyczaić, że na kobiety się czeka, im dłużej, tym bardziej warto.

Miała rację. Dobrze, że nie ubrałem się w mój cały zestaw przygotowany na burzę, bo chyba bym przybrał formę pieczonego kurczaka, którego mama zawsze podawała w drugi dzień świąt.

Czekanie dłużyło mi się potwornie, aż w końcu pojawiła się Alicja, wystrojona, jakbyśmy co najmniej wybierali się na randkę, a nie wydobyć informacje od naszej koleżanki. Gdy wyszliśmy na zewnątrz, powitała nas całkiem inna pogoda, niż królowała jeszcze godzinę temu. Śnieg padał, ale niemal nie wiało, choć dało się wyczuć większy mróz. Najważniejsze, że można było swobodnie rozmawiać.

– Powiedziała, że idziemy do twojej siostry – oznajmiła. – Mam jej pomóc w kobiecych sprawach, bo wstydzi się porozmawiać z mamą.

– Kłamczucha – odparłem. – Ładnie tak mamę oszukiwać?

– A ty nie kłamiesz mamie?

– Nigdy – odparłem zgodnie z prawdą, chociaż nie wiem, co by było, gdyby matula zapytała, co takiego właściwie robimy z kolegami w stodole starego Brysia.

Uśmiechnęła się i ruszyła przed siebie, stawiając ostrożnie kroki, nie była przyzwyczajona do chodzenia w karplach.

Do domu Iwony szliśmy, nie mówiąc za wiele, Alicja rozglądała się dookoła i co chwilę pokazywała palcem coraz to inne fragmenty naszej osady, które w zimowej scenerii sprawiały wrażenie, że znajdujemy się w całkiem innym, obcym miejscu. Śnieg zebrał się w największe zasy przy budynkach, a uliczki między

domami stanowiły teraz wąskie wąwozy z białymi ścianami. Znałem ten widok, Niemcy zakładając swoje miasteczka, planowali je tak, aby wszelkie prądy powietrzne przechodziły przez całą osadę, nie powodując szkód, zapewniając przepływ świeżego powietrza i – jak się okazuje – szczególnie w górskich warunkach nie zasypując chałup po same dachy. Centralny punkt wsi, czyli studnia, stanowił obecnie nieduży kopiec.

– Nigdy nie widziałam tyle śniegu – powiedziała. – Niesamowite.

– Prawdziwa zima stulecia – stwierdziłem.

I to była właściwie jedyna konwersacja, jaką mieliśmy po drodze. Ja skupiałem się w głowie na tym, jak podejść Iwonę, aby jej nie wystraszyć lub nie spowodować, że się zamknie w sobie i w fałszywym poczuciu solidarności z przyjaciółką nie piśnie ani słowa.

Ponownie przeszedłem przez etapy, które już odbyły się podczas mojej wizyty u Alicji. Powitanie, rozbieranie się, krótka rozmowa z gospodarzami o paskudnej pogodzie, potem pokój Iwony, herbata i ciasto, następnie szok i niedowierzanie, aż w końcu nadszedł czas konkretnej rozmowy. Żałowałem, że nie ma obok mnie stryja, pewnie on wiedziałby, jakie pytania zadać, bądź co bądź kończył odpowiednie kursy i szkoły, miał doświadczenie.

– Trzymała u mnie podręczniki, faktycznie – powiedziała Iwona, próbując opanować drżenie rąk. Była drobną, czarnowłosą dziewczyną, szczupłą i taka wichura, jaka szalała u nas ostatniej nocy, mogła ją bez trudu porwać. Mój ojciec pewnie skomentowałby jej wygląd gromkim „Hej, weź po ceglówce w kieszenie płaszczka, żeby cię nie zwiato!”.

– Tyle? – zapytałem. – Nie trzymała u ciebie niczego więcej?

– Tylko książki, to wszystko, nic więcej. Ale ona na pewno dokądś poszła, może się schowała, może zima ją odcięła gdzieś po drodze? – podrzucała kolejne wyjaśnienia.

– Masz jakiś pomysł, dokąd mogła pójść? – zapytała Alicja. – Może do Andrzejka?

– Nie, to na pewno nie – odpowiedziała zdecydowanie.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Ona bardzo uważała, żeby nie było na ich temat plotek. Nie chodzili za rękę, nie pozwalała się pocałować publicznie, nic z tych rzeczy. Gdyby ktokolwiek zobaczył ją pod domem Andrzejka, to... sami wiecie.

– No to jesteśmy w kropce – stwierdziłem z westchnieniem.

– Musimy jej szukać – powiedziała Iwonka.

– Pogoda się uspokoiła, zaraz zaczniemy – odparłem. – Ale i tak będzie to trudne zadanie, dlatego najpierw sprawdzamy miejsca, gdzie może przebywać.

– Ja pomogę – zaoferowała się. – Pewnie cała wieś ruszy na poszukiwania.

– Powiedz mi, nie miała przypadkiem jakiegoś innego ukochanego? – zapytałem, stawiając wszystko na jedną kartę.

– No skąd?! – oburzyła się.

– Może jakiś zazdrośnik koło niej się kręcił? – pytałem niezrażony.

– Zaraz, Michał – wtrąciła się Alicja. – Myślisz, że ktoś mógłby chcieć ją zabić?

– Nie wiem – uciałem szybko, żeby nie rozbudzać niezdrowych przypuszczeń.

– Nikogo nie miała ani nikt za nią nie chodził – odpowiedziała z niezachwianą pewnością dziewczyna.

W pokoju zaległa cisza, Iwona przetwarzała świeże wieści, a Alicja patrzyła na mnie pytająco, pewnie chciała pomóc, ale nie wiedziała za bardzo, w jaki sposób.

– Mogę zobaczyć jej podręczniki? – zapytałem, na co Iwona bez pytania wstała, podeszła do swojej komody i z dolnej szuflady wyjęła dwie książki w szarych okładkach. Ja w tym czasie wyszeptalem do mojej dziewczyny: „Zagadaj ją”, na co Alicja kiwnęła głową, potwierdzając, że rozumie.

Złapałem książki, nie przejmując się chusteczką, bo pewnie Iwona i tak zostawiła dużo swoich śladów, w dodatku mogłoby to się wydać podejrzane. Odwróciłem się jednak do dziewczyn plecami, słuchając jednym uchem, jak Alicja pociesza Iwonę, i zacząłem wertować podniszczone podręczniki do pielęgniarstwa. Pierwszy nie zawierał niczego ciekawego i – co mnie zasmuciło – drugi także. Ale nie, na samym końcu wciśnięty był cienki zeszyt w kratkę opisany jako „Notatki”. Schowałem go szybko pod sweter, wsadzając za spodnie, po czym zamknąłem podręcznik i odłożyłem na stolik.

– Nic nie ma – poinformowałem.

– A co chciałeś znaleźć? – zapytała Iwona.

– Kto wie – odpowiedziałem wymijająco. – Może jakaś wskazówka, list poże-gnalny.

– Samobójstwo? – Alicja zrobiła wielkie oczy.

Wzruszyłem ramionami, czując, że niepotrzebnie wzbudziłem niezdrowe emocje, zatem trzeba było zbagatelizować te odczucia.

– Nie myślmy o tym – powiedziałem. – Obstawiam, że miała tajemniczego wielbiciela i porwała ją miłość.

Żadna z dziewczyn mi nie uwierzyła. Nie dziwię się, sam sobie nie wierzyłem.



Odprowadziłem Alicję do domu, zapewniając, że zjawię się jutro na obiedzie, po czym ruszyłem do siebie, aby poinformować stryja o wynikach mojego rozpytywania. Ciekawiło mnie także cholernie, co znajdziemy w notatniku Anuli.

## ROZDZIAŁ 12

### *A po burzy spokój...*

*Rok 2023*

Dwaj policjanci z Archiwum X patrzyli na Jana Rysia i nie okazywali cienia zmęczenia, ale przesłuchiwany przez nich emeryt miał serdecznie dość tego dnia.

– Przepraszam, koledzy – powiedział w końcu znużonym głosem. – Na dzisiaj już raczej wystarczy. Możemy spotkać się jutro, właściwie i do końca tygodnia mogę wam służyć swoją osobą, może nie w aż takim wymiarze godzinowym jak dziś, ale jakoś się dogadamy. Proponuję trzy godziny dziennie, powinno wystarczyć na całą historię.

– Panie nadkomisarzu – odezwał się wyższy z dwójki funkcjonariuszy. – Jakkolwiek to zabrzmi, to czas w tej sprawie ma pewne znaczenie.

– Po czterdziestu pięciu latach dzień w tę czy we w tę raczej nie zrobi wielkiej różnicy – stwierdził Ryś.

– Tego nie wiemy – odparł niższy z policjantów. – Wolelibyśmy jak najszybciej zamknąć dochodzenie.

– Ba! – parsknął Ryś. – Zrozumiałe, ale ja mam nieco więcej lat od was i nie jestem w stanie tyle wysiedzieć. Hemoroidy, żylaki, stawy, wszystko mi dokucza.

– Ależ... – próbował protestować wyższy, ale twarz emerytowanego funkcjonariusza nagle przybrała wyraz, którego dziś jeszcze nie widzieli, a w dawnych czasach był zarezerwowany dla przestępców, którymi nadkomisarz Jan Ryś gardził nie tylko zawodowo, ale i prywatnie.

– Kurwa, człowiek chce po dobroci i grzecznie, to się uprą! – Nie wytrzymał Ryś. – Chcecie mnie mieć na wyłączność, to zapraszam do postawienia zarzutów i okazania postanowienia o aresztowaniu od prokuratora, a wtedy na spokojnie, w godzinach zgodnych z regulaminem obowiązującym służby, będziecie mogli ze mną rozmawiać. O ile mój lekarz prowadzący wam pozwoli, w co szczerze wątpię.

– Spokojnie – odezwał się niższy z policjantów.

– Spokojny to ja już byłem – odpowiedział emeryt.

Wstał ze swojego krzesła i ruszył w stronę drzwi na korytarz. Przez chwilę się obawiał, że któryś z policjantów zastąpi mu drogę, ale żaden z nich nie odważył się na taki ruch.

– Proszę tylko powiedzieć, czy tego dnia coś jeszcze zrobiliście – nie ustępował wyższy z funkcjonariuszy. – Burza ustała. Czy zarządził pan poszukiwania?

– Żegnam – zbył go Ryś.

– Panie nadkomisarzu – odezwali się jednym głosem policjanci. – Przepraszamy – kontynuował wyższy. – Nie chcemy, żeby pan poczuł się jak oskarżony, nam naprawdę zależy na tej sprawie.

Jan Ryś zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na swoich kolegów, młodych, ambitnych, żądnych wiedzy, zapewne oddanych tej robocie w bardzo niezdrowy sposób, który rzutował na ich życie prywatne. Może byli już obydwoj po rozwodzie, a na pewno przed, jak to zawsze bywa wśród policjantów, którzy kochają swoją pracę bardziej od rodziny.

– Zarządziłem poszukiwania – odparł spokojnie. – Chodziliśmy od domu do domu, zbieraliśmy kolejnych mężczyzn i pytaliśmy, czy ktoś jej przypadkiem nie widział. Sprawdziliśmy stodoły i szopy, stajnie, wszystkie miejsca, w które dało się dojść.

– I znaleźliście ją? – zapytał niższy z nadzieją w głosie.

– O tak – odparł Jan Ryś.

Wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

# ROZDZIAŁ 13

## *Zamrożenie*

*Rok 1978*

Trzymałem się blisko stryja i płońałem z ciekawości, a raczej z żądzy zaspokojenia wiedzy, bo zeszyt z notatkami udało nam się przejrzeć tylko pobieżnie, a na pierwszy rzut oka nie było w nim niczego związanego z zaginięciem Anuli. Kilka niezdatnych rysunków, literka „A” otoczona serduszkami, amerek strzelający z łuku, takie naiwne bazgroły. Chciałem się z tym zeszytem i sprawdzić go litera po literze, ale stryj zarządził poszukiwania.

– Do każdego domu musimy zajrzeć – powiedział do mnie, mojego ojca, Bernarda i Andrzejka. – Jeśli komuś ufacie, to zabierzcie go ze sobą, żeby pomagał szukać.

– Może trzeba by wezwać pomoc z miasta – zaproponowała Zośka, która miała zostać pod opieką mojej matuli.

– Jest już po drugiej – odpowiedział stryj. – Za dwie godziny zapadnie zmrok, pogoda może znowu się popsuć, a pewnie droga z doliny zasypana. Ktokolwiek wyruszy, niczego nie załatwi. Jeśli jej nie znajdziemy, to z samego rana wyślemy kogoś do miasta.

– Może pójdę z wami – upierała się Zośka.

– Już tłumaczyłem, że musi pani na nią czekać w domu, na wypadek gdyby nagle wróciła – tłumaczył stryj Jan. – Musimy przyjąć, że po odprowadzeniu jej przez Andrzejka oddaliła się na chwilę, może miała z kimś zamienić słowo, wręczyć komuś prezent, po czym zgubiła się w nawałnicy. Znalazła schronienie i doczekała do końca burzy, może spała zakopana w sianie w którejś stodole, kto wie. Jeśli się obudzi, pójdzie wprost do domu, więc musi ktoś na nią czekać.

Uzasadnienie było niby racjonalne, ale potem stryj Jan mi zdradził, że chodziło głównie o to, aby w razie znalezienia ciała nie było jej w pobliżu.

Ruszyliśmy na poszukiwania, a sołtys Bernard dostał jednocześnie zadanie, aby zacząć odśnieżać ulice w osadzie, tak aby w razie czego były przejezdne dla konia z saniami. Zresztą śnieg nadal padał, ale temperatura wciąż spadała i jeśli to wszystko zamarznie, może być problem z odśnieżeniem naszej wsi. Trzeba

było też pomóc usunąć śnieg z podwórek osób starszych, jak chociażby moich dziadków. Kupa roboty, ale była to nieodzowna część każdej zimy.

No i – jak dodał stryj Jan – to także część poszukiwań, tyle że już, niestety, ciała.

Na zewnątrz było widno, słońce niemal przebijało się przez chmury, już jasne, a nie czarne, jak podczas czerwcowych burz, ale jeszcze przegrywało tę walkę. Odwiedzaliśmy dom po domu, pytając po prostu o Anulę, bez wzbudzania paniki, o ile to było możliwe. Kolejni mężczyźni wychodzili na ulice uzbrojeni w łopaty i zaczynało się doprowadzanie osady do stanu umożliwiającego spokojne przejechanie saniami lub wozem.

Wielu mieszkańców walczyło ze skutkami żywiołu, mężczyźni odśnieżali, uprzętała załamane pod naporem mokrego śniegu gałęzie, kobiety sypały popiołem odśnieżone już ścieżki. W wielu miejscach szło się prawie jak tunelem albo wyschniętym korytem głębokiej rzeczki. Śnieg piętrzył się na wysokość nawet i trzech metrów. Kilkudziesięciu chłopca ramię w ramię pracowało, ocierając pot z czoła i co jakiś czas popijając gorącą herbatę donoszoną przez kobiety, zatem gdy w końcu znaleziono Anulę, zobaczyła to niemal cała osada.

Wzdłuż wsi płynęła rzeczka, z której najczęściej czerpano wodę, wiele domów miało swoje ujęcia, ale jako pozostałość dawnych czasów, gdy jeszcze nie słyszano w naszej osadzie o bieżącej wodzie, na jej środku postawiono studnię. Niemcy wykonali kawał porządnej roboty, solidna i ocembrowana kamieniem, nie tylko funkcjonalna, ale i piękna. Służyła głównie tym, którzy swoje pompy studzienne mieli na prąd, bo w razie przerwy w dostawie musieli dymać na plac po wodę. W zimie rzeczka często zamarzała, wtedy też wodę pobierano ze studni. Na kołowrocie wykonanym z kawałka dębowego pnia był gęsto owinięty solidny łańcuch, na jego końcu metalowe wiaderko z kawałkiem poniemieckiego pocisku moździerzowego w formie obciążnika.

Gdy odśnieżono studnię, a zarządzał tym procesem Bernard, zauważono, że łańcuch jest rozwinięty i na klapie nie widać wiadra.

– Spadło? – zapytał Bernard na głos, po czym złapał wielką dłonią za korbę i począł wciągać je na górę, wypełniając okolicę równomiernym piskiem dobywającym się z łożyska, bowiem w takiej temperaturze smar zamarzł.

– Może się urwało? – zapytał Stach, jego sąsiad.

– Raczej przymarzło – odparł sołtys i mocniej napiął mięśnie, bo wiadro bardzo opornie szło w górę.

– W studni? – zdziwił się Stach. – Niemożliwe.

Miał rację, takie rzeczy się nie dzieją, woda w studni nie zamarza, może nie dlatego, że piekło podchodzi bliżej ziemi, jak to opowiadał dzadunio, ale temperaturę trzyma.

Najpierw zobaczyli nogę, odzianą w ciemnobrązową pończochę, grubą i zimową, Owinięta łańcuchem wyglądała jak konar drzewa, który odłamał się pod naporem śniegu i wpadł do studni. Druga noga odstawała w bok, obnażając stopę, siną i poobcieraną.

Bernard, Stachu i Wiesiek nie panikowali, nie krzyczeli, nic z tych rzeczy. Bez słowa podeszli do studni i wspólnie wyciągnęli wiaderko na zewnątrz. Anula wbita była głową w samo dno, aż wygięła się blacha. Jej wąskie ramiona też wbiły się w wiadro, a ręce wygięły się nienaturalnie, koszmarnie, jak gałęzie pozbawionego liści drzewa tłukące się o okno opuszczonego domu w listopadową noc. Jakby ktoś zasadził ją na chwilę do góry nogami w tym wiadrze, niczym sadzonkę jabłoni.

Była sztywna jak deska, jak nasze ubrania zdejmowane po powrocie z pasterki, nie od mrozu, ale trupy po prostu po śmierci sztywnieją. Może po to, aby nigdzie nie uciec?

– Wołajcie Janka – zarządził Bernard, poprawiając czapkę, po czym zdjął kapotę i przykrył nieszczęsną dziewczynę, aby dać jej choć odrobinę spokoju po śmierci.

Sapał przy tym, bo jego znoszona kurtka, chociaż wielka, gdyż chłopem był rośłym, nijak nie chciała się zatrzymać na powyginanych nogach i rękach Anuli. A to wystawała stopa, a to dłoń, to znowu całość zsuwała się z ciała.

Jakby chciała, żeby wszyscy zobaczyli jej krzywdę, opowiadał potem.

# ROZDZIAŁ 14

## *Zimny trup*

*Rok 2023*

Jan Ryś mocno ich zaskoczył i pojawił się już o ósmej rano. Dwaj policjanci spodziewali się raczej, że już go nie zobaczą w budynku jeleniogórskiej komendy i będzie trzeba spróbować innych środków, aby go doprowadzić, na co jednak szanse były niewielkie. Mogli liczyć tylko na dobrą wolę emerytowanego funkcjonariusza.

– Koledzy nietutejsi, więc pewnie nie jedli pączków z Bristolki – powiedział, stawiając kartonowe pudełko na stoliku.

– Śpimy w hotelu – wyjaśnił komisarz Podyma. – Śniadanie w cenie, zresztą dość przeciętne.

– To zapraszam. – Emeryt otworzył pudełko i ich zmysłami zawładnęły równo ułożone pączki, olbrzymie i pękate, suto okraszone lukrem, idealnie brązowe.

Jak pończochy Anuli, przeszło przez myśl staremu policjantowi.

– Bristolka? – zapytał Sukiennik, biorąc ostrożnie do ręki jeden z pączków. Jego tusza wskazywała, że takich przysmaków raczej nie odmawia.

– Obecnie prowadzi ją już drugie pokolenie cukierników – odparł Jan. – Od trzydziestu pięciu lat robią pączki, niezmiennie obłędne, smakują dokładnie tak jak za komuny, gdy nikt nie znał polepszaczy smaku. I nie łap tego jak płonącego jeża – skomentował, widząc, jak niższy z policjantów gimnastykuje się, żeby się nie pobrudzić. – Upaćkaj się lukrem, pozwól nadziei spłynąć po brodzie, taplaj się w smaku. Na miłość boską, szlag by trafił to młode pokolenie.

Zabrali się za pączki i Jan widział, że smak ich kupił. Zresztą nic dziwnego, każdy kęs przywoływał wspomnienie rodzinnego domu, matki w fartuchu stojącej nad stolnicą, rozgrzanego smalcu, po prostu wypełnionego grzeszkami słodkich rozkoszy dzieciństwa.

Przez dłuższy czas słychać było mlaskanie, siorbanie kawy i pomrukiwanie zadowolonych mężczyzn. Jak przed wiekami, gdy gościa najpierw witano kołaczem, a dopiero potem załatwiano wszelkie ważne sprawy, bo z pełnym żołądkiem człowiek jest bardziej skory do pokoju niżli do wojny.

Gdy już pudełko pozostało rozkosznym wspomnieniem wyczynów drugiego pokolenia jeleniogórskich cukierników, kawa została wypita, usta wytarte, padło pytanie.

– Czyli znaleźliście Anulę? – odezwał się Podyma.

– Tak.

– Jak rozumiem, jej zwłoki.

– Tak.

– Nie zachował się protokół sekcyjny – wtrącił Sukiennik.

– A szkoda – odparł Ryś, rozsiadając się wygodniej na krześle. – Wyciągnęli ją ze studni, która stała na środku osady, dziś jest zasypana, nikt z niej już nie chciał brać wody.

– Nic dziwnego – skomentował Sukiennik.

– Na pierwszy rzut oka trudno było stwierdzić, czy wpadła do niej sama, czy ktoś ją wepchnął; nie miała żadnych obrażeń zewnętrznych, które wskazywałyby na szarpaninę czy bójkę. Całość wyglądała makabrycznie, zresztą zrobiliśmy zdjęcie, jeden chłopak był zapalonym fotografem, chyba miał na imię Mietek, nie pamiętam teraz. W każdym razie na moją prośbę zrobił dokładnie pięć zdjęć dziewczyny, bo miał akurat tyle wolnego filmu. Wywołał je od razu i mi przekazał, zostały dołączone do akt.

– Które zaginęły – zauważył Podyma.

– No cóż. – Ryś wzruszył ramionami. – Nic na to nie poradzę.

– Proszę opisać – polecił Sukiennik.

– Dziewczyna wpadła głową do wiadra, którym nabierano wodę ze studni, uderzenie musiało być silne, bo aż wygięło dno wiaderka, stąd mój wniosek, że jednak doszło do bójki.

– A jakby sama wpadła, toby nie było wgłębienia? – powątpiewał Podyma.

– Koledzy, wiem, że studnia to dla was rzecz, z której nigdy nie korzystaliście, zatem wyjaśnię. Wiadro trzyma się na studni, dnem do góry, aby nie wpadały weń paprochy i nie rdzewiało. Jest wyposażone w obciążnik, w tym przypadku był to fragment ponemieckiego móżdżierza, bo samo wiadro spuszczone na dno studni plaśnie o wodę i się w niej nie zanurzy. Skoro dziewczyna była do góry nogami, głową w wiadrze, to oznacza, że ktoś je spuścił na dół niemal równo z nią, na chwilę przed wepchnięciem.

– Nie powinni się zatem zanurzyć w wodzie? – zapytał Podyma.

– Słuszna uwaga – odpowiedział Ryś. – Otóż swego czasu niemieccy mieszkańcy wsi dorobili pompę do studni, aby nie trzeba było się męczyć z wiader-



kiem. Aby to działało, tuż nad lustrem wody z cembrowiny wychodziła gruba rura, na której końcu znajdował się mechanizm zaciągający wodę. Nikt o tym nie wiedział, bo pompę ukradli radzieccy żołnierze, była piękna, z głową orła. Dziewczyna spadając razem z wiadrem, zablokowała się na tym mechanizmie i nie dotarła do lustra wody. To wszystko wyszło na jaw dużo później, gdy do studni wszedł nurek.

– Wszystko jasne – stwierdził Podyma.

– Wykluczyłem wypadek od razu, nawet nie patrząc na ślady. Po jaką cholere młodą dziewczyna miała w środku burzy śnieżnej zaglądać do studni?

– No racja – zgodził się Sukiennik.

– Na moje, to ktoś ją tam zaniósł i podczas zrzucania do środka zaczął o wiadro. Jego pech. W przeciwnym razie pewnie byśmy ciała szybko nie znaleźli, no chyba że zaczęłoby pływać po powierzchni wody, nie wiem, jak to działa w studniach, ale wiem, że w jeziorach zwłoki zazwyczaj wypływają dopiero podczas upałów.

– Były jakieś ślady na jej ciele? – zapytał Podyma.

– Miałem nielichy problem z oględzinami zwłok. Od razu zleciała się niemal cała wioska, na szczęście nikt nie powiadomił matki, ale wiadomo, to była kwestia czasu. Spróbujcie przekonać matkę, że ciało jej córki musi zbadać lekarz sądowy, że nie można jej obmyć, ubrać w odświętne ubranie i modlić się przy niej. Zaręczam, zadanie niewykonalne. Jednak w tym krótkim czasie, który dostałem, zanieśliśmy ją do stodoły, bo tam zimno, i mogłem ją obejrzeć. Powiem szczerze, że dawno się tak nie bałem, bo gdyby wpadła tam matka i zobaczyła, że centymetr po centymetrze oglądam nagie ciało jej martwej córki, pewnie by mnie rozszarpało na strzępy.

– Ale udało się? – zapytał Podyma.

– Na szczęście. Wystawiłem warty i śpieszyłem się jak diabli.

– I co?

– Nie miała żadnych obrażeń, oprócz śladów duszenia na szyi.

– Zadławienie – skomentował Podyma fachowym terminem, którym określa się rodzaj zagardlenia, w którym ucisk na narządy szyi wywiera bezpośrednio ręka człowieka.

– Dokładnie – zgodził się Ryś. – Krwawe podbiegnięcia na szyi, wylewy pod skórą, a także, jak się potem okazało, złamanie kości gnykowej. Sekcja potwierdziła moje przypuszczenia.

– Czyli mieliście w osadzie mordercę – stwierdził Sukiennik.

– No niestety – zgodził się emerytowany policjant. – I jak się miało okazać, dopiero zaczynał swoją zabawę.

– A sekcja wykazała jeszcze coś wartego uwagi? – zapytał Podyma.

– Kompletnie nic – odpowiedział Ryś.

Patrząc na kolegów, stwierdził, że jednak dobry posiłek nie tylko robi człowieka bardziej skorym do pokojowych rozmów, ale i usypia czujność.

## ROZDZIAŁ 15

### *Na ratunek*

*Rok 1978*

Zostałem wciągnięty przez stryja za drzwi stodoły Bernarda, w której spoczywały zwłoki Anuli. Nasza była zbyt blisko domu Zośki, więc mogłaby zauważyć, że ją tam niesiemy.

– Musisz coś zobaczyć – powiedział Jan, a na jego czerwonej od mrozu twarzy było widać ożywienie.

– Ale ja... Nigdy nie widziałem trupa z bliska – powiedziałem w końcu. – To znaczy takiej młodej dziewczyny.

– Przecież ci nic nie zrobi.

– Ale wiesz, jakoś tak dziwnie. – Czułem blokadę nóg, nie mogłem zrobić kroku naprzód, jakbym przymarzył do polepy.

– Spokojnie, nie denerwuj się – odpowiedział Jan. – Zakryłem jej twarz i ręce, nogi także. Wiem, że taki widok może być dla ciebie nieprzyjemny, nie chcę, żebyś mi tu zemdlał. Musisz jednak coś zobaczyć, bo mi nie uwierzysz.

Podprowadził mnie do stołu, który Bernardowi służył do prostych napraw, ostrzenia kosi i tego wszystkiego, co się robi w gospodarstwie. Dziś jednak został on przykryty szarym kocem wojskowym, bo zgodnie uznano, że zwłokom Anuli jednak szacunek się należy. Dodatkowo jej ciało zostało przykryte dwoma prześcieradłami tak, że jedno, szare, okrywało ją od pasa w dół, a drugie, białe, w górę. Porozkładane ręce, które widziałem po wyciągnięciu dziewczyny ze studni, spoczywały grzecznie wzdłuż tułowia, nogi także tworzyły pod prześcieradłem jeden podłużny kształt.

Najważniejsze, że nie było widać twarzy. Jej najbardziej się bałem, głupie to, wiem, ale przerażała mnie wizja szklistych i otwartych oczu, jakby był w nich zapisany ostatni obraz, jaki zobaczyła, twarz człowieka, który wepchnął ją do studni.

Tymczasem stanęliśmy nad zwłokami, w całości skrytymi pod dwoma prześcieradłami różnej barwy, a ja tylko modliłem się o to, aby Janek nagłym ruchem,

niczym magik widziany przeze mnie w cyrku, nie zdarł któregoś z nich z okrzykiem „Ta-dam!”.

– Została uduszona – oznajmił po chwili głosem pełnym napięcia. – Fachowo nazywa się to zadławieniem, bo dokonał tego ktoś własnymi rękami. Raczej mężczyzna, bo ślady są spore. Chcesz je zobaczyć?

– Wolałbym nie – odparłem, przetykając głośno ślinę i czując suchość w ustach.

– Rozumiem. Jeśli zdecydujesz się na pracę w milicji, to przywykniesz do widoku zwłok, na szczęście na sam początek spotkasz się z pijaczkami zamarzniętymi gdzieś w parku albo zadżganymi na melinach. Może jakiś samobójca. Przykry widok, ale lepszy niż małe dziecko albo właśnie taka młoda dziewczyna. W dodatku jeśli nie znasz denata, to też całkiem inna historia.

– Yhm – chrząknąłem w odpowiedzi, zastanawiając się, czy jednak kariera w milicji jest tym, czego faktycznie pragnę.

– To teraz patrz – powiedział i nachylił się nad stołem. – I nie bój się, zobaczysz tylko brzuch.

Chyba zauważył, jak cały się napinam, niczym przed otrzymaniem ciosu albo przed skokiem na główkę. Bardzo powoli uchwycił brzeg białego prześcieradła i uniósł je delikatnie, po czym równie spokojnym ruchem odsłonił łono Anuli i jej brzuch, zatrzymując się tak, aby piersi nadal pozostały zakryte. Przyłożył lampę naftową do ciała, wydłużył knot, aby świeciła jak najmocniej, i oświetlił brzuch. Błada skóra wyglądała dość normalnie i równie dobrze mógłbym stwierdzić, że moja koleżanka żyje.

– Widzisz? – zapytał.

– Tak – odparłem cicho, bo dopiero ślina ponownie zaczęła mi napływać do ust. – Czy to... Ten... No...

– Tak, była w ciąży – odparł Janek. – Widocznej, zatem był to najpewniej piąty lub szósty miesiąc.

– Czerwiec – powiedziałem natychmiast, bo policzyłem miesiące w myślach.

– Tak, dokładnie. Wtedy powstał pierwszy wiersz.

– O kurwa – stwierdziłem, bo nagle zdałem sobie sprawę z tego, że ktoś tę dziewczynę naprawdę zamordował, nie było mowy o wypadku, nic z tych rzeczy.

– Przez listopad i grudzień mogła ukrywać brzuch pod ubraniami, ale wkrótce zaczęłyby być widoczny. To bardzo chuda dziewczyna, dlatego też teraz tak doskonale widać ciążę.

– Andrzejek? – zapytałem, podchodząc pół kroku do stołu. Nagle trup przestał być mi straszny.

– Na pewno musimy z nim porozmawiać – oznajmił Janek. – I nie dopuścić, aby ta wieść rozeszła się po osadzie, musi pozostać między nami.

– Ale przecież zaraz zobaczą – odparłem.

– Nikt nie zobaczy, pozapinam jej z powrotem ubranie i oddamy ciało matce. Zaniesiemy je do domu, a Wiśniewska już nikogo nie dopuści, zobaczysz.

– Nie zorientuje się?

– A komu niby powie? Przecież to dla niej wstyd.

– No racja – zgodziłem się.

– Idź i powiedz Bernardowi, że można Zośkę powiadomić, a ja w tym czasie poprawię jej ubranie, potem przeniesiemy ciało. Następnie pogadamy sobie z Andrzejkiem.

– Skoczę do domu na chwilę, po ten notes, co? – zapytałem.

– Jasne, może się przyda, kto wie.

Wyszedłem, zostawiając Janka sam na sam z Anulą, po czym przekazałem Bernardowi odpowiednie polecenia i pobiegłem w stronę domu. Skoro wiedziałem o ciąży, to może coś z nią związanego znajdzie się w notesie Anuli?

Przed domem czekała na mnie Alicja, przestępowała z nogi na nogę, nie wiem, czy to z nerwów, czy z zimna, bo mróz tężał i gdy teraz robiło się ciemno, dawał się coraz dotkliwiej we znaki.

– Muszę ci coś powiedzieć – rzuciła na powitanie i sama weszła do środka, a ja za nią. Owionęło nas przyjemne ciepło i zapach bigosu, który mój młodszy brat przygrzał dla wszystkich dzieci. Matula nadal siedziała z Zośką.

– Co się stało? – zapytałem, czując, jak burczy mi w brzuchu.

– Chodźmy do twojego pokoju – powiedziała, wskazując głową siedzące w kuchni dzieciaki. Posłuchałem jej i podreptaliśmy pośpiesznie na górę.

– Przyszła do mnie Iwonka – szeptała Alicja, zbliżając do mnie twarz niczym do pocałunku.

– Dowiedziała się o śmierci Anuli?

– Tak. Jest w szoku. Płacze tak, że nie można jej powstrzymać. Ledwo da się zrozumieć, co mówi, tak łka.

– Po co przyszła?

– Ona nas okłamała za pierwszym razem – powiedziała Alicja. – Kryła Anulę, myślała, że jej nic nie jest. Że spędziła noc u swojego ukochanego.

– Andrzejka? – zapytałem, chociaż wiedziałem, że odpowiedź będzie przecząca.

– Otóż nie – odparła. – Ona miała kogoś innego. Opowiadała o nim jak o kochanku, którego zesłało jej przeznaczenie, ale los stanął na drodze prawdziwej miłości i nie mogą być ze sobą.

– Ja pieprzę, Alicja, ale o kogo chodzi?

– Nie powiedziała.

– Nie wie?

– Wydaje mi się, że wie – powiedziała. – Tylko z jakichś względów nie chce powiedzieć. Może tylko się domyśla? Przecież w naszej osadzie nie ma znowu tak wielu chłopców.

– Ale to może być morderca!

– Ktoś, kto ją kochał?

– Alicja, miłość i zazdrość to częsty powód morderstwa – wyjaśniłem mądrzej-  
szy o wiedzę, którą podzielił się ze mną Janek.

– Nie wierzę.

– Ale tak jest, statystyki milicyjne o tym mówią.

– Jest jeszcze coś – dodała napiętym głosem, po czym rozejrzała się trwożliwie, jakby ktoś mógł nas podsłuchiwać, chociaż w moim domu nie było takiej możliwości.

– Co?

Alicja zbliżyła się do mnie i nachyliła, tak że jej usta niemal dosięgały płatka mego ucha.

– Ona była w ciąży – wyszeptwała, a mnie przebiegł dreszcze podniecenia, gdy jej ciepły oddech zatańczył na moim uchu.

– Co ty gadasz? – skomentowałem, mając nadzieję, że moje zdziwienie wypadło autentycznie.

– Naprawdę. – Pokiwała głową. – I bardzo się z tego cieszyła. Bała się matki, to oczywiste, ale dla niej to był owoc prawdziwej miłości. Miała mu nadać imię Adam, jako pierwszemu człowiekowi w jej świecie. Była pewna, że to będzie chłopak.

– Ja pierdołę – przekląłem na głos, chociaż przy Alicji starałem się zawsze grać prawdziwego dzentelmena.

– Widzisz, to wszystko zmienia – powiedziała. – Bo Iwonka twierdzi, że miała powiedzieć ojcu dziecka właśnie w Wigilię, rozumiesz?

– Dlatego mógł ją zabić.

– Michał, co ty za farmazony opowiadasz, jaki mężczyzna zamorduje kobietę noszącą pod sercem jego dziecko? – oburzyła się i podniosła głos. – To musiał być ktoś inny. Iwonka jest pewna, że ona miała zaplanowaną na ten wieczór ucieczkę z kochankiem, tylko śnieg pokrzyżował jej szyki. Mówiła, że może ze swoim ukochanym być tylko poza naszą osadą, bo tu ludzie nie dadzą im żyć, a matka ją przeklnie. Mieli zniknąć pod osłoną nocy.

Tylko że nie była spakowana, pomyślałem, ale o tym Alicja nie mogła wiedzieć. Kto ucieka z domu, nie zabierając ze sobą nawet jednej pary majtek? Wszystkie jej ubrania, nawet bielizna, którą widziałem w szufladzie komody, wszystko to zostało w jej szarym pokoiku na poddaszu.

– Alicja, musimy wyciągnąć od Iwony, kim jest kochanek Anuli – powiedziałem, łapiąc swoją dziewczynę za ramiona. – To teraz najważniejsze.

– Ale to nie on – zaprotestowała.

– Bardzo możliwe – zgodziłem się. – Ale ten człowiek może wiedzieć sporo, jest nam potrzebny. Jesteś pewna, że to nie Andrzejek?

– Na bank – odparła. – Iwonka jest o tym przekonana.

– To tym bardziej.

– A może to właśnie ten cały Andrzejek ją zabił? – Odsunęła się ode mnie na krok. – Dowiedział się i oszalał z zazdrości, miał powód.

– Poproszę stryja, on jest milicjantem, aby z nim pomówił.

– Mogła to też być jakaś zazdrosna żona – powiedziała Alicja, stawiając kolejne hipotezy. – Bo może kochanek Anuli był żonaty, a ta jędzą się dowiedziała i postanowiła się zemścić.

Pomyślałem o tym, co powiedział Janek w stodole przy zwłokach dziewczyny, że została uduszona i dłonie należały raczej do mężczyzny.

– Kochanie, ważna rzecz – powiedziałem stanowczo.

– Tak?

– Wracaj do domu i nikomu ani słowa o tym, czego się dowiedziałaś. Nikomu!

– Oczywiście.

– Ja powtórzę wszystko stryjkowi Jankowi, on próbuje znaleźć sprawcę tego zdarzenia. Jest milicjantem, musimy mu zaufać.

– Dobrze, tak zrób – odpowiedziała podnieconym głosem.

– Iwonka wróciła do siebie?

– Nie, została z moją mamą. Zaparzyła jej ziół na uspokojenie.

– Wróć do domu i nie wychodź na krok, dobrze?

– Ale, Michałku, przecież...

– Alicja! – Teraz to ja podniosłem głos. – Ktoś zabił Anulę. Młodą dziewczynę w ciąży. I ten ktoś jest z naszej osady.

Dopiero teraz zrozumiała, zobaczyłem to po jej powiększonych oczach. Wtuliła się we mnie, a ja wiedziałem, że muszę ją chronić.

I znaleźć mordercę.



# ROZDZIAŁ 16

## *Martwy punkt*

*Rok 2023*

Dzień ponownie okazał się upalny, zatem w kanciapie służącej dwóm policjantom z Archiwum X za pokój przesłuchań było duszno i nieprzyjemnie, wręcz lepko. Picie wody niewiele pomagało, wszyscy się pocili i podskórnie dało się czuć oczekiwanie na burzę, która oczyści powietrze i przyniesie ulgę mieszkańcom Jeleniej Góry.

– Czyli Andrzejek – stwierdził Podyma. – Jak on się nazywał?

– Andrzej Waligóra – odpowiedział Ryś. – Lat dwadzieścia trzy, niekarany, prawo jazdy zrobił w wojsku. Nieposzlakowana opinia, można powiedzieć.

– Do profilu by dziś nie pasował, co? – zapytał Podyma.

– I wtedy, i dziś byłby charakterologicznie na końcu listy podejrzanych, tylko wystąpił jeden mały szkopuł.

– Jaki? – zapytał wyższy z policjantów.

– Lista zaczynała i kończyła się na nim – wyjaśnił z westchnieniem Ryś.

– Panie nadkomisarzu – odezwał się Sukiennik. – Powiem szczerze, że w zaistniałych okolicznościach też upatrywałbym w nim głównego podejrzanego.

– Wiem – zgodził się Ryś. – Był właściwie jedynym punktem zaczepienia, niestety.

– Dlaczego „niestety”?

– Bo gdy się z nim rozmawiało, kompletnie nie wyglądał na faceta, który zabił swoją dziewczynę.

– Oj, pozory mylą, pan akurat powinien to wiedzieć – powiedział Podyma.

– Oczywiście – zgodził się ponownie Ryś. – Jednak sami wiecie, że mało kto potrafi tak łąć, by się nie dało w tym wyczuć fałszu. Zawsze pod skórą cię świerzbi, człowiek ma to przeczucie. To nie jest jakaś magia, szósty zmysł, czy jak to tam zwą. Wydaje mi się, że policjant po prostu nabywa w pewnym momencie specjalnej umiejętności, jego mózg rejestruje gdzieś te wszystkie rozpytania i przesłuchania, tworzy taką mapę w głowie, biorąc pod uwagę, kto kłamał,

a kto nie, a potem jest już wyczulony na łgarstwo. Tak jak mieszkaniec danej wsi już po samym grzmocie wie, czy burza przyjdzie do nich, czy ominie jego chałupę. Doświadczenie.

– Coś w tym jest – stwierdził Podyma, a Sukiennik pokiwał głową.

– Ja zawsze w robocie słuchałem tego wewnętrznego głosu, ale jeśli wszystkie dowody wskazywały na co innego, to sumiennie podążałem za nimi, bo z faktami się nie dyskutuje. Sami wiecie, prokurator żąda twardych dowodów, a nie spisu przeczuć i domniemywań.

– Taka robota – zgodził się z westchnieniem Sukiennik.

– No i właśnie w tym przypadku pomimo kolejnego przesłuchania i faktu, że ten Andrzejek wydawał mi się kompletnie niewmieszany w sprawę, musiałem traktować go jako głównego podejrzanego. Także dla jego dobra.

– A to dlaczego? – zapytał Podyma.

– Samosąd – odpowiedział Ryś.

– Chciano go zlinczować? – zapytał komisarz.

– Musiało do tego dojść. Ludzie doskonale wiedzieli, że on i Anula mieli się ku sobie. Rozeszło się także, że ją odprowadzał do domu. Swoje trzy grosze dołożyła również matka denatki, czyli Zośka, która wciąż nie mogła pogodzić się z faktem, że jej córka ukrywała przed nią związek z mężczyzną.

– I co pan zrobił? – zapytał Podyma.

– W sumie to nic wielkiego – odpowiedział Ryś. – Byliśmy jako osada odcięci od świata, nie było ucieczki. Wykorzystałem powagę swojej legitymacji służbowej i nałożyłem na niego areszt domowy.

– Podziałało? – zapytał Sukiennik.

– Na szczęście wtedy może i ludzie nie mieli zbyt dużego szacunku dla munduru, ale strach był – wyjaśnił Ryś. – Nikt nie ruszył na chłopaka z widłami, a ja mogłem próbować rozwikłać sprawę. Jednak utknąłem w martwym punkcie. Po zostało czekać.

– Na co? – zapytał Podyma.

– Niejednokrotnie denerwowałem się na moich kolegów po fachu, gdy mówili, że kolejne morderstwo przynajmniej ruszy sprawę do przodu, ale wtedy rozumiałem sens tego powiedzenia.

Obydwa policjanci pokiwali głowami ze zrozumieniem. Smutna prawda. Część ich profesji.

## ROZDZIAŁ 17

### *Dawne demony, dzisiejsze potwory*

*Rok 1978*

Noc spadła na świat nagle, jak to zawsze bywa zimą. Jeszcze człowiek cieszy się słońcem, a po chwili już tapla się w ciemności.

Siedziałem w kuchni, jedząc odgrzany bigos, pierwszy ciepły posiłek tego dnia, i spoglądałem na dziadka siedzącego przy kominku, ni to drzemiącego, ni to czuwającego. Janek poszedł do swojego pokoju, który zwano u nas gościnnym, żeby spokojnie przemyśleć sprawę, potrzebował spokoju i chwili odpoczynku. Matka i babka siedziały u Zośki, gdzie nad ciałem Anuli urządzono czuwanie i odmawiano różaniec.

– Jakaś latarka jeszcze działa? – zapytał ojciec, który wszedł do kuchni i począł przetrząsać szuflady w kredensie.

– Będziesz musiał iść z pochodnią – odparł dziadunio, czuwający, jak się okazało.

Ojciec burknął tylko coś pod nosem i począł szukać latarki w skrzyni stojącej w rogu, w której matula trzymała rzadko używane garnki i formy na ciasta. Podczas narady ustalono, że to on skoro świt wyruszy do Wnyków, a potem do Barcinka, a może i Starej Kamienicy po pomoc w zaistniałej sytuacji. Janek nie chciał iść, bo szukał sprawcy. Bernard natomiast jako sołtys musiał zostać, aby pilnować porządku, miał posłuch u ludzi. Padło na ojca, bo każdy inny chłop z osady mógł być przecież potencjalnym mordercą i Janek nawet nie chciał słuchać o takim rozwiązaniu.

Ten pomysł najmniej przypadł do gustu właśnie mojemu ojcu, bo i wyprawa do miłych nie należała, mróz był tęgi, jakbyśmy nagle przenieśli się na Syberię, ale także istniało zagrożenie, że w obecnych warunkach za jeden dzień się nie obróci, a chodzenie po nocy w kopnym śniegu było proszeniem się o nieszczęście.

– A termosy gdzie matka trzyma? – zapytał burkliwie.

– W kredensie za zapasowymi świecami – odpowiedziałem, wycierając kawałkiem chleba talerz po bigosie.

Porozbijał się jeszcze trochę, po czym umył pod kranem termosy i odstawił je do góry nogami na ścierkę, aby odciekły. Pomruczał coś pod nosem, po czym zniknął w głębi domu.

– Nikomu by się iść nie chciało – stwierdził dziadunio. – Szczególnie że co tu za pomoc potrzebna? Przecież to dziecko już nie żyje. Lekarz pomoże?

– Stryj Janek chce, żeby zabrali ją do zakładu na sekcję zwłok – wyjaśniłem.

– A po co?

– Jak się człowieka zbada dokładnie po śmierci, to wiadomo, na co umarł – odparłem. – W dodatku obawia się, że ten, co zabił Anulę, może jeszcze zrobić komuś krzywdę.

– Nic to nie da – westchnął dziadunio. – Biedacze i tak już nie pomoże, a na Marę to żadne sekcje nie poradzą.

– Dziadku, co wy gadacie – odezwałem się, wkładając całą moc w to, aby nie zabrzmiało w moich słowach nic, co by go mogło obrazić. – To nie Mara, tylko ktoś z osady, pewnie zazdrośnik.

– A ja mówię, że to demon.

– Nie wierzę w potwory.

– I błąd – odparł dziadunio, prostując się nieco na swoim wysłużonym leżaku. – Jeden to taki, że nie dajesz wiary, a drugi, że mylisz demona z potworem.

– A to nie to samo? – zapytałem.

– Demon nie zawsze działa swoimi rękami, często siedzi w głowie człowieka i nakłania do złego; jedne przychodzą, jak wieją silne wiatry, inne w upały, trzecie znowu zimą, razem z mrozem, jak teraz.

– A potwór?

– Potwór, wnusiu, zawsze ma dwie ręce i swój rozum. Takich najwięcej na świecie.

– Babcia mówiła, że był taki kiedyś, jeszcze w Dyrdach.

Dziadek spojrzał na mnie, a potem przeniósł wzrok na ogień płonący pod kuchnią, wyjął z węglarki szczapę drewna i dorzucił przez otwarte drzwiczki.

– Był – odpowiedział krótko.

Ojciec znowu wszedł gniewnym krokiem do kuchni i stanął koło dziadka, w dłoniach trzymał wełniane skarpety.

– Zawilgły nieco – wyjaśnił. – Dosuszyć muszę, żeby na zmianę były.

– A to może i ja bigosu zjem – stwierdził dziadek, gramoląc się z leżaka.

Wstałem z za stołu, umyłem w zlewie talerz i postawiłem na ścierce obok termosów, po czym ruszyłem do sieni.

– Do chłopaków idę – rzuciłem słowem wyjaśnienia ojcu, ten pokiwał tylko głową.

Jeszcze przed zmrokiem, w trakcie poszukiwań Anuli i odśnieżania osady, zgadaliśmy się, że spotkamy się jak każdego niemal wieczora w stodole starego Brysia. Mróz co prawda był tęgi, ale jesienią przezornie ustawiliśmy starą kozę na dole, zabiliśmy ten kawałek stodoły deskami, dzięki czemu, jak się rozpałiło, całkiem przyjemnie dało się posiedzieć.

Mietek i Przemek czekali na mnie, tradycyjnie z kanką bimbru i zagrychą, do której dorzuciłem kawałek wędzonej słoniny.

– A się porobiło – skomentował Przemek. – Wielu rzeczy bym się spodziewał, ale że tego?

– Ano – dodał Mietek. – Ja już myślałem, że o tym autobusie będzie się gadało przez kilka lat, ale teraz...

– I studnię nową trzeba będzie wykopać – stwierdził Przemek.

– Dziewczynę ktoś zabił – powiedziałem oschle. – A wy się studnię przejmujecie? Mieciu, przecież podobała ci się Anula swego czasu.

– Racja – zgodził się mój przyjaciel. – Ja to lubię takie ciche i spokojne. Ładna była dziewczyna. I miła.

Cholera, jak szybko przeszliśmy do tego, że „była”. Tak rach-ciach i już.

– To Andrzejek, tak na moje – stwierdził Przemek, polewając nam z kanki bimbru.

– Może być – zgodził się Mietek. – Ludzie często z miłości popełniają głupoty. Może mu powiedziała, że już go nie chce? A on w wojsku był, to się mógł tam różnych sztuczek nauczyć.

– Może i Andrzejek – powiedziałem.

– Na pewno. – Przemek podniósł kubek do ust i wypił, a my za nim.

– A co ten twój stryjek, milicjant, wymyślił? – zapytał Mietek. – Ma jakiś trop?

– Niewiele mi mówi – odparłem wymijająco.

– Przecież ciąga cię ze sobą, w stodole byłeś, gdzie Anula leżała – powiedział Mietek. – Nic nie wiesz?

– On mnie pyta, ale nie mówi. Teraz siedzi w domu i obmyśla, kto mógł zabić.

– Ojciec mówi, że wszyscy milicjanci chuja warci – powiedział z goryczą Przemek. – I on też gówno zdziała, tylko pałować potrafią.

– Lepiej, żeby zdążył – odezwał się Mietek, przeżuując kawałek słoniny. – Za taką zbrodnię należy się kara.

Zapadła na chwilę cisza, Przemek napełnił kubki, a Mietek wręczył każdemu po kawałku kiełbasy. Jego wujek był rzeźnikiem i na święta zawsze miał prawdziwą i porządną kiełbasę. Nie kłóciłem się kolegami o to, czy milicja jest dobra, czy też zła, albo czy Jankowi uda się złapać mordercę. Każdy z nas był zdenerwowany, sytuacja w osadzie była nieciekawa i ludzie ogólnie chodzili mało uśmiechnięci, każdy musiał coś z siebie wyrzucić, równie dobrze mogła to być złość na milicję.

– Wiecie, co jest najgorsze? – zapytałem.

– No co? – Przemek złapał za kubek.

– Że to nie był nikt obcy – powiedziałem. – Zabił ktoś z naszej osady.

– Ano – zgodził się Mietek.

– Czy ja wiem – odparł Przemek. – W sumie twój stryj trochę obcy, co nie?

– Niby tutejszy – stwierdził Mietek.

– Taki pół na pół – przekomarzał się Przemek. – Był tutejszy, ale już nie jest. Sporo w mieście przesiedziało, cholera wie, co tam robił. I skąd pewność, że jest milicjantem?

– Ma legitymację – odparłem. – Pokazywał mi.

– Wielka rzecz. – Przemek wzruszył ramionami. – Może być podróba.

– Daj spokój – powiedział Mietek. – Szukasz dziury w całym. Po cholere miałby milicjanta udawać?

– A bo ja wiem? – westchnął Przemek. – Może ona jeździła do tej Jeleniej do niego, a on tu przyjechał za nią, ale coś nie poszło, a teraz kombinuje, jak tu zrzuć winę na kogoś innego, chociażby na Andrzejka.

– Bzdury – stwierdziłem, ale bez agresji w głosie, chyba dlatego że wiedziałem więcej niż oni. – Wypijmy pod te święta, panowie, bo takich drugich nie będzie, to pewne.

– A ty jutro idziesz w końcu się oświadczać? – zapytał Mietek, zmieniając temat na bardziej przyziemny.

– Nie wiem. – Tym razem to ja wzruszyłem ramionami. – Wypada w takiej sytuacji?

– Ba! – odparł Przemek. – Przecież to nie jej rodzina. Dziś to gorący temat, jutro już nieco przycichnie.

– Podpytaj się samej zainteresowanej – zaproponował Mietek. – Przyzwyczaj się, że żony pyta się o wszystko.

Wypiliśmy znowu i zakąsiliśmy.

– Dziś nie wyje – zauważył Mietek. – Może ta burza gada wymroziła.

– Albo zabił dziewczynę i się nażarł – stwierdziłem. – Tak mój dziadunio mówi.

– Bajki dla dzieciaków – podsumował Przemek.

– Jak zaczniesz znowu wyć, to wtedy będzie można znowu się martwić.

Zaczęło. Ale nie tej nocy. Ta była spokojna.

Ostatnia spokojna noc w osadzie.

# ROZDZIAŁ 18

## *To nie koniec*

*Rok 2023*

Komisarz Krzysztof Podyma spoglądał na swojego starszego kolegę po fachu, co prawda już emeryta, ale przecież diabło dobrego śledczego, i zastanawiał się, jak potoczy się jego własny schyłek kariery w Policji. Będzie mu się chciało do ostatniego dnia ganiać za mordercami i rozwiązywać zagadki? A może wskoczy na jakiś stołek i będzie chodził w wyprasowanym mundurze, ścisnął dłonie odpowiednich ludzi, zamiast zatrząskiwać na nich kajdanki? Może i jego kiedyś wezwą na takie rozmowy, odkopując sprawę sprzed lat, bo czasy się zmieniły i pewne rzeczy wymagają świeżego spojrzenia?

– Dwa pytania mnie nurtują – powiedział w końcu.

– No to proszę je zadać – odparł Jan Ryś z uśmiechem, jakby nie marzył o niczym innym jak tylko o zaspokajaniu ciekawości dwóch funkcjonariuszy z Archiwum X.

– Czy pan chociaż przez chwilę wierzył w tego demona?

Stary policjant nie przestał się uśmiechać, jakby spodziewał się, że takie pytania prędzej czy później padnie.

– Nie będzie mi na nie łatwo odpowiedzieć – odrzekł. – Pamiętam zdarzenia, ale swoich odczuć nie za bardzo. Chodzi jednak także o inne kwestie.

– Jakie?

– Przez tyle lat służby spotkałem się parę razy ze zdarzeniami, których wyjaśnić nie szło w racjonalny sposób. Domy, gdzie każdy kolejny lokator popełniał samobójstwo, mimo że nie znał nawet poprzednich właścicieli, wypadki samochodowe, podczas których kierowca zarzekał się, że widział jakąś postać na poboczu, chociaż dookoła puste pole. Wiecie, jak to jest.

– Wiemy. – Pokiwali zgodnie głowami. No cóż, każdy w trakcie swojej pracy po tylu latach spotykał się z czymś, co ciężko było wyjaśnić racjonalnie.

– Raz ciało wskazał mi jasnowidz i to nie tak, że na dwoje babka wróżyła. Powiedział, że trup jest dokładnie w kanale burzowym przy starej przepompowni. I był.



– Ja tam akurat tym oszołomom wiary nie daję – powiedział Podyma. – Proszę mi wybaczyć, ale nie trafiłem na takie dokładne wskazanie, a rodziny naoglądają się głupot w telewizji, naczytają brukowców i pierwsze co, to biegną do jasnowiedza, żeby wskazał zaginioną osobę lub ciało. Strata czasu i środków, a najgorzej, jak taki ćwok opowie, że widzi ciało niedaleko zbiornika wodnego, to już jest naciśk, żeby szukać właśnie tam, rodzina nie odpuszcza. Dwudziesty pierwszy wiek, a zabobon jak w średniowieczu.

– Zgadzam się. – Ryś pokiwał głową. – Dlatego mówię, że tylko raz mi się zdarzyło, że facet trafił z miejscem, ale ten odosobniony przypadek wystarczył, żeby zadać sobie pytanie o sprawy, które wymykają się racjonalnemu myśleniu. No i tak też muszę spojrzeć na ten przypadek. Ja wtedy nie wierzyłem w żadnego demona, tak mi się wydaje. Duchy i upiory raczej nie napadają na młode dziewczyny, aby je udusić swoimi łapskami, których odciski dość mocno przypominają nasze, ludzkie.

– Otóż to – potwierdził Sukiennik.

– I to stanowisko długo się utrzymywało w mojej świadomości, ale każde takie małe wydarzenie, którego nie potrafiliśmy zgrabnie opisać w protokołach, zabierało drobinę piasku z fundamentu mojego postrzegania świata. Rozumiecie?

– Czyli dziś wierzy pan, że mogła to być Mara, jak utrzymywali niektórzy mieszkańcy? – zapytał Podyma, ale w jego głosie nie było kpiny czy lekceważenia.

– Nie – odpowiedział twardo Ryś. – Ale wydarzyły się też pewne rzeczy, które ciężko było gdziekolwiek zakatalogować. Dojdziemy do tego.

– Jasne – odparł Sukiennik.

– Zabijał człowiek, to pewne. – Ryś spojrział tęsknie na kartonik po pączkach, z chęcią zjadłby kolejnego. – Ale może coś tam było, w powietrzu, nieuchwytnie, ale złe.

Dwaj funkcjonariusze spojrzeli po sobie, ale na ustach żadnego nie pojawił się nawet cień zbłąkanego uśmiešku. Każdy policjant po kilku latach służby już się orientował, że coś takiego jak „zło” istnieje.

– Drugie pytanie, panie komisarzu – zwrócił się Ryś do Podymy, przerywając ciszę.

– Co? – odparł tamten, mrużąc oczy.

– Wspomniał pan, że nurtują go dwa pytania – wyjaśnił emeryt. – Pierwsze dotyczyło mojej wiary w zjawiska nadprzyrodzone, a drugie?

– A tak. – Komisarz skinął głową. – To chyba bardziej prywatne, tak poza sprawą. Oczywiście, jeśli pan nie zechce odpowiadać, to zrozumiem.

Tym razem to Ryś skinał głową, dając znak, że akceptuje warunki.

– Dlaczego nie awansował pan dalej, a skończył karierę na stopniu nadkomisarza?

– Nie wy pierwsi pytacie – odparł natychmiast stary policjant. – A wyjaśnienie tej kwestii jest bardzo proste i nieowiane żadną tajemnicą. Ja zaczynałem służyć za czasów komuny, a sami wiecie, że to w papierach wygląda nie najlepiej.

– Ale wielu policjantom w karierach nie przeszkodziło – wtrącił Sukiennik.

– Zgadza się. Ja też pozytywnie przeszedłem weryfikację w momencie transformacji Milicji Obywatelskiej w Policję. Na szczęście nie skierowano mnie nigdy do spraw politycznych, a to stało się końcem dla wielu kolegów. Jezu, jak wtedy wszyscy trzęśli portkami. Wiecie, jednego dnia jesteście w swoim mieście kimś znaczącym, macie na usługach kilku informatorów, paru lokalnych bandziorów omija was szerokim łukiem, a nadepnęliście na odcisk dziesięciu innym i tylko blacha powstrzymuje ich od zemsty. To jest bardzo czuły ekosystem, którego policjant jest częścią. I nagle okazuje się, że wylatujecie z roboty, bo dziesięć lat temu zostaliście skierowani do przeszukania domu jakiegoś działacza opozycji. Zatrzymaliście go, a na komendzie ktoś potraktował nieszczęśnika pałką. Mundur zostaje w szafie, odznakę zdajecie przełożonemu i zostajecie zwyczajnym Kowalskim, któremu każdy bezkarnie może dać w mordę, postraszyć jego dzieci albo zgwałcić żonę, ot tak, w ramach rewanzu za waszą walkę z przestępczością.

– Sprawdziłem pana akta i jest tam protokół z weryfikacji, przeszedł pan bez problemu – stwierdził Podyma.

– Zgadza się. – Kiwnął Ryś głową w odpowiedzi. – Niestety, mocno mi nabruździł kto inny, związany ze sprawą. Wujek pierwszej ofiary, czyli Anuli. Był dyplomatą na placówce w Związku Radzieckim i tak się złożyło, że po zmianach ustrojowych został na stanowisku. Spotkaliśmy się kiedyś na święcie Policji i powiedział, że to moja wina, że do dziś nie znaleziono sprawcy zabójstwa jego siostrzenicy, oraz że jej matka, a jego siostra, popełniła samobójstwo.

– O! – zdziwił się Sukiennik. – O tym nie wiedzieliśmy.

– No bo i skąd – odparł Ryś. – Prokurator badał sprawę jej śmierci, ale wykluczono udział osób trzecich.

– W jaki sposób odebrała sobie życie? – zapytał Podyma.

– Studnia – odpowiedział Ryś. – Co prawda zasypano ją po tych wydarzeniach, ale pozostała na środku wsi jako taki element wystroju. Zośka powiesiła się na niej. Dopiero potem studnię rozebrano.

– Można powiedzieć, że to kolejna ofiara tych wydarzeń – stwierdził Podyma.

– No bez wątpienia – zgodził się Rys. – Tym bardziej, że Anula była pierwsza i jeśli ktoś myślał, że to koniec, był w olbrzymim błędzie. To był dopiero początek.

## ROZDZIAŁ 19

### *Miłość*

*Rok 1978*

Niemal cały dzień ślęczałem nad zeszytem Anuli, ale pożytku z tego nie było żadnego. Notatki z zajęć, bazgroły i serduszka okalające literę „A”. Zaczynałem mieć pewność, że adorowała w ten sposób nie swego tajemniczego oblubieńca, lecz przysłego syna. Zdecydowanie nie chodziło o Andrzejka, który teraz siedział w swojej chałupie zamknięty na cztery spusty i czekał na dalszy rozwój wypadków, a ten jasno nakreślił mi stryj Janek.

– Twój ojciec sprowadzi najpewniej wojsko, które przebiję się do nas przez śnieg, prawdopodobnie już są w drodze – tłumaczył. – Przewiduję, że powinni odkopywać Wnyki, a Barcinek to już na pewno wrócił do normalności.

– I co dalej?

– No cóż, mimo iż na moje Andrzejek jest niewinny, to jednak trzeba go będzie osadzić w areszcie tymczasowym i oddać w ręce prokuratora. Tam oczyszczą go z zarzutów i gdy wróci, nikt już nie będzie mu miał prawa zarzucać czegokolwiek.

– A co z prawdziwym mordercą? – zapytałem, zastanawiając się, czy aby na pewno oczyszczą Andrzejka z zarzutów.

Janek opowiadał, że informacja o ciąży była dla kierowcy takim szokiem, że aż zemdlał. Nie bacząc na to, że obciąża sam siebie zaręczał, że Anula nie miała żadnego kochanka, a w ciąży być nie mogła, bo nie współżyli, czekali z tym do ślubu. Koniec końców nie uwierzył w to, ale przekonać się na własne oczy nie mógł, bo nikt by go w osadzie do ciała nie dopuścił. Przy zwłokach Anuli odprawiano nieustające czuwanie, palono gromnice i odmawiano różaniec. Janek uprosił tylko, aby w pokoju było chłodno i żeby nikt nie obmywał jej ciała.

– Dużo nam da zbadanie zwłok dziewczyny – odparł Janek. – Może sprawca zostawił odciski palców, kto wie. Gdy tylko zjawi się wojsko, to poproszę o kontakt z komendą w Jeleniej Górze i natychmiast otrzymamy transport.

– No to mam nadzieję, że ojciec szybko ich spotka.

– Nie lubię sytuacji, gdy nadzieja jest jedynym, na co możemy liczyć – stwierdził Janek. – Do tej pory czekamy, bo i co innego robić?

Nie wiedzieliśmy wtedy, że śnieg sięgający parapetów chałup zasypał nie tylko Kotlinę Jeleniogórską, co przecież zdarzało się każdego roku i to często po kilkakroć, ale równo cały kraj. Zima sparaliżowała Polskę jak długa i szeroka, wstrzymała życie niemal wszystkich ludzi i nikomu nie było w głowie docieranie do naszej osady na krańcu świata. Tęgi mróz królował w miastach i na prowincji, rozsadzał węzły ciepłownicze, zrywał przewody wysokiego napięcia, powodował wypadki, zabierał życie tym, którzy nie zdążyli schronić się w domach na czas. Polska walczyła o życie swoich obywateli i jak na razie przegrywała z kretesem.

Odłożyłem zeszyt i spojrzałem jeszcze raz w lustro. Koszula z kołnierzykiem dusiła, ale nie wypadła dzisiaj źle wyglądać, w końcu szedłem na obiad do Alicji i miałem poprosić jej rodziców o rękę ukochanej. Tremę miałem straszną, pierścionek otrzymany od babci ślizgał mi się w spoconych dłoniach, ale przecierałem go szmatką, aby złoto pięknie lśniło i co rusz sprawdzałem, czy aby na pewno jest w kieszeni spodni. Dla jej mamy miałem bombonierkę Wedla, którą udało mi się kupić na targu w Starej Kamienicy, a dla ojca koniak, który załatwił mi Wiesiek. Tak uzbrojony wziąłem głęboki oddech i ruszyłem do domu mojej wybranki.

Spacer po zatopionej w mroku osadzie przypominał mi nieco nasze nocne wyprawy w poszukiwaniu sprawcy tajemniczego wycia, ale dziś nawet stado demonów mogłoby stanąć mi na drodze, a i tak bym się ich nie uląkł. Mój strach w całości należał do zaplanowanego na wieczór spotkania.

Nie będę opowiadał ze szczegółami, bo i co tu gadać o tym, jak pocilem się przez całą wieczór przerażony wizją odmowy, mimo iż była to opcja raczej nierealna. Co wam po tym, że z nerwów rozlałem na siebie kompot, a próbując wytrzeć brązową plamę, dołożyłem białą z sałatki jarzynowej. Mógłbym za to bez końca opisywać oczy mojej ukochanej, pełne śmiechu i życia, gdy klękałem przed nią z pierścionkiem, jej uśmiech szczery i szeroki, lzy matki i aprobujące pomrukiwanie ojca. O tak, o tym mógłbym długo, ale i tego słuchać pewnie nie chcecie.

Nie poszedłem już do stodoły starego Brysia, siedziałem u Alicji do późna, ona zerkała co chwile na swą dłoń ozdobioną cennym pierścionkiem, a ja chłonałem jej zapach. Tak to jest, że kilka domów dalej jedna dziewczyna leżała na desce, szczęście uciekło od niej jak zbity pies, a tutaj druga przeżywała jeden z najpiękniejszych dni w życiu. Może to było to samo szczęście, stamtąd sobie poszło, a tutaj przydreptało? Może jest limit radości na cały świat i jak jeden zaczyna się cieszyć, to drugi płakać?

Ale szczęście dziś siedziało w domu Alicji i ani myślało łączyć po osadzie i nawiedzać innych. Było mu tam dobrze, może i wiedziało o samotnej dziewczynie wymykającej się w iluzorycznej osłonie nocy ze swojego domu, może i czuło, że będzie jej dzisiaj potrzebne, a może wręcz przeciwnie, miało pewność, że nic nie działa.

\*\*\*

Iwona stawiała kroki ostrożnie, to chyba przez trzeszczący pod butami śnieg, zamieniony przez tęgi mróz w skrzypiącego zdrajcę, który rozrywa głęboką nocną ciszę, nie pozwalając poruszać się bezszelestnie przez osadę. Niby wszyscy powinni spać, może w domu Anuli nadal trwały modły, ale reszta powinna przewracać się pod grubymi pierzynami na drugi bok.

Jednak nie ona, przed nią stało zadanie. Z latarką zabraną potajemnie z szuflady kuchennego kredensu przemierzała mroźną noc, aby dotrzeć w to jedno miejsce, o którym nikt nie mógł się dowiedzieć. Mawiają, że kobiety nie potrafią dotrzymywać tajemnic, ale co oni tam wiedzą, to zaledwie wióry lecące z drzewa prawdy. Ona potrafiła trzymać język za zębami, dowiodła tego w ciągu ostatnich dni. Zgodnie z umową nie pisnęła ani słówka, najpierw odpowiadając przed zaginioną przyjaciółką, a potem już przed martwą, ale czy śmierć zwalnia z przysięgi? Raczej nie. Co by to były za przysięgi, niewarte złamanego grosza.

Dochować tajemnicy, tak brzmiała pierwsza część przyrzeczenia przypięczonego krwią. Nakłute igłą opuszki palców złączyły się w karmazynowym pakcie, słowa wypowiedziane z powagą, na jaką stać tylko młode dziewczyny, poleciały pod powałę starej chaty, której od lat nikt nie zaszczycał ciepłem ludzkiego ciała. Takie przysięgi mają moc zdolną zmieniać bieg dziejów, a już na pewno tych, które ją składały.

Dochować pamięci, tak brzmiała druga część przyrzeczenia, które miało zadbać o ich przyszłe losy, gdyby jedna z nich, nie daj Boże, zniknęła z tego łoża pałacu. A tak się właśnie stało, zatem należało działać. Obydwie spisywały swoje memuary, wzorem swoich idolek z minionej epoki, panien obleczonych w jedwabne suknie, łaknących miłości, otrzymujących jedynie wzgardę, cierpiących w zaaranżowanych małżeństwach, w porcelanowym szczęściu zaprojektowanym przez rodziców. Tak jak ich poprzedniczki cierpiały i opisywały okrutny los w grubych brulionach. I gdyby jednej z nich coś się stało, to druga miała sięgnąć do tej skarbnicy wspomnień, tak nieistotnych dla świata, ale jednocześnie tak ważnych dla dwóch dziewcząt z małej karkonoskiej osady, i rozgłosić je wszem i wobec. Zawarły tam wszystkie sekrety, tajemnice do tej pory zamknięte w młodych umysłach, przelane na papier dla potomnych.

Drzwi domu zaskrzypiały jak zwykle, ale był to kojący dźwięk, znany, przyprawiający za rękę wspomnienia wspólnych spotkań. Spacer do tego miejsca, pełen zbyt szybkich kroków po skrzypiącej zmarzlinie, był stresujący, ale ten moment koił nerwy niczym przytulenie przyjaciółki. Strzegły tego miejsca jak oka w głowie, chłopcy mieli swoją stodołę, a one sąsiadujący z nią opuszczony domek starego Brysia, do którego wejść można było tylko, jeśli miało się klucz, a one były w jego posiadaniu, dziwnym zrządzeniem losu, na które składało się potknięcie w wysokiej trawie Anuli, upadek i boleśnie stłuczone kolano. Odbił się na nim ślimaczy kształt, pochodzący z upuszczonego przed laty klucza. Szybka próba bez wiary w powodzenie nagrodziła je otwartymi drzwiami do domu starego kawalera. Od tej pory wchodziły tam po kryjomu, tylko po zmroku, gdy chłopcy w sąsiedniej stodole przekrzykiwali się w przechwałkach i pili zwędzony starym samogon.

One zachowywały ciszę. Opracowały własny język migowy i siedząc w kuchni, w której przezornie zasłoniły okna grubymi kocami, przy skąpym świetle lampy naftowej drobnym pismem zapełniały kolejne strony w zeszytach, a zapiski chowały w skrytce za kredensem.

Była to zabawa do czasu, aż przyszła zielona wiosna, a wraz z nią na Anulę spadła miłość, nieposkromiona i wpierw niepozorna, niczym fiołki wyrastające w pierwszej zieleni traw, a później gwałtowna jak majowe burze. Miłość owa wydała owoce, zakwitła w łonie Anuli, budząc ją ponownie do życia.

Kto był sprawcą owej rzeki uczuć? Iwona nie wiedziała. To był właśnie sekret z gatunku tych poważnych, ale zapisany drobnymi, kształtnymi literkami skrywał się na kartach pamiętnika Anuli.

Czy nie miała chęci zakraść się samej do ich miejsca schadzek i przewertować zapisków przyjaciółki, aby posiąść jej sekret? Wielokrotnie.

Dlaczego tego nie zrobiła? Chyba ze strachu. Bała się, że jeśli dowie się, kto stoi za tym wielkim uczuciem, to Anula natychmiast to rozpozna i cała ich przyjaźń zniknie, odleci gdzieś w czerń nocy, tam, gdzie znikają koszmary i niechciane sny. Więź z Anulą była jedynym, co miała tylko dla siebie, sama na nią zapracowała, to było jej. Wszystko inne w życiu zawdzięczała rodzicom, każdą część garderoby, książkę, płytę, przeszłość i przyszłość. Tylko tej przyjaźni jej nie zaplanowali, nie mieli nad nią władzy, nie rozpoczęli jej ani nie mogli zakończyć. Mogło to natomiast uczynić poznanie sekretu przyjaciółki, a wiedziała, że i tak prędzej czy później dowie się o nim jako pierwsza.

I to nastąpiło. Za chwilę przekręci stary klucz w zamku, drzwi staną przed nią otworem, po omacku dotrze do lampy naftowej i zapali drobny płomyczek, który

ożywi cienie obecnie śpiące w zakamarkach kuchni. Sprawdzi, czy koce zasłaniające okna aby się nie obsunęły, po czym sięgnie za stary kredens i koniuszkami palców dosięgnie do starej skórzanej teczki, a z niej wydobędzie dwa zeszyty. Treść jednego zna na pamięć, bo każdy ma tak ze swoim życiem, może być z niego odpytywany o każdej porze dnia i nocy, drugi pamiętnik natomiast odkryje przed nią tajemnice głęboko dotychczas skrywane przed światem.

Co zrobić potem? Czy zdradzić wszystko Michałowi, który zgłębiał tajemnicę śmierci Anuli? Czy imię jej kochanka coś tu zmieni? Czy nieskalana miłość, którą darzył jej przyjaciółkę, winna być przyczynkiem wciągnięcia w śledztwo, czy też raczej stanowi tarczę, której ona nie powinna rozbijać?

Klucz gładko przesunął się w zamku, drzwi otworzyły się z szelestem, witając ją zapachem pleśni i kurzu. Przekroczyła próg, jak robiła to dziesiątki razy, weszła do kuchni, po omacku odszukała lampę, która stała tam, gdzie zawsze. Zapalki leżące obok niej zagrzecotały radośnie, skrzesala ognia i wypełniła zapomniany dom mdłym światłem.

Jej ręka zanurkowała za kredensem w poszukiwaniu skrytki, a westchnienie ulgi wydane przez Iwonę było bardzo głośne, bo podświadomie obawiała się, że morderca był tutaj przed nią i skradł ich sekrety. Ale nie, bzdura, skąd by miał o tym wiedzieć?

Skórzana teczka skrywała dwa zeszyty, ten swój pozostawiła na miejscu, zapisywany przez Anulę położyła na stole. Przsunęła bliżej lampę, ale bała się wydłużyć knot. Mimo koców zakrywających okno jakiś nikły blask mógłby wydostać się na zewnątrz i skłonić kogoś do sprawdzenia, co to się wyprawia w chacie starego Brysia.

A może to byłby nawet on, ten morderca?

Nie, niemożliwe. Potrząsnęła przecząco głową, jakby chciała wytrzepać z myśli ten zarodek strachu, to ziarno, które kiełkowało w niej od jakiegoś czasu.

Chuchnęła w dłonie, aby nieco je rozgrzać, i przesunęła palcami po kartonowej okładce. Pierwsze strony zeszytu nie mówiły o niczym konkretnym, zapiski pochodziły niemal sprzed roku, kiedy to w młodej głowie Anuli mieszkał tylko Andrzejek, którego zdawało jej się, że kocha. Ale skąd człowiek ma wiedzieć, czy to miłość, skoro nigdy jej nie przeżył?

Odpowiedziała jej sama Anula, notując na dziesiątej stronie zeszytu: *Kocham! Nareszcie kocham! Jeśli kochasz, to wiesz, że to miłość, nie ma pytań ani wątpliwości. Jeśli one się pojawiają, to nie była miłość!*

Kolejne strony pełne były rozbuchanego pisma, drobne dotychczas literki nieco się powiększyły, nabrały krągłości, nieraz były chwiejne, jakby autorka mu-



siała natychmiast przelać na papier swoje uczucia w strachu przed tym, że umkną.

*Mój ukochany zamieszkał w wierszach, nawet gdy mówi do mnie, to słowa układają się w wersy, każde zdanie rymuje się w mej głowie z poprzednim, a jednocześnie ze słowem „kocham”. Miłości spragniona, zostałam napojona.*

Iwona знаła te wiersze, nie było w nich imienia kochanka. Niecierpliwe wertowała kolejne strony, ale natrafiała tylko na opisy euforii, jak buzowała w umyśle Anuli. Później był przełom, pojawiło się dziecko. Co ciekawe, nie wspomniała słowem o momencie, w którym doszło do tego, do czego dojść musiało, aby mówić o ciąży. Czyżby to był zbyt wielki sekret, aby powierzyć go nawet i tajemnym meumarom?

*Największe uczucia, o których piszą potem w kronikach, rodzą się na glebie zakazów i nawożone są niechęcią świata. Tak jest i u mnie. Jednak owoc będzie tego słodki, wyrośnie z naszej miłości nie tyle drzewo, co potężny las, który wszystkim dookoła udowodni, że dla miłości nie ma bariery.*

Imię! Iwona zaczynała się denerwować, poetyckie zapędy jej nieżyjącej przyjaciółki łagodziły może i uszy, jednak nie niosły konkretów, ale i ten wreszcie nadzedł na ostatnich stronach, które jednak...

– Ktoś tu był – wyszeptala na głos. – Wyrwał kartki z zeszytu.

Przesuwała drobnymi palcami po kikucie poszarpanego papieru, jaki zostawił po sobie wandal, zabrawszy najważniejsze zapiski. Musiały takie być, bo jakież byłby inny powód? A może to sama Anula pozbawiła świat zapisanego przez nią sekretu, największego w jej krótkim życiu?

– Nie zrobiłaby tego – powiedziała ponownie na głos Iwona. – Nie w taki sposób, nie wydarłaby stron. Zniszczyłaby cały zeszyt.

Ktoś zaciera ślady, dotarło nagle do niej. A kto by to mógł być? Tylko morderca!

Poderwała się na krześle przestraszona nie tyle swoimi myślami i wnioskami, które właśnie rozświetliły się w jej umyśle o wiele jaśniej niż lampa dająca światło tej mroźnej nocy, ale dlatego, że usłyszała skrzypienie śniegu za oknem.

Zamarła, starając się wyłowić najśłabszy nawet dźwięk, ale nic z tego, noc huczała w jej głowie pulsującą krwią, pompowała strach w żyły, a ten podpowiadał najstraszniejsze scenariusze.

Morderca.

Mara.

Potwór.

Wilkołak.

Duch.

Zły.

Ale otaczała ją cisza i to było najgorsze. Gdyby ktoś rozmawiał na zewnątrz, a nawet i palił papierosa, to byłby znajomy dźwięk, jednak nic z tego. Czy chłopcy byli nadal w stodole? Nie wiedziała, do której zazwyczaj siedzą, ale poczuła przemożną chęć, aby pójść do nich, a nawet wyjść przed dom i zawołać któregoś po imieniu.

Cisza.

Zamknęła zeszyt i spróbowała schować go do teczki, ale wypadł jej z dłoni, które drżały niczym niespokojne motyle, nie mogła ich opanować.

I wtedy usłyszała skrzypienie na śniegu, z pewnością, nie mogło być mowy o pomyłce, ktoś chodził koło chaty. Podniosła zeszyt z podłogi i schowała go pod płaszcz, nie myślała o tym, dlaczego to robi, ot tak po prostu, jakby w obliczu niebezpieczeństwa chciała ukryć to, co najcenniejsze.

Schyliła się po teczkę, zapięła ją i szybko wrzuciła za kredens, po czym odwróciła się, aby zgasić lampę i wyjść stąd jak najprędzej, uciec zagrożeniu. Nie, głupia, nie wyjść, schować się w ciemności.

Stał w progu.

Zobaczyła go i już wiedziała, że jest za duży, za silny, za brutalny dla niej. Że to nie może być ten, kogo kochała Anula, absolutnie niemożliwe. Oczywiście, ta miłość byłaby absurdalna i zakazana, ale nie do pomyślenia, bo... No bo jak...

– To ty – wyszeptwała.

Mruknął coś w odpowiedzi.

– Ja już idę do chłopców, do stodoły – powiedziała, żeby zbić go z tropu.

Nie pozwolił jej powiedzieć niczego więcej, uderzył ją w twarz z taką mocą, że poleciała na drzwi prowadzące z kuchni do pokoju, a te ustąpiły pod jej ciężarem. Wpadła do zalanego czernią pomieszczenia, które jednak знаła na pamięć, często tu siedzieli z Anulą i patrzyły, jak drobinki kurzu tańczą w świetle wpadającym przez brudne okno.

Zanim zalała ją fala bólu, zdążyła w głowie wyświetlić obraz pokoju, łóżko na przeciw okna, kufer na pościel, stara szafa po drugiej stronie, wieszak na ubrania i komoda ze stojącym na niej popsutym radiem.

A potem odruchowo zaczęła piszczeć, ale się jej nie udało. Dwie rzeczy nawiedziły ją w tym samym momencie: niemożność wydania z siebie dźwięku i potworny ból. Czowała, jak pod językiem tańczą jej wybite zęby, niczym grupa podpi-

tej młodzieży na zabawie, jak zamiast pisku czy krzyku przez usta płyną tylko krew i charkot, jak szczeka chce jej opaść na podłogę i sprawia wrażenie, że nigdy nie była jej, ot tak sobie z nią pomieszkiwała, a teraz postanowiła pójść precz.

Nie będzie walczyła. Nie może krzyczeć. Pozostaje ucieczka.

Wstała z kolan, ale zakręciło się jej w głowie, zatoczyła się w stronę okna. W drzwiach ujrzała zwałistą postać, oświetlaną od tyłu przez nikły blask lampy naftowej. Szedł po nią nieśpiesznie, jakby właśnie wrócił z pola i postanowił odpocząć.

Okno się nie domykało i ona o tym wiedziała, dlatego można tu było siedzieć tylko latem, bo w zimie szło zamarznąć. Solidna drewniana rama, dawno niemalowana, spuchła od wody deszczowej i można było ją jedynie przymknąć. Ona o tym wiedziała, on raczej nie, a przynajmniej taką miała nadzieję. Szarpnęła za klamkę, żeliwną i misternie powyginaną, okno ustąpiło i w twarz uderzyło ją zimne powietrze, przynosząc chwilową ulgę, a z nią nadzieję, że jednak uda się uciec.

Nie potknęła się, nie zaczepiła płaszczem o róg okna, los był dla niej łaskawy. Udało się jej uciec z pułapki, co potwierdziło chrapliwe „suka”, rzucone przez nastpnika. Spojrzała pod nogi i ze zdziwieniem, ale i pewnym zrozumieniem sytuacji zobaczyła krew lejącą się pod jej stopy. Nie czas na to, pomyślała i ruszyła przed siebie. I dobrze, bo zaraz za plecami usłyszała łupnięcie o śnieg, to potwór poszedł jej śladem.

Nie mogła wybierać drogi ucieczki, może i dobrze, bo po co ryzykować, że pobiegnie do stodoły, a tam nie będzie nikogo. Ruszyła w stronę środka wsi, wypłuła krew razem z kilkoma zębami i spróbowała krzyknąć, ale zachłysnęła się tak mocno, że aż zgięło ją wpół.

Hej, szczęście, gdzie jesteś? Dlaczego cię tu nie ma?

Poczuła szarpnięcie do tyłu.

Dopadł ją.

Uniosła się w powietrze, niczym na huśtawce, którą w lecie wieszali nad stawem, i podobnie jak na niej zaraz poleciała w dół, ale twarzą w śnieg.

Ból był straszliwy i już wiedziała, że udusi się, nie mogąc nabrać powietrza, a może udławi się własną krwią?

Jednak obrócił ją na plecy i spojrzał w oczy, z góry, jakby leżała w tej studni, w której znaleźli Anulę.

– Kto jeszcze wie? – zapytał.

– Nikt – odparła, chociaż to chyba rozległo się jej w głowie, bo znowu dławiła ją krew.

– Ta suka Alicja?

Pokręciła przecząco głową, a może i nie?

Zobaczyła unoszącą się pięść.

\*\*\*

A tymczasem, niedaleko od miejsca, gdzie szczęścia nie znajdziesz, ja pocałowałem w dłoń ukochaną, a już narzeczoną właściwie. Przyłożyłem nos do jej włosów i wciągnąłem powietrze, rozkoszując się tym wspaniałym zapachem, od tej chwili już zarezerwowanym dla mnie.

– Kocham cię – wyszeptałem. – Niech cały świat to wie.

– Mój Michałek – powiedziała, głaszcząc mnie po udzie, a potem jej ręka powędrowała bardziej odważnie.

– Rodzice – wyszeptałem. – Jak tu wejda, to mnie zabiją.

– Czym jest śmierć wobec miłości? – zapytała i nie mówiła już nic więcej.

Uwierzyłem jej.

## ROZDZIAŁ 20

### *Maki na śniegu*

*Rok 2023*

To już był kolejny dzień i ponownie zaczął się przepysznyymi pączkami przyniesionymi przez starszego policjanta. Jan Ryś zaczynał się czuć, jakby ponownie objął etat w jeleniogórskim wydziale kryminalnym. Przechodził tymi samymi uliczkami, które deptał w drodze do pracy przez lata, kiwał dyżurnemu głową, ponownie wspinał się na schody. Czy podobał mu się ten powrót? Tak, bo chciał, ale nie musiał tu przychodzić. W każdej chwili mógł odwrócić się na pięcie i wrócić do spokojnego życia emeryta, pieszych wędrowek na Śnieżkę czy Śnieżne Kotły.

Patrzył na twarze kolegów, ocierających resztki lukru z kącików ust, czujących jeszcze bogaty smak nadzienia gdzieś na języku i było mu trochę szkoda, że za raz im to wszystko wypłucze opisem kolejnych zdarzeń z osady.

– To wyglądało jak maki na śniegu – powiedział spokojnie, siorbiąc kawę. – To było moje pierwsze skojarzenie.

– Mówimy o ciele drugiej ofiary? – zapytał Podyma, na co stary policjant w odpowiedzi skinął głową.

– Gdy podszedłem do niej, to z daleka zdawało się, że ot przechodziła, zobaczyła polanę pełną maków i położyła się na niej, spoglądała w niebo, licząc chmury, aż usnęła. Nawet ten śnieg pasował, dzięki niemu czerwień była dużo mocniejsza, jasno krzyczała do nas, że oto wydarzyło się morderstwo. I jak się mawia czasem, że ktoś leżał w kałuży krwi, to tu było inaczej, ona leżała wśród plam, kleksów, rozbryzgów. Bił ją po twarzy, aż ubił. Śnieg był mocno zmrożony, a i w nocy było chyba z minus dwadzieścia, więc krew nie wsiąkała, a zamarzała, wyglądała jak lukier na pączkach.

Jan Ryś ponownie napił się kawy, wiedział, że dwóm funkcjonariuszom Archiwum X żołądki nie podejdą do gardła, za dużo w życiu widzieli, ale chciał namalować im ten obraz, którego sam doświadczył, tym bardziej, że to musiało im wystarczyć.

– Zrobił pan zdjęcie? – zapytał Podyma.

– Owszem. Chłopak miał jeszcze jakąś starą kliszę, jednak film w aparacie był czarno biały, nie oddał po wywołaniu tego widoku. Ale skoro pytacie, to fotografia najpewniej zaginęła?

– Zgadza się – powiedział Sukiennik.

– No cóż. – Ryś wzruszył ramionami. – I tak by wam wiele nie powiedziała. Raport z autopsji także, bo śmierć nastąpiła wskutek urazu czaszki, po prostu ktoś ubił dziewczynę na śmierć.

– Ślady? – zapytał Podyma.

– Dookoła pełno, ale na nic się to zdało. Większość wtedy chodziła w gumofilcach albo berlocach, takich słomianych butach. Wszystkie takie same. Zresztą zanim przybyłem na miejsce, dookoła stało już kilka osób, nawet część tych krwawych pozostałości była zniszczona, bo oczywiście postanowiono sprawdzić, czy żyje, chociaż było doskonale widać, że zimny trup. Przy takim mrozie nawet jakby lekko ją uderzył, tak, żeby tylko straciła przytomność, to zamarzlaby w pół godziny, ale nie odpuścił jej.

– Afekt? – zapytał Sukiennik.

– Musiał być na nią zły – zgodził się Ryś.

– Nie broniła się? – zapytał Podyma.

– Te maki kwitły nie tylko wokół niej – odparł Ryś. – Kwitły też nieco dalej i okazało się, że krwawy ślad prowadził do opuszczonego domu starego Brysia. Co ciekawe, stodołę tego gospodarstwa upatrzyli sobie miejscowi chłopcy na miejsce spotkań, wiecie, pogadać, wypalić papierosa, napić się bimbrow. O tym wiedziałem. Ale okazało się, że w domu też ktoś się spotykał.

– Była w środku?

– Tak – powiedział Ryś. – Dziewczyna, według mnie, umówiła się z mordercą w opuszczonym domostwie, może żeby coś wyjaśnić albo skonfrontować? Trudno stwierdzić, co nią motywowało, gdybyśmy poznali sprawcę, pewnie dałoby się połączyć te sznurki.

– Czy technicy zabezpieczyli potem jakieś ślady? – zapytał Sukiennik.

– Paluchy, to wszystko. Porównanie nic nie dało, należały do dziewczyn, czyli pierwszej i drugiej ofiary. Była też krew, na framudze drzwi i okna oraz podłodze w pokoju. Okazało się, że należała do ofiary.

– Czyli umówili się, spotkali, coś poszło nie tak i ją zaatakował. Próbowwała uciekać oknem, prawie się jej udało, ale dopadł ją na zewnątrz – podsumował Podyma.

– Dokładnie – zgodził się Ryś.

– I nikt niczego nie słyszał? – zdziwił się Sukiennik.

– Panowie, to była głęboka noc – odparł Ryś. – Zgodnie z informacjami otrzymanymi od matki ofiary, to Iwona jeszcze o północy żyła, pomagała jej w ścieleniu łóżek i sprzątaniu, bo zasiedzieli się przy kolacji. Zanim wszyscy usnęli w domu, minęła najpewniej godzina, więc do wydarzeń mogło dojść koło drugiej. Nikt o takiej porze nie wychodzi z chałupy, bo i po co? Szczególnie w taki mróz.

– A sąsiedzi niczego nie słyszeli? – dociekał Podyma. – Przecież musiała krzyczeć.

– Też mnie to dziwiło, ale wszyscy się zarzekali, że nic nie było słychać. Może to przez podwójne okna zakładane na zimę, kto wie. W każdym razie nikt niczego nie widział, nikt niczego nie słyszał.

– Zmowa? – zapytał Sukiennik.

– Nie sądzę. Przy śmierci młodej, niewinnej dziewczyny? Wydaje mi się, że gdyby jakiś świadek był, to wiedziałbym o tym. A tak, to znowu zostałem z niczym.

– A co z pomocą i człowiekiem, którego wysłaliście do sąsiedniej wsi? – zadał pytanie Podyma.

– Ja już wspominałem, że nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że ten kataklizm spadł na cały kraj i, wbrew pozorom nie nas dotknął najmocniej. My mieszkaliśmy w górach, zima nie była nam obca, ale w miastach trwała istna apokalipsa. Mój brat wrócił dopiero na drugi dzień i niestety, nie miał dobrych wieści.

– Z tego, co wiem, to do początku stycznia nikt do was nie dotarł – bardziej stwierdził, niż zapytał Sukiennik.

– Zgadza się.

– Czyli żadnego punktu zaczepienia po oględzinach zwłok? – podsumował Podyma.

– Miałem tylko jeden punkt zaczepienia, choć wąły – stwierdził Ryś.

– Jaki? – zapytał Podyma.

– Obrażenia dziewczyny – wyjaśnił stary policjant. – Sprawca musiał się też mocno pochłapać krwią.

– Pewnie szybko pozbył się ubrania – powiedział Sukiennik.

– Niestety, nie było niczego innego, co by mogło pomóc w ustaleniu sprawcy, żadnego śladu – stwierdził ze smutkiem w głosie Ryś.

Złapał za kubek z kawą, która już trochę wystygła, i pociągnął solidny łyk. Dobrze szło.



## ROZDZIAŁ 21

Łzy

Rok 1978

Zaczynałem mieć dość tej przeklętej stodoły, musiałem tu ponownie stać i patrzeć na ciało przykryte prześcieradłem, nic przyjemnego. Nie bałem się jak za pierwszym razem, czyżbym zaczynał przywykać? Jednak każda wizyta w tym zimnym budynku oznaczała kolejną śmierć, a tego bardzo nie chciałem, bo nie były to obce mi osoby, ale koleżanki. Dziewczyny, których już nigdy bliżej nie poznam, o ich życiowych planach nie usłyszę, patrząc im w oczy, ale tylko z opowieści przekazywanych przez zapłakane koleżanki i załamane matki. Nie było gdzie tam we mnie wewnętrznego przyzwolenia na taki obrót spraw i Janek powiedział, że to dobre zadatki na milicjanta, czyli odporność na widok zwłok i brak zgody na krzywdę. To pierwszy krok do schwytania mordercy, nie tylko żal, ale i złość, taka zdrowa i ludzka, którą zwyczajny człowiek przekłada w wykrzyżane słowa i grożenie pięścią, a śledczy w ciężką pracę i łączenie faktów, by schwycić złego człowieka.

– Miała przy sobie to. – Podał mi przez chusteczkę zeszyt w kartonowej oprawie. – Pamiętnik, tak mi się zdaje. Przejrzałem dopiero pobieżnie.

– Mam go sprawdzić? – zapytałem, mając nadzieję, że przytaknie i będę mógł wyjść.

– Bardzo bym cię prosił – odparł. – Wiesz co, może pokaż to tej swojej dziewczynie, co? Ona przecież i tak już jest trochę wtajemniczona.

– No nie wiem.

– Zrób to, bardzo cię proszę. Kobieta prędzej wyłapie z tego jakiś sens albo coś ukrytego między słowami.

– Alicja średnio znała się z Iwoną – odpowiedziałem. – Cholera, przedwczoraj przecież u niej byliśmy, a ona teraz...

– To nie jest jej pamiętnik – przerwał mi.

– A czyj? – Zdziwiłem się.

– Anuli. Spójrz na pierwszą stronę.

Manewrując niezgrabnymi dłońmi osłoniętymi wełnianymi rękawiczkami, otworzyłem zeszyt. Stryj się nie mylił, pierwszą kartkę zdobiły rysunki wykonane kredkami, góry w tle, niemal w tym samym układzie jak były widoczne z naszej osady, kilka drzew, ptaszki i napis wykonany zielonym kolorem. Memuary Anny znanej światu jako Anula.

– Faktycznie – przyznałem mu rację. – Skąd go wzięła?

– Znalazłem go schowanego pod płaszczem, w wewnętrznej kieszeni. Wydaje mi się, że przysłała po ten pamiętnik do domu starego Brysia, a tam trafiła na swojego mordercę.

– Tego samego, który zamordował Anulę?

– To bardziej niż pewne.

– Dlaczego ją zabił, ale nie zabrał zeszytu?

– Ostatnie strony są wyrwane, może w ten sposób zatarł ślady.

– I schował zeszyt do płaszcza, po czym go zapiął?

– Dziwne, co nie? – stwierdził Janek. – Też mi się to nie podoba. Po jaką cholerę miałyby się tak męczyć i narażać na schwytanie? Wydaje mi się jednak, że strony z pamiętnika zostały wyrwane już wcześniej.

– Skąd takie przypuszczenie?

– Nie jest zakrwawiony – odparł.

– Fakt. – Obróciłem zeszyt w dłoniach, potwierdzając jego spostrzeżenie.

– Gdyby po morderstwie przeszukał ją i wyjął zeszyt, wyrwał strony, a potem go ponownie schował, zostawiłby ślady, tam było za dużo krwi. To może być ważny trop, przeczytaj go, a potem skonsultuj z Alicją.

– Ale skoro wyrwał strony, to chyba nie ma czego szukać?

– Michał, nie mamy żadnego innego punktu zaczepienia. W takim przypadku śledczy sprawdza nawet najbardziej bzdurne ślady, które w normalnym trybie mógłby sobie odpuścić.

– Rozumiem.

– To była poetka, pisała lekko i z gracją, często metaforycznie. Może będzie tam coś, co zrozumie jej koleżanka, ale morderca to pominął.

– Zgoda – odparłem, chowając zeszyt do wewnętrznej kieszeni swojej kurtki.

Stryj Jan spojrział na mnie z uśmiechem, pokiwał głową z aprobatą, po czym wskazał leżące na stole pod prześcieradłami ciało.

– Chcesz zobaczyć? – zapytał.

– Nie – odpowiedziałem może ciut za szybko, ale przecież to nie był egzamin do milicji.

– Nie naciskam – odparł. – Zresztą Iwonka nie była w ciąży i to, co widziałeś koło chaty, przekłada się na to, co można zobaczyć na jej ciele.

– Pójdę już zająć się pamiętnikiem – oznajmiłem, ruszając z miejsca, ale zatrzymałem się i odwróciłem do przekłętego stołu.

– Tak? – zapytał stryj.

– Czy ona bardzo cierpiała?

– Niestety tak – odparł. – A na pewno bardzo się bała, walczyła o życie.

– Bydlak – skwitowałem, chociaż na język pchało mi się mnóstwo innych słów, a wszystkie paskudne w swej wymowie, ale czy jakieś inne pasowały do obecnej sytuacji?

– Zgadza się. – Janek pokiwał głową. – I dlatego musimy go złapać i mu przeszkodzić w kolejnej zbrodni.

– Kolejnej? – zapytałem automatycznie.

– On nie przestanie.

– Mówiłeś, że zaciera ślady, może już skończył.

– Nie – odpowiedział ze stanowczością w głosie. – Czasem ktoś zabije w afekcie, żona męża pijaka, zdarza się, ale ten tutaj rozsmakował się w śmierci. Może i za pierwszym razem przeżył to mocno, ale spodobało mu się, poczuł euforię i chce zabijać dalej. Jeśli się przestraszył, to tylko tego, że zabijanie sprawiło mu radość. Nie przestanie.

– Co zrobimy?

– Zatrzymamy go – odpowiedział Jan, jakby nie było nic bardziej oczywistego na świecie. – Dlatego nawet jeśli nie masz chęci pokazywać tego pamiętnika Alicji, jeśli uważasz, że może to być dla niej ciężkie, to pamiętaj, o co toczy się gra.

– Rozumiem – odparłem. – Idę do niej.

– A ja przeschukam chatę starego Brysia – usłyszałem, gdy już szedłem w stronę wyjścia.

\* \* \*

Alicja zareagowała nawet lepiej, niż się spodziewałem. Myślę, że to przez euforię wywołaną naszymi wczorajszymi zaręczynami. Ustaliliśmy, że jej rodzice odwiedzą moich podczas nocy sylwestrowej i wspólnie uzgodnimy kwestie wesela i wszystko, co w takim przypadku należy ustalić, ciągle żyła tą radością. Ja pew-

nie też bym tak miał, gdyby nie pobita na śmierć Iwona, leżąca pod prześcierałami w zimnej stodole.

– Oczywiście, że przejrzę pamiętnik – oznajmiła, spoglądając na zeszyt z lekką nieufnością, jakbym przyniósł jej włochatego pająka i zapewnił, że ma na imię Puszek i jest bardzo towarzyski.

– Dziękuję.

– I zachowam to w sekrecie – dodała.

– To bardzo ważne. – Usiadłem na łóżku obok niej i objąłem ją ramieniem. – Mój tata na pewno dziś wróci i sprowadzi pomoc, ten koszmar się skończy, jednak Janek twierdzi, że i tak milicyjna robota będzie musiała być zrobiona, a im prędzej złapiemy tego potwora, tym lepiej dla wszystkich.

– Michaszku, przecież to niemożliwe, aby to był ktoś z naszej osady. Po prostu niemożliwie – powiedziała, odwracając się do mnie i spoglądając mi w oczy w poszukiwaniu potwierdzenia.

– Kochanie, też mi się to w głowie nie mieści – odpowiedziałem, głaszcząc ją po włosach. – Szukam w głowie tej jednej osoby, która by mi pasowała na mordercę, i nikogo nie widzę. Wszyscy są naszymi sąsiadami, wujkami i ciotkami. Przecież tutaj nawet jak ktoś popije za dużo, to nie urządza awantur.

– Boję się o ciebie – powiedziała, nagle zmieniając temat.

– O mnie?

– Przecież go ścigasz. Może on stwierdzi, że jesteś zagrożeniem albo że za dużo wiesz. Widziałam takie rzeczy w filmach.

– Spokojnie, zatrzymaniem go zajmie się Jan, a pewnie i pół wsi mu pomoże.

– Przecież jak dorwą tego potwora w swoje ręce, to go rozszarpią – stwierdziła.

– Do nas do domu od rana przychodzą ludzie i zaczyna się robić nieciekawie, chcą wziąć sprawy w swoje ręce. Wiesz, że mój ojciec ma posłuch w osadzie, wielu przychodzi do niego ze swoimi kłopotami.

– Tak, wiem.

– I teraz natrafili na największy problem w swoim życiu i chcą go rozwiązać.

– Czyli co? – zapytałem, bo do tej pory nie słyszałem o takim poruszeniu w osadzie, chociaż w zaistniałych okolicznościach było całkiem naturalne. W końcu jedna martwa dziewczyna to już prawdziwa bomba zrzucona na spokojnych ludzi, a co dopiero dwie. To zdecydowanie zbyt dużo.

– Uważają, że to pewnie Andrzejek.

– Bzdura – zaprzeczyłem żywiłowo.

– Może i tak – zgodziła się. – Ale ludziom nie przetłumaczysz. Nie mają nikogo innego na oku. No może jeszcze twojego stryjka Janka, ale jego nieco się boją, w końcu milicjant. Mówię ci o tym, bo martwię się o Andrzejka, nie chcę, by mu coś zrobili.

– Nie martw się – uspokoiłem ją. – Poczekajmy na powrót mojego ojca.

– Tak też mówią ludzie – odparła. – Że jak on wróci, to i pomoc nadejdzie, a do osady przyjedzie prawdziwa milicja i zrobi porządek. I wiesz, co ci powiem, Michaszku, że lepiej, żeby wrócił. Nie martwisz się, że do tej pory go nie ma?

– Od początku zakładaliśmy, że może nie obrócić w jeden dzień – powiedziałem. – Tylko przez niecałe osiem godzin jest widno, a w nocy mróz łapie najmocniej. Miał dotrzeć do wsi, przeczekać i dopiero rano ruszyć do nas z pomocą. Jak dziś na noc go nie będzie, to zacznę się niepokoić.

– Niech wróci – powiedziała Alicja z pełną powagą. – Ja czytałam na fakultetach przygotowawczych do studiów, że ludzie w takich warunkach potrafią oszaleć.

– Daj spokój, to tylko zima.

– Nie, Michaszku. – Pokręciła głową, nadal utrzymując poważny wyraz twarzy. – Tu nie chodzi o porę roku, ale o sytuację, w jakiej się znalazła cała osada. Jesteśmy jak zagubieni w górach albo na bezludnej wyspie, odcięci od świata. Dobrze, że na święta się każdy przygotował, to przynajmniej jedzenia mamy dużo, bo jak jeszcze do odcięcia od świata dojdzie głód, to już robi się naprawdę nieciekawie.

Studia. Alicja chciała zostać psychologiem i wierzyła, że dostanie się na Akademię Medyczną we Wrocławiu. Przytakiwałem jej planom, chociaż byłem pewien, że nic z tego nie wyjdzie, na medycynę dostają się tylko dzieci lekarzy i ci, którzy mają pieniądze. Co prawda jej rodzina do najbiedniejszych nie należała, właściwie byli jednymi z najbogatszych w osadzie, ale bogaty tutaj to i tak biedny w mieście. Jeśli się nie dostanie, to wróci do domu, a może pójdzie na coś mniej ambitnego, zobaczymy, kto wie. Ja, jako milicjant, mogłem pracować przecież wszędzie, a i pewnie mieszkanie dostanę, więc byłem spokojny o nasz wspólny los.

O cholera, pierwszy raz pomyślałem o sobie jako milicjancie, jakby moja przyszłość już była przesądzona.

– Kochanie – powiedziałem, ujmując jej twarz w dłonie. – Zajmij się pamiętnikiem i niczym się nie przejmuj.

Pocałowałem ją w usta i wyszedłem z pokoju.

Wprost od Alicji poszedłem do Bernarda, który wpuścił mnie do domu bez słowa, a jego żona natychmiast poczęstowała mnie herbatą z miodem.

– Ojciec nie wrócił? – zapytał mnie sołtys, na co ja pokręciłem przecząco głową.

– Jeszcze nie.

– A bo myślałem, żeś po mnie przyszedł.

– Podobno ludzie w osadzie myślą, że to Andrzejek pozabijał te dwie dziewczyny – powiedziałem, nie siląc się na podchody.

– Ludzie jak to ludzie, dał im Bóg gęby, to i gadają – odpowiedział.

– Żeby tylko z tego gadania nic złego się nie stało. – Spojrzałem na niego znad kubka z herbatą.

– Wiem – pokiwał głową. – Po Anuli zrobiło się poruszenie, ale jak znaleźli Iwonkę, to już żarty się skończyły. Od razu poczułem, że w powietrzu nie tylko mróz wisi, ale i coś większego. Gdyby było lato, pewnie wszyscy staliby koło studni i wołali o sprawiedliwość, na szczęście jest zima, ale trzeba dać się ludziom wyszumieć.

– Jak? – zapytałem, szczerze ciekawy.

– Zwołałem spotkanie mieszkańców w świetlicy – oznajmił. – Zaraz po zmroku.

– Sprytnie. – Pokiwałem głową. – Możliwe, że już ojciec wróci z pomocą.

– Albo to, albo chociaż przyniesie dobre wieści – odparł Bernard. – Do wieczora ludzie wytrzymają, a potem może wszystko dobrze się skończy.

– A jeśli nie wróci?

– Wtedy trzeba będzie oficjalnie Andrzejka aresztować i już poprosiłem o to Janka. Zgodził się, mówił, że ma nawet kajdanki.

– Zgodził się? – zdziwiłem się mocno. – Przecież Andrzejek jest niewinny.

– Wychodzi na to, że niewinny, ale to musi oznajmić sąd, bo tylko jemu ludzie mogą uwierzyć. Nam wiary nie dadzą, dlatego milicjant musi na oczach wszystkich zatrzasnąć kajdanki na rękach tego, którego ludzie winią, potem go odprowadzić.

– Ale chłopak szok przeżyje – zaprotestowałem.

– Janek ma z nim porozmawiać – powiedział Bernard. – Wyjaśni mu, jak się sprawy mają, że w jego winę nie wierzymy, ale musimy go przed ludźmi bronić. Ma protestować, krzyknąć kilka razy, że niewinny, ale dać się odprowadzić.

– I gdzie go będziemy trzymać?

– W waszej chałupie.

Pokiwałem głową z aprobatą. Faktycznie, Bernard miał łeb nie od parady i prawdę zawsze moja matula powtarzała, że równie dobrze mógł iść w politykę

albo na uczelnię.

– Dobrze pomyślane – pochwaliłem go.

– Jutro już twój ojciec musi wrócić, a tyle czasu nam wystarczy.

– Oby.

– No, nie frasuj się, wracaj do domu i wyglądaj ojca, a po zmroku widzimy się w świetlicy.

Dopiłem herbatę i ruszyłem do wyjścia z nadzieją, że w domu zobaczę siedzącego za stołem ojca, grzejącego dłonie na kubku gorącej herbaty, po czym usłyszę, że pomoc jest w drodze. Bez względu na to, ile człowiek ma lat, to podświadomie polega na swoich rodzicach.

Nie było go jednak, tylko matula akurat podawała obiad mojemu rodzeństwu. Mnie także dostała się miska pierogów z kapustą i grzybami i gdy jadłem, widziałem na twarzy mojej rodzicielki wypisane pytanie o to, co się stało i co dalej będzie, ale przy dzieciach nie chciała najpewniej zaczynać dyskusji. Przyjąłem to z ulgą, bo zawsze trudno mi się z nią rozmawiało o sprawach niewygodnych czy życiowych.

Poszedłem na górę, żeby chwilę odpocząć, i gdy już zamknęły mi się oczy, to Janek zapukał do drzwi.

– Nie śpisz? – zapytał, wchodząc do mojego pokoju.

– Już nie – odpowiedziałem, siadając na tapczanie. – Coś się stało?

– Morderca Iwonki dokładnie przeszukał dom starego Brysia – powiedział, kiedy zajął miejsce naprzeciwko mnie na krześle. – Zauważyłem, że odsunął meble, jak chociażby kredens w kuchni, a potem go ponownie przysunął na miejsce, ale niedokładnie, przez tyle lat meble odgniatają wgłębienia w gumoleum.

– Czyli czegoś szukał – stwierdziłem. – Ciekawe czego i czy to znalazł.

– Myślę, że chodziło o pamiątnik Iwonki. Musi być w nim coś ważnego.

– Alicja już go przegląda.

– Dobrze – odparł, kiwając głową. – Prześpij się, miałaś krótką noc. Zaręczyny udane?

– Tak – odpowiedziałem. – Powiedz mi, byłeś u Andrzejka?

– Bernard wtajemniczył cię w nasz plan, wiem o tym, byłem u niego przed chwilą. Sam ci to miałem opowiedzieć, żebyś nam pomógł w razie kłopotów.

– Jak on to przyjął?

– Andrzejek? Całkiem nieźle. On jest jeszcze w szoku po Anuli i chyba długo będzie. Dopadła go częściowa apatia, mam obawy, że on jest dla siebie jest obec-

nie większym zagrożeniem niż ludzie z osady. Jeśli będzie pilnowany, to nawet wyjdzie dla jego dobra, bo gotów się powiesić albo zrobić inną głupotę.

– Boję się tego spotkania – powiedziałem z lekkim niepokojem.

– I słusznie – odparł Janek. – Jeśli się boisz, to oznacza, że doskonale zdajesz sobie sprawę ze słabych punktów naszego planu, a to oznacza, że myślisz. Nie ma nic gorszego niż głupi milicjant. I nic bardziej groźnego. Pomyśl, że to musi się wydarzyć, że wyprowadzamy po prostu uderzenie wyprzedzające. Jeśli nie zadziałamy, kto wie, do czego mogłoby dojść.

Wstał i wyszedł z mojego pokoju, ale już nie było mowy o śnie, rozbudził mnie na dobre. Leżałem na łóżku i przerabiałem w głowie wszystkie możliwe scenariusze, choć i tak nie wpadłem na ten, który wydarzył się naprawdę.

\*\*\*

Ojciec nie wrócił. Spotkanie w świetlicy rozpoczęło się zaraz po tym, gdy tylko mrok okrył chaty naszej osady. Rano Bernard napalił w piecu, ale nie na wiele się to zdało, mróz trzymał mocno i wyziębione ściany za cholerę nie chciały się ogrzać.

Świetlica była starym, ceglanym budynkiem poniemieckiej szkoły z jedną klasą i toaletą na parterze oraz mieszkaniem nauczyciela na piętrze. Ostatnie lekcje odbyły się tutaj dwadzieścia lat temu, nauczycieli było za mało i urzędnicy zdecydowali, że będziemy dojeżdżać do Barcinka. Od tej pory odbywały się tutaj spotkania mieszkańców osady, czasem radowano się na weselach, innym razem smucono na stypach, na wigilię Świętego Jana urządzano potańcówkę, a po żniwach biesiadę dożynkową.

To, czego nie dokonał stary, niemiecki piec kaflowy, załatwiło kilkadziesiąt osób siedzących na ławkach i słuchających Bernarda. Nagrzane ciała i oddechy wygoniły zimno ze środka, dając poczucie lekkiego ciepła. W klasie siedzieli głównie mężczyźni, ale i kilka kobiet też się pojawiło. Sołtys nie czekał, aż gwar ucichnie, i na pierwsze zarzuty względem Andrzejka odpowiedział głośno i zdecydowanie.

– Ludzie, od sądenia to jest sąd! – zagrzemiał Bernard, a jego głos, mocny i szorstki niczym dębowa deska, poniósł się pod sufitem. – Jest tu Andrzejek, siedzi i słucha, jak go oskarżacie. To nasz krajan, sąsiad! Dobry człowiek, jeszcze lepsza dusza. Autobus załatwił na pasterkę, grosza od nikogo nie chciał. Kochali się z Anulą? A pewnie, że tak, i dobrze. Ona ładna i miła, on psu spod ogona nie wypadł. Ale żeby mordować?



– To kto?! – zakrzyknął z sali stary Godula, który także miał szacunek mieszkańców.

– Ja nie wiem – odparł Bernard, ale w jego głosie nie było bezradności. – Jakbym wiedział, to od razu bym tego skurwysyna sam tymi rękami rozszarpał. – Podniósł w górę olbrzymie dłonie, jednocześnie zaprzeczając swojemu twierdzeniu, że od sądenia są sądy, ale nikt tego nie wychwylił.

– I tak trzeba zrobić – odparł Kozłowski, aż zatrzęsła się jego ruda czupryna.

– Trzeba – zgodził się Bernard. – Ale pewności nie mamy! I co, Koziół, urwiesz łeb Andrzejkowi, a jak tej nocy znowu zginie jakaś dziewczyna, to komu trzeba będzie łeb urwać, tobie? Boś niewinnego człowieka zabił?

Tłumek pomruczał z aprobatą. Logika prosta, ale jakże skuteczna. Bernard popatrzył po zebranych z zadowoleniem, przesunął dłonią po wąsach.

– Sądy badają sprawę – ciągnął sołtys. – Wzywają świadków, sprawdzają dowody, a sam sędzia przysięgę składa i wszelkie pomyłki bierze na swoje sumienie. Bo łatwo jest ferować wyroki, jeszcze prościej oskarżać, ale brać za to odpowiedzialność mało kto potrafi.

– Ale coś zrobić trzeba! – krzyknął z sali Klimkiewicz, ojciec mojej Alicji, przyszedł teść, można by powiedzieć. Jako że byli jednymi z bogatszych w osadzie, to także miał pewien posłuch.

– Ale coś zrobić trzeba – zgodził się Bernard. – Ja w winę Andrzejka nie wierzę, ale wiem, że wielu nie czuje się pewnie w swoich domach, myśląc, że to on odpowiada za śmierć Anuli i Iwonki. I ja to rozumiem. Propozycja jest taka, a podał ją porucznik Jan Ryś, którego większość z was dobrze zna i pamięta, żeby dla świętego spokoju chłopaka zaaresztować.

Po świetlicy rozległ się szum aprobaty, ludzie kiwali głowami, przystając na pomysł sołtysa.

– A gdzie go będziemy trzymać? – zapytał ojciec Alicji. – U nas więzienia nie ma.

– Porucznik Ryś będzie go pilnował osobiście w domu Antczaków.

– Nikogo aresztować nie trzeba! – rozległo się z progu salki świetlicy, a głos ten znałem bardzo dobrze. Za stary już byłem, żeby rzucać się ojcu na szyję, ale miałem na to wielką chęć.

– Antczak wrócił! – Ucieszył się Bernard i ruszył w jego stronę, roztrącając wszystkich, którzy wstawali i odwracali się na widok mojego ojca.

Ja też podniosłem się z ławki i podszedłem do niego, a on uściśnął mnie i klepnął z radością po plecach, ale tak po męsku, za co byłem mu bardzo wdzięczny.

Ruszył za Bernardem, zatrzymał się przy piecu, który znajdował się w rogu świetlicy.

– Nie macie gorącej herbaty? – zapytał, zdejmując rękawice i przykładając dłonie do nagrzaných kafli.

– Bimber jest – odparł Kozłowski i ruszył usłużnie do niego z piersiówką.

Ojciec nie grymasił, przyjął butelkę i wypił słuszny łyk, po czym chuchnął w dłonie, czerwoną i niemal poczerniałą. Oby tylko obyło się bez odmrożeń, pomyślałem.

Zdjął czapkę, odwinął szalik, upił kolejny łyk z piersiówki. Twarz miał równie czerwoną jak dłonie, usta popękane. Widać, że wyprawa dała mu w kość. Nikt go na razie nie pytał o wynik ekspedycji, wszyscy czekali, aż zrzuci kolejne warstwy ubrań, złapie oddech, ogrzeje dłonie, usiądzie na krześle.

– To jest koniec świata – oznajmił, gdy już wszyscy ponownie zajęli swoje miejsca. – Zasypało wszystko.

– Starą Kamienicę też? – zapytał ktoś.

– Wszystko, czyli cały kraj – odpowiedział. – Jest stan kłęski żywiołowej. Od Tatr po Bałtyk wszystko pod śniegiem, skute mrozem. Miasta stoją, ciepłownie nie pracują, elektrownie padły, nie ma prądu nigdzie. Nikt do nas nie przyjedzie, prądu nie przywróca. Drogi zasypane tak, że nawet pługi nie przejadą. Pociągi stoją. W szpitalach istna apokalipsa, ludzie połamani, zamarnięci. Jest źle.

W świetlicy zapadła cisza, ludzie patrzyli z niedowierzaniem na siebie, kręcili głowami, ktoś zrobił znak krzyża.

– Aż tak źle? – zapytał Bernard.

– Gorzej – odpowiedział ojciec. – Idzie się ciężko, bo śnieg z wierzchu zmroźony, pod spodem kopny. W karplach człowiek się ślizga, bez nich wpada po kolana. Narty trzeba by mieć.

Po Niemcach w wielu chałupach pozostały narty, ale jako że nikt nie wiedział, co z nimi robić, to poszły na opał albo wykorzystano je jako deski w płocie. Koło domu najwygodniej chodziło się w gumofilcach, słomianych butach albo ostatecznie w karplach.

– Ale przyjdzie jakaś pomoc? – zapytał Bernard.

– Mam nadzieję – odpowiedział ojciec. – Rozmawiałem z pogranicznikami, obiecali przekazać wszystko radiostacją, ale uprzedzili, że jest priorytet ratować żywych, a nie zajmować się umarłymi. Ja wiem, że dla nas śmierć Anuli to tragedia, ale dla nich ważniejsi ci, co potrzebują pomocy. Sprawę jednak na milicję obiecali złożyć.

– Anuli i Iwonki – poprawił go Bernard.

Ojciec zamarł i spojrzał na niego z niezrozumieniem. Sołtys westchnął i opowiedział mu, co wydarzyło się dzisiejszej nocy i o ciele znalezionym o poranku. Dodał też, co uradzili w sprawie Andrzejka. Ojciec schował twarz w dłoniach, zawsze tak robił, gdy wracał z pola po ciężkiej pracy, gdy pokonywało go zmęczenie i nie miał siły nawet porządnie się umyć.

– Gdybym wiedział... – oznajmił z głębokim westchnieniem, a w jego oczach zalśniły łzy. – Nie wróciłbym, tylko prosto do Jeleniej Góry poszedł.

– Nic by to nie dało – włączył się do dyskusji Jan. – Ja wiem, jak działają służby w resorcie, kiedy jest stan klęski żywiołowej, to milicja jest oddelegowana do zabezpieczania życia i mienia, nikt tu do nas nie przyjedzie.

– Psia mać – skomentował Kozłowski.

– Dlatego musimy poradzić sobie sami – stwierdził Klimkiewicz. – Andrzejka zaaresztujemy i niech posiedzi do czasu nadejścia pomocy pod strażą.

– I niby gdzie i kto go będzie pilnował? – zapytał ojciec.

– Uradziliśmy, że będzie u was w domu – odparł Klimkiewicz. – A oko na niego będzie miał Janek, w końcu milicjant.

– A może, Stachu – ojciec zwrócił się do taty Alicji – u ciebie posiedzi, co?

– A niby czemu u mnie? – zaperzył się Klimkiewicz.

– Chłopy, spokojnie – przerwał im Bernard, ku mojej wielkiej ucieście, bo kłótnia mojego ojca i przyszłego teścia była ostatnim, czego teraz potrzebowałem, szczególnie tuż przed oficjalnymi zaręczynami.

– Nie będziemy chłopaka trzymać jak jakiegoś oprycha w piwnicy – powiedział ojciec, a po jego głosie już wiedziałem, że jest bardzo zdenerwowany. – Co, mam jeszcze kraty w oknach wstawić? U siebie w chałupie niech siedzi, dyżury się porobi i już. Sam mieszka, miejsca aż nadto.

– Może i racja – przytaknął Bernard.

Spojrzenia skierowały się w stronę Janka, który w tej chwili reprezentował władzę ludową. Mój stryjek skinął głową, a ja spojrzałem na Andrzejka, który przecież cały czas tu siedział i słuchał, jak ważą się jego losy. Gdyby faktycznie był mordercą, to i zasłużyłby na takie traktowanie, ale jako niewinnego było mi go szkoda. Jednak cała sytuacja chyba go nie obchodziła, siedział na krześle, lekko kiwając się do przodu i do tyłu, i sprawiał wrażenie, jakby nie słyszał całego zamieszania.

– Niech tak będzie – odezwał się Janek. – Będziemy go trzymać u niego w domu, ja z nim posiedzę do północy. Później niech ktoś mnie zmieni do rana,

a ja znowu posiedzę do wieczora.

– Antczak musi się przespać i odpocząć – powiedział Bernard. – Wybacz, Adam, ale wyglądasz jak kupa łajna – zwrócił się do mojego ojca. – Ktoś chętny?

– Ja pójdę – zgłosił się Klimkiewicz, patrząc wyzywająco na mojego ojca. – Będę o północy, a czemu nie. Teraz się zdrzemnę i nockę wysiedzę.

Po jego deklaracji po świetlicy poniósł się szum akceptacji, w końcu każdy lubi doradzać, ale żeby działać, to już chętnych brak.

– Andrzejek, co ty na to? – Bernard zwrócił się do nieszczęsnego chłopaka.

– Co? – zapytał ten nieprzytomnie. – A, tak, niech będzie. Tylko herbaty i kawy u mnie nie ma, ale jedzenia pełno, bo ja nic nie tknąłem od Wigilii.

Janek skinął głową i ruszył w jego stronę. Na szczęście nie wyjął kajdanek, tylko wziął chłopaka pod rękę i pomógł mu wstać.

## ROZDZIAŁ 22

### *Droga donikąd*

*Rok 2023*

Jan Ryś stał wpatrzony w okno, jakby czekał na kogoś dawno niewidzianego i jednocześnie mocno spóźnionego. Ręce założone za plecy co jakiś czas drgały, palce poruszały się, jakby coś odliczał. Komisarz Krzysztof Podyma patrzył na niego z lekkim podziwem, bo mimo wieku plecy były proste, a barki wciąż szerokie, widać było, że emeryt dba o formę.

– Znienawidziłem zimę do tego stopnia, że jak zaczyna padać śnieg, to mam niemal ataki paniki – powiedział Ryś, nie odwracając się od okna. – Pokochałem lato. Niestety, z emerytury policjanta nie da się spędzać połowy roku w ciepłych krajach.

– Czytałem sporo o tej zimie stulecia – odparł komisarz Krzysztof Podyma. – Widziałem filmy, faktycznie, nie do uwierzenia, co się wtedy działo.

– Sam nie wiem, co było w tym wszystkim najgorsze – stwierdził z nutą nostalgii w głosie Ryś. – Czy ta biel wypełniająca szczelnie świat, czy może mróz, który nie ustępował nawet na chwilę. W nocy ciężko się oddychało na dworze, w dzień wcale nie było lepiej. Wiecie, taka głupia sprawa, ale jak sprzątailiśmy po śmierci Iwonki, to trzeba było śnieg wycinać w kawałkach, właściwie to rąbaliśmy go siekierami. Krew była ciepła i było jej dużo, wsiąkła głęboko, nie dało się jej po prostu usunąć miotłą, nawet łopatą do odśnieżania. Ładowaliśmy na taczki bryły zakrwawionego śniegu i wywoziliśmy do stodoły, żeby psy i lisy go nie wyżarły. Została po dziewczynie dziura. Można powiedzieć, że taki grób bez nieboszczyka. A potem ten zakrwawiony śnieg się roztopił i już. – Wzruszył ramionami.

Dwaj policjanci spojrzeli po sobie, ale żaden nie odezwał się ani słowem. Doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że czasem trzeba po prostu słuchać.

– Jednak nie to było najgorsze, ale poczucie bezradności. Tak, chyba to. Byłem młody, niedoświadczony, ale nie wiem, czy i dziś bym sobie poradził lepiej. Często się nad tym zastanawiam i za każdym razem inaczej odpowiadam samemu sobie na to pytanie. Byłem tak naprawdę sam, bez żadnego wsparcia w środku osady pełnej zdezorientowanych i przerażonych ludzi. I wiedziałem, że to nie koniec, że będą kolejne ofiary.

– Żadne szkolenie nie przygotowuje na taką ewentualność – stwierdził Podyma. – Myślę, że nikt, kto wtedy tam nie był, nie jest w stanie odpowiedzieć, czy poradziłby sobie w takiej sytuacji.

– Robiłem, co wtedy uważałem za słuszne, chociaż przez większość czasu była to dobra mina do złej gry, ale bez tego wiele spraw mogło pójść dużo gorzej. Tak sobie to dzisiaj tłumaczę.

– Jak chociażby samosąd na Andrzejuku? – podpowiedział Sukiennik.

– To też – odparł Ryś.

Westchnął, odwrócił się plecami do okna i siadł za stołem, spojrzął na zegarek, dochodziła piętnasta. Pora spotkania minęła, ale chciał coś jeszcze powiedzieć, policjanci widzieli to dokładnie.

– Wiecie, czego jeszcze nie lubię po tamtych wydarzeniach, oprócz zimy? – zapytał po chwili milczenia.

Dwaj funkcjonariusze pokręcili przecząco głowami.

– Rzeźb – powiedział emeryt. – Dokładnie to tych, które przedstawiają ludzi.

– Dlaczego? – zapytał zdziwiony Podyma.

– Prawie wszystkie ciała, które znajdowaliśmy, były zamrożone – wyjaśnił. – Zastygłe w ruchu. Anula w studni przyjęła pozycję niemal baletnicy, tylko ubrać w sukienkę i puścić na parkiet. Makabryczny widok. Iwonka leżała grzecznie z rozrzuconymi rękami, jakby miała się za chwilę przewrócić na bok i spać dalej. Jednak nie je dwie zapamiętałem, ale to, co zobaczyłem rano. Gdyby jakiś artysta, taki współczesny, przygotował pomnik w tym kształcie, mógłby go chyba nazwać Walka o życie. Albo Droga donikąd.

# ROZDZIAŁ 23

## *Walka o życie*

*Rok 1978*

Noc w osadzie miała być spokojna, przecież o to zadbano, Andrzejka pilnował Janek, który zabrał ze sobą na tę okoliczność termos z herbatą oraz koszyk wiklinowy z kanapkami i ciastem. Mój ojciec poszedł spać zaraz po spotkaniu w świetlicy i tym razem matula pościeliła mu w pokoju, który służył nam za podręczny magazynek, aby nikt go nie budził krzątaniem przy kolacji, czy Janek nocnym powrotem z warty przy Andrzejku. Ojciec zaległ na łóżku polowym i zasnął niemal od razu, i gdy przyszedłem z dodatkowym kocem, już cichutko pochrapywał.

Odwiedziłem Alicję, tłumacząc się tym, że muszę dopytać o pamiętnik, ale tak naprawdę to chciałem się z nią po prostu zobaczyć, przytulić ją, pocałować.

– Dotarłam już do trzech czwartych – poinformowała mnie. – Do rana obiecuję skończyć.

– Znalazłaś coś ciekawego?

– Na początku trochę głupio było mi to czytać, w końcu to wejście w prywatność. Nieswojo się czułam.

– To stan wyższej konieczności – wtrąciłem.

– Wiem, Michaszku – odpowiedziała. – Dlatego przemogłam się i czytam. Wyobraziłam sobie, że to zwyczajna książka, a ja mam zadanie wyłowić w niej tajne zapiski. Czytam zatem powoli, bardzo uważnie i robię notatki. Ładnie pisała ta Iwonka, tak leciutko, poetycko.

– Bardzo ci dziękuję – odparłem. – I nie przeszkadzam ci, wracam do domu, a ty czytaj. Spokojnej nocy.

– Widzimy się rano – powiedziała i dała mi całusa. – Przyjdź na śniadanie, mama nie ma nic przeciwko.

– Jasne.

Przytuliłem ją mocno i ruszyłem do domu. Schodząc po schodach, widziałem jeszcze jej ojca, który powoli szykował się do przejścia dyżuru przy Andrzejku.

Przeszedłem jak najszybciej przez mroźną noc, zaglądając do stodoły starego Brysia, ale nie spotkałem tam moich przyjaciół. No cóż, głupio trochę było sie-

dzieć i pić bimber w sąsiedztwie domu, przed którym ktoś zamordował Iwonkę. Chyba trzeba będzie znaleźć sobie nową miejscówkę.

W domu zjadłem kolację i poczekałem na powrót Janka i gdy kwadrans po północy wszedł domu, wpuszczając do ganku falę mroźnego powietrza, od razu zdał mi relację ze swojego dyżuru.

– Chłopak śpi – oznajmił. – Nie chciał jeść ani pić.

– Strasznie to przeżywa – stwierdziłem. – Chyba naprawdę ją kochał.

– To mogą być też wyrzuty sumienia, kto wie – odparł Janek. – W każdym razie poleciłem Klimkiewiczowi, żeby siedział przy uchylonych drzwiach i miał na niego oko.

– Myślisz, że może sobie coś zrobić?

– Tak. Jest załamany. A jak z pamiętnikiem?

– Alicja do rana skończy.

– No dobrze, to chodźmy spać, noc zapowiada się spokojnie, ale jutro może być ciężki dzień. Jeśli pomoc nie nadejdzie, może być kiepsko.

I miał rację w obydwu kwestiach: na drugi dzień zrobiło się bardzo nieciekawie, ale noc była spokojna, choć nie dla wszystkich.

\* \* \*

Stachu Klimkiewicz siedział na krześle w kuchni domu Andrzejka i przyglądał się przez uchylone drzwi jego stopom, bo na tyle pozwalała pozostawiona celowo luka. Musiał uczciwie przyznać się przed samym sobą, że nie za bardzo wierzy w winę młodego chłopaka, ale tak naprawdę to nie miał innych pomysłów co do sprawcy brutalnych morderstw, no i miał córkę w wieku ofiar. Musiał coś zrobić, podjąć jakiegokolwiek działanie, w końcu był ojcem i mężczyzną, i to takim, który nie znosił bezczynności. Jeśli nie zrobiłby kompletnie nic, a rankiem pojawiłaby się kolejna ofiara, to nigdy by sobie tego nie wybaczył.

A może to faktycznie Andrzejek?

Znowu zerknął przez szparę na stopy chłopaka, ale wszystko grało.

– Tak naprawdę to nie jego powinniśmy się bać, ale o niego – powiedział Janek podczas zmiany warty.

– Ale myślisz, że co? – zapytał. – Że khryk? – Tu pokazał dłonią gest owijania pętli wokół szyi i wieszania człowieka.

– Taa – potwierdził milicjant. – Jest totalnie załamany.



– Może i dobrze, jakby się wyhuśtał – stwierdził Stachu. – Może to przez wyrzuty sumienia.

– Nie o to chodzi. – Janek pokręcił głową. – Musimy go dostarczyć do prokuratury, przesłuchać, a jeśli zajdzie taka konieczność, to postawić przed sądem. Jeśli nam się tu powiesi, a jest winny, to nigdy nie poznamy prawdy o wydarzeniach z poprzednich nocy. Rozumiesz?

– No jeśli jest winny, to czego tu szukać, jakiej prawdy?

– A może mu ktoś pomagał?

– Rozumiem. – Klimkiewicz skinął głową.

– No to pilnuj go jak oka w głowie – polecił mu. – I zamknij się od środka.

– Po co?

– A jak ktoś przyjdzie w nocy się mścić?

– Daj spokój – odparł Stachu. – Poradzę sobie.

Ten młody gliniarz zaczynał go denerwować. Prawdę mówił kiedyś jego ojciec: że „Chcesz naprawdę poznać człowieka to załóż mu mundur, od razu chuj z niego wyjdzie”. Gówniarz, a rządził się jak jakiś naczelnik.

Janek wyszedł, a Stachu zajął miejsce na średnio wygodnym krześle i lustrował szparę w drzwiach. Mógł się co prawda rozłożyć na leżaku, który z jakiegoś powodu stał w kuchni, ale czuł, że od razu by usnął.

Wstał, podszedł do kuchni i podrzucił dwie bryłki węgla, aby podtrzymać ogień, noc była cholernie mroźna i idąc tutaj, nielicho zmarzł, mimo że miał blisko. Usiadł na krześle, przystawił bliżej lampę naftową, wydłużył nieco knot i wyjął z teczki książkę *Pan Samochodzik i Niewidzialni* Zbigniewa Nienackiego, którą udało mu się cudem wypożyczyć z biblioteki przed świętami. Niby była to książka dla młodzieży, ale co tam, uwielbiał opowieści o poszukiwaczach zaginionych skarbów polskiej kultury i po cichu marzył, że też kiedyś przeżyje podobną przygodę.

Zanim otworzył książkę na założonym fragmencie, spojrział jeszcze raz do pokoju Andrzejka, stopy ubrane w czarne, pocerowane skarpety były na swoim miejscu, mógł zająć się lekturą.

Pół godziny później książka lekko stuknęła o podłogę wyłożoną gumoleum, ale odgłos nie był zbyt głośny, nie obudził śpiącego chłopaka ani Klimkiewicza, który pochyłony do przodu cichutko pochrapywał. Stachu spał na tyle mocno, że pół godziny później nie obudził go odgłos kroków stawianych w domu Andrzejka, nawet wzbogacony o skrzypienie starych desek.

Są ludzie, którzy budzą się natychmiast, rześko i rażno, tuż po otwarciu oczu są gotowi do działania, drudzy natomiast zwlekają się z wyrka w nieskończoność i zanim mogą spojrzeć świata w twarz, mija dobre pół godziny. Ja należałem do tego drugiego grona, ale tego poranka zerwałem się niemal na równe nogi. Nie chodziło o to, że Janek szarpał mnie za ramię, jakby próbował wybić mi bark, ale o jego spojrzenie, wyraz twarzy.

Malowało się na nim przerażenie, skrajne, jeszcze wzmocnione przez światło lampy naftowej, którą zapalił na moim biurku.

– Wstawaj, szybko – mówił, szarpiąc mnie i mocno ściskając.

– Jezu, co się stało? – zapytałem, czując, że mój głos jest jeszcze mocno zaspany.

– Zaraz zobaczysz – powiedział i podał mi ubranie, które wieczorem zostawiłem na oparciu krzesła.

– Która godzina?

– Zaraz po szóstej.

Wstałem z łóżka, przeciągnąłem się i poganiany zacząłem szybko zakładać kalessony, spodnie i resztę odzieży. Janek przestępował nerwowo z nogi na nogę, obserwując moje zmagania z ubraniami, ale przecież była zima, na zewnątrz cholerny mróz, czego każdy z nas ostatnimi dniami doświadczył aż za mocno.

– Powiesz mi wreszcie, co się stało? – zapytałem, gdy już wciągnąłem przez głowę sweter z grubej wełny.

– A obudziłeś się?

– Tak.

– Ktoś zaatakował Klimkiewicza – rzucił.

– Kto? Gdzie? Na warcie?

– Chyba tak. Ale nie wiem kto, a on sam leży przed domem Andrzejką.

– Żyje? – zapytałem, od razu ganiąc się w myślach za swoją głupotę. Gdy szedłem spać, termometr pokazywał minus dwadzieścia jeden stopni mrozu.

– Niestety nie.

– Kurwa – skwitowałem. O tak, obudziłem się i to na dobre.

Myśli zaczęły bombardować mój umysł z prędkością światła. Kto go zaatakował? Dlaczego przed domem? Czy Alicja już wie? Jak na to zareaguje? Przecież się załamie, cholera jasna.

– Ktoś wie? – zapytałem.

– Jeszcze nikt – odparł. – Szedłem go zmienić zgodnie z umową o szóstej rano i znalazłem jego ciało przed domem. Od razu przybiegłem po ciebie.

– Może obudzimy ojca?

– Sam nie wiem. Można. Na dworze jest jeszcze ciemno, przyda się dobrze oświetlić teren.

– Budzimy – zdecydowałem.

Podzieliliśmy się zadaniami tak, że Janek poszedł obudzić ojca, a ja pozbierałem z domu lampy naftowe i klosze do używania ich na zewnątrz, bo wiedziałem, gdzie leżą. Niestety, podczas wyprawy ratunkowej wyczerpały się wszystkie baterie w latarkach i pozostało nam tylko takie źródło światła.

Ojciec wyszedł ze swojego schowka, także ubierając się jeszcze, i kręcił głową z dezaprobatą i niedowierzaniem. Znałem go, wiedziałem, że będzie robił sobie wyrzuty z tego powodu, że nie sprowadził pomocy, że zamiast dotrzeć nawet i do samej Jeleniej Góry i zmusić kogoś z milicji lub wojska do interwencji, po prostu nadał komunikat o ratunek i zawrócił do domu.

Każdy wziął po lampie oprawionej w dodatkowy klosz, który ułatwiał noszenie jej na zewnątrz i chronił przed wiatrem i deszczem. Gdy tylko wyszliśmy na dwór, uderzył w nas mróz, mocny i bezlitosny, aż zapierał dech. Przeleciała mi przez głowę myśl, czy lepiej jest umierać w taki mróz, czy na przykład w lecie, co bym wołał? Jednak chyba zieloną łąkę i śpiew ptaków niż zmrożony śnieg i trzaskający mróz.

Na zewnątrz było cholernie ciemno, niebo na wschodzie dopiero zaczynało niemrawo jaśnieć, a osada nie posiadała latarni, jak to bywało w miastach, które przez całą noc utrzymywały iluzję dnia. Gdy pierwszy blask z naszych lamp padł na ciemny kształt przed domem Andrzejka, nie od razu wpadła mi do głowy myśl, że to trup. Ot, odśnieżony fragment ścieżki posypany popiołem, a może porzucony kawał drewna, usypana mała górka węgla.

Ale to był Stachu Klimkiewicz. Martwy jak jasna cholera.

Dopiero gdy podeszliśmy bliżej, dało się zobaczyć więcej szczegółów, jak chociażby to, że śnieg zaczerpnia nie tylko jego postać, ale i coś ciągnie się za nim. Większość ścieżek w osadzie została już wysypana popiołem, aby ułatwić chodzenie między domami, ale to nie były resztki z pieca. Ciągnęła się za nim smuga krwi, jak ślad po jakimś koszmarnym ślimaku, który zmierzając swoim powolnym tempem do celu, pozostawia za sobą resztki siebie, powoli zdycha, aż nie zostanie z niego nic, co nadaje się do życia.

– Jak rzeźba – powiedział Janek, kucając w pobliżu zwłok, by je oświetlić.

Miał rację. Mój niedoszły teść nie leżał na wznak, jak przystoi trupowi, nie padł też twarzą w śnieg, ale zastygł w ruchu i nie był to przyjemny widok. Wyglądał niczym pływak wynurzający się na chwilę z wody, aby silnym ramieniem zagarnąć kolejne metry dystansu i nadać swojemu ciału prędkości niezbędnej do pobicia rekordu olimpijskiego. Lewa noga była wyciągnięta na śniegu, ale prawa podkulona, pewnie chciał się nią odepchnąć. Ręce podobnie, lewa gdzieś daleko z przodu, wbijała się w śnieg, a prawa blisko tułowia, przez co bark był podniesiony, a głowa lekko przechylona w naszym kierunku, oczy otwarte, jakby chciał nas zapytać: „Ej, panowie, jak mi idzie, wygram?”.

Prawdziwa stopklatka śmierci.

– To krew? – zapytałem, wskazując na ciemną smugę za nim.

– Tak – potwierdził Janek.

– Skąd jej tyle? – zapytałem, chociaż znałem odpowiedź, ale chciałem ją usłyszeć z ust stryjka, milicjanta, jakby nie było.

Ten wstał i ruszył w stronę domu, uważnie oświetlając teren. Klimkiewicz nadal był widoczny, lampy – moja i ojca – nie pozwalały ciemności go zagarnąć i ukryć makabrycznych szczegółów przed naszymi oczami, które nigdy nie powinny oglądać takich widoków.

– Został zaatakowany w domu – oznajmił Janek. – Zaraz wejdziemy, to się przekonamy. Napastnik myślał, że się z nim rozprawił, i odszedł, ale Stachu przeżył, najpewniej odzyskał przytomność i chciał uciec, wyczołgał się na zewnątrz i zamarznął.

– On nie chciał uciec – stwierdził ojciec.

– Nie? – Zapytałem zdziwiony tą śmiałą tezą.

– Szedł w kierunku swojego domu. – Tato wskazał na śnieg. – Gdyby uciekał, to pobiegłby na wprost, po popiele na środek wsi, a on postanowił wrócić do domu, skręcił w lewo.

– Może instynktownie tam szukał ratunku? – podrzucił Janek.

– Może i tak – zgodził się ojciec. – Żaden tam ze mnie śledczy.

Krwawy ślad wskazywał faktycznie drogę śmierci, jaką przebył mężczyzna, skojarzyła mi się ona z zasypaną płatkami kwiatów trasą procesji w Boże Ciało, tylko tutaj nikt nie sypał róż, a na śnieg padała krew, w dodatku rzucona ręką potwora.

Mary.

– Zamarznął w pół ruchu – stwierdził fachowo Janek.

– Faktycznie, jak rzeźba – dodałem.

Trudno było mi oderwać wzrok od tego widoku, coś w nim fascynowało, miałem wrażenie, że jak go rozmrozimy, to powie: „Dzięki chłopaki” i spokojnie będzie kontynuował swoją śmiertelną podróż.

– Wejźmy do środka – zdecydował Janek.

– I tak go tu zostawimy? – zapytał ojciec.

– Weźmiemy koc i go przykryjemy – odparł. – Na razie musimy zobaczyć, co się wydarzyło w chałupie i co z Andrzejkiem.

– Zgoda – rzucił mój ojciec i powoli ruszył w stronę drzwi.

– Tylko patrzcie pod nogi, żeby niczego nie zadeptać – ostrzegł nas Janek. – Chciałbym to obejrzeć za dnia, sporo krwi i śniegu, może odbiła się podeszwa buta mordercy.

Szliśmy zatem ostrożnie, uważając na to, gdzie stawiamy stopy, i to była dobra rada, bo krwawy ślad ciągnął się z dworu przez sień aż do kuchni. Kończył się dopiero przy przewróconym krześle i książce leżącej w kałuży krwi.

Janek podszedł do drzwi prowadzących do pokoju Andrzejka i przeszedł przez nie spokojnym krokiem. My za nim.

Chłopak siedział na łóżku i wpatrywał się w swoje zakrwawione ręce. Nic nie mówił, nie patrzył na nas, tylko wlepił wzrok w dłonie, jakby znalazł w nich odpowiedzi na wszystkie pytania wszechświata, łącznie z tym, kto zabija w naszej osadzie. Zagięte palce sprawiały wrażenie, jakby założył karmazynowe rękawiczki i sprawdzał, czy pasują. Ubranie, które miał na sobie, też było zachlapanie krwią, świeżą, odbijającą światło brunatnymi refleksami, mrugając do nas to czerwienią, to czernią.

– Andrzejek? – odezwał się Janek, ale chłopak nie zareagował.

Na znak stryjka podeszliśmy bliżej; chyba bał się, że chłopak go zaatakuje. Powoli wyciągnął kajdanki z kieszeni płaszcza, odstawił lampę na stolik i zabierał się do skucia mu rąk.

– Andrzejek! – podniósł głos, próbując zwrócić na siebie uwagę.

Chłopak poruszył dłońmi, jakby sprawdzając, czy nadal są sprawne, nadają się do czegoś więcej niż do zabijania. Przeniósł wzrok na Janka, w oczach lśniły mu łzy wielkie niczym grochy i dało się z nich wyczytać nie gniew czy agresję, ale raczej niezrozumienie i zaskoczenie.

– Ja nie wiem, co... – powiedział głosem, w którym nie było nawet cienia życia.  
– Ja naprawdę nie wiem.

– Co się stało? – zapytał Janek.

– Boli mnie głowa – odparł chłopak. – Chyba ktoś mnie uderzył.

Chciał się pomacać w miejscu, w którym otrzymał cios, ale zorientował się, że ma ręce we krwi, i zatrzymał dłoń tuż nad włosami.

– A krew na rękach? – zapytał ojciec.

– Nie wiem – odpowiedział, kręcąc głową i obracając dłonie raz do góry, raz na dół, niczym dziewczyna tuż po pomalowaniu paznokci.

– Muszę cię skuć kajdankami – poinformował go spokojnym głosem Janek.

– Pobrudzą się – zauważył przytomnie Andrzejek. – Mogę najpierw umyć dłonie? Na piecu pewnie jest ciepła woda.

– I tak nie pobiorę próbek – stwierdził z westchnieniem Janek.

Spojrzał pytająco na nas, na co ojciec skinął głową, a ja nie miałem w tym temacie nic do powiedzenia. Nie wiedziałem, jak wygląda owo pobieranie próbek, ale zdawałem sobie sprawę z jednego – jeśli ktoś z osady tutaj wpadnie i zobaczy zwłoki Klimkiewicza, a potem zakrwawione dłonie chłopaka, to nikt z nas nie powstrzyma ich przed natychmiastowym osądzeniem i wydaniem wyroku. Andrzejek będzie mógł do woli tłumaczyć, że ktoś go uderzył w głowę i wymazał mu dłonie krwią, na nic się to nie zda.

Janek, jeszcze zanim chłopak wstał, sprawdził jego głowę i patrząc w naszą stronę, oznajmił:

– Dostał po głowie, niezbyt mocno, jednak na tyle, że mogło go odciąć.

Następnie pomógł mu wstać i ruszył z nim do kuchni, przeszli obok krzesła i Andrzejek począł myć ręce.

– Teraz już mi nie uwierzą – powiedział spokojnym głosem, w którym nie było wyrzutu czy jakiejś złości na okrutny los, ot, po prostu, stwierdzenie faktu.

– Raczej nie.

– Ale skąd ta krew? – zapytał, patrząc na podłogę.

– Klimkiewicz cię pilnował od północy – poinformował go Janek. – Ktoś go napadł i rozwalił mu łeb.

– Gdzie on jest?

– Nie żyje – odparł krótko Janek.

– Aha. – Andrzejek przyjął do wiadomości, po czym zaczął wycierać dłonie w sfatygowany ręcznik wiszący na gwoździu wbitym w ścianę obok miednicy.

Gdy już miał suche ręce, Janek skuł go, spokojnie i delikatnie, zupełnie nie jak na filmach, gdy milicja szarpie aresztowanego i używa przemocy. Nie wygiął mu także rąk za plecy, tylko pozostawił je z przodu.

– Zamkniemy cię w twoim pokoju – powiedział. – Nie wolno ci się stamtąd ruszać na krok, rozumiesz?

– Tak.

– Okna zabijemy gwoździami, gdzie masz młotek?

– Są zabite na zimę – powiedział Andrzejek. – Możecie sprawdzić.

– Dobrze, zostaniesz na chwilę w kuchni – tu wskazał głową na nas – a ja sprawdzę twój pokój, czy nie ma tam czegoś, czym mógłbyś nam sprawić przykrą niespodziankę.

Andrzejek pokiwał głową ze zrozumieniem.

Czy mógł być niewinny? Jeśli tak, to miał cholernego pecha i nie zazdrościłem mu, nie chciałem być w jego skórze. Ale co, jeśli jednak to on stał za tym wszystkim? To kto miał pecha? Czy jego zachowanie w chwili obecnej nie było zbyt dziwne? Nie powinien zapewniać, że to nie on, płakać, panikować, zaprzeczać, padać na kolana? Zachowywał niemal nieludzki spokój.

Janek tymczasem wszedł do jego pokoju i szperał w szafie, zaglądał pod łóżko, wyjął z niego materac i tak dalej. Widzieliśmy to przez otwarte drzwi do kuchni. Nagle ucichł i po minucie wyszedł do nas, trzymając w ręku szaroniebieski ciuch przypominający płaszcz.

– Co to jest? – zapytał chłopaka.

– Mój fartuch roboczy – usłyszał odpowiedź Andrzejka. – Naprawiam w nim autobus, sprzątam go i tak dalej. Dali mi na zakładzie.

– Jest cały we krwi – Janek wyciągnął w jego stronę ubranie, a ja przystawiłem bliżej lampę.

– Ostatni raz używałem go przed Wigilią, potem go nawet uprałem, był czysty – powiedział.

– Zobacz. – Janek poruszał fartuchem na lewo i prawo podstawiając je pod trzymaną przeze mnie lampę.

Miał rację, ubranie było całe poplamione krwią i to nie mógł być w żadnym wypadku efekt skaleczenia. Fartuch wyglądał, jakby zdjął go nie mechanik, ale rzeźnik. Co mówił Janek jeszcze przedwczoraj? Że sprawca będzie miał ubranie całe we krwi, bo bił Iwonkę długo i wytrwale, nie okazując litości.

Mój ojciec mruknął i spojrzał w stronę chłopaka, zacisnął pięści. Obawiałem się, że złapie go zaraz w swe mocne dłonie i skręci kark.

– Trzeba przykryć ciało Stacha – powiedziałem szybko i głośno, żeby wyrwać ojca z jego myśli. – Tato, weź koc i to zrób, dobrze?

Ojciec spojrzał na mnie gwałtownie, ale wzrok mu zmiękł, wszedł do pokoju Andrzejka i zabrał z niego koc w kratę, po czym wyszedł przed dom.

– Ja pierdolę – rzucił Janek. – Andrzej, coś ty zrobił, chłopie?

– Ale to nie ja – zaprotestował chłopak, kuląc się nieznacznie.

– Miałeś rację, nikt ci nie uwierzy – powiedział mój stryjek.

– Co robimy? – zapytałem.

– Musimy go zamknąć i pilnować – stwierdził. – Ale ja nie wiem, czy ludzie go po prostu nie zabiją.

– Stachu był lubiany – powiedziałem.

– Wiem. Po cholere go zabijał?

– Nie zabiłem – wtrącił Andrzejek.

– Właz do pokoju. – Janek szarpnął go za ramię i wepchnął do środka, po czym zamknął drzwi.

– Trzeba powiadomić Alicję – powiedziałem i wzdychając głęboko, usiadłem na krześle przy stole.

– Wiem – odparł Janek. – Ja to zrobię. Niech twój ojciec zostanie pilnować An-drzejka, ty idź do Bernarda, sprowadź go tutaj najszybciej, jak się da.

– Chcę iść z tobą – zaprotestowałem.

– To nie jest dobry pomysł – zaproponował Janek, biorąc drugie krzesło, po czym usiadł naprzeciwko mnie.

– Dlaczego?

– To będzie najprawdopodobniej najgorsza wiadomość, jaką ta dziewczyna otrzymała w życiu – tłumaczył mi stryj. – Nie powinna kojarzyć jej z tobą. Uwierz mi, ona zapomni wiele rzeczy, nawet jeśli ją kiedyś skrzywdzisz, może to wyrzucić z pamięci, ale moment, w którym ktoś zawiadamia ją o śmierci ojca, zapamięta na zawsze. Ze wszystkimi zapachami, dźwiękami, a co najgorsze, z uczuciami, jakie jej towarzyszyły. Nie powinno cię tam być.

– Może masz rację.

– Przyjdiesz za jakieś pół godziny, po sprowadzeniu Bernarda. Przytulisz ją, pocieszysz i pewnie będziesz to robił do końca dnia, bo będzie płakać jeszcze długo.

– Zgoda.

– Ona będzie szukać winnych, a ten, który przyniesie wiadomość, będzie pierwszym, kogo obwini. Ja stąd wyjadę za kilka dni, a ty planujesz z nią całe życie.

Miał rację, nie było tu z czym dyskutować. Ale świat już jest tak ułożony, że nie zawsze robi się to, na co wskazuje zimna logika. Oczami wyobraźni widziałem scenę, w której Alicja dowiaduje się o śmierci ojca i zapłakana upada na podłogę. Nie, nie mogłem na to pozwolić, aby nie miała w takiej chwili wsparcia.



# ROZDZIAŁ 24

## *Dopust boży*

*Rok 2023*

Po kilku upalnych dniach na Jelenią Górę spadło całe niebo wody w towarzystwie błyskawic i przy akompaniamencie grzmotów. Jan Ryś nie lubił zimy, mrozu i śniegu, oraz – oczywiście – rzeźb, ale za to burze uwielbiał. Z ostatniego piętra swojego bloku miał doskonały widok na góry i snujące się między szczytami Kar-konoszy chmury, które zawsze wprawiały go w dobry nastrój. Z okna kanciapy znajdującej się jeleniogórskiej komendzie burza nie prezentowała się tak malowniczo, bardziej przeszkadzała hukami grzmotów i bębnieniem grubych kropel deszczu o okno.

– Zatem to była ofiara numer trzy – stwierdził komisarz Podyma, zapisując coś w zeszycie.

– Zgadza się – potwierdził emeryt. – Wyglądał jak pieprzona rzeźba.

– Yhm. – Policjant dopisał coś w notesie.

– Krwawa rzeźba – dodał Ryś.

– I to pan znalazł ten zakrwawiony fartuch? – dopytywał komisarz.

– Tak. Był w materiale dowodowym.

– Jak wiele innych rzeczy – skwitował Sukiennik.

– Ano, jak wiele – odparł z westchnieniem Ryś.

Gdzieś blisko budynku komendy uderzył piorun, bo standardowy grom o t-balnym brzmieniu poprzedził nieprzyjemny dla ucha trzask, aż zatrzęsły się szyby w oknach.

– Powiedzcie mi, drodzy koledzy – Ryś odwrócił się w ich stronę – kogo w tej sytuacji byście podejrzewali? Czy postąpilibyście tak samo jak ja?

– Na pierwszy plan wysuwa się ten cały Andrzejek – stwierdził Podyma. – Ale jak na mój nos, to za dużo na niego wskazuje. No i dlaczego miałby zabić Klimkiewicza?

– Też nad tym myślałem i w grę wchodziły dwie możliwości. Pierwsza jest taka, że to Stachu Klimkiewicz go zaatakował, a młody się bronił. W końcu miał na

głowie ślad po uderzeniu.

– I czym by to miał zrobić? – zapytał Podyma.

– Siekierką, taką niedużą, jakie trzyma się czasem przy piecu, żeby rozłupać szczapę drewna na drzazgi do podpałki. To według mnie było narzędzie zbrodni. Ale tę wersję wykluczyłem tak na dziewięćdziesiąt procent.

– Przez ten guz na głowie? – domyślił się Podyma.

– Tak. – Ryś skinął głową. – Za słaby. To znaczy, taki w sam raz, żeby kogoś ogłuszyć, ale tak się nie atakuje przeciwnika, chcąc go zabić albo nawet uszkodzić. Albo nabił go sobie sam, widziałem wiele takich obrażeń u osób udających, że ktoś ich napadł, choćby u mężów, którzy zbyt mocno wpieprzyli żonie i pozorowali coś w rodzaju samoobrony. Walnęli głową w szafkę albo coś w ten deseń, znacie to, co?

Kiwnęli głowami, oczywiście, że znali, do Archiwum X nie wchodzi się z ulicy, trzeba swoje odsłużyć.

– A druga wersja? – zapytał Sukiennik.

– Klimkiewicz nie wytrzymał, zaczął łązić po domu, zaglądać tu i tam, aż w końcu znalazł dowody zbrodni. Andrzejek nakrył go na tym i dał mu w łeb. Widział, jak Stachu próbuje uciec, czołga się, zostawiając za sobą krwawy ślad, obserwował go i gdy ten w końcu zatrzymał się kilka metrów za progiem, nie musiał kończyć, po prostu pozwolił mu zamarznąć.

– Trafne tezy – stwierdził Sukiennik.

– Zgadza się – potwierdził Ryś. – Wszystko na ten moment wskazywało na niego, musieliśmy go zamknąć.

– Zrobiłbym chyba dokładnie tak samo – powiedział Podyma. – Odizolował Andrzejkę, może nie w pokoju, ale w jakiejś piwnicy z solidnymi drzwiami.

– Ja też – zgodził się Sukiennik.

– Dobrze zrobiłem, też tak uważam – stwierdził Ryś. – Ale co do moich teorii, to wzięły w łeb bardzo szybko. Wszystko przez to, co stało się chwilę później.

Piorun ponownie uderzył gdzieś blisko, wypełniając pokój trupiobladym blaskiem, a kilka sekund później hukem grzmotu.

## ROZDZIAŁ 25

### *Głód zabijania*

*Rok 1978*

Już po wyjściu z domu Andrzejka wiedziałem, że to jest zły pomysł, że mogłem zgodzić się z Jankiem i pójść do Bernarda, sprowadzić go na miejsce zbrodni i naradzić się, co czynimy dalej. Najgorsze, do czego nie chcieliśmy dopuścić, to aby budzący się dzień odkrył przed żoną i córką Stacha Klimkiewicza jego zastygłe w pływackiej pozie ciało, aby to stało się ostatnim, co te dwie biedne kobiety zapamiętają.

Dopiero przed drzwiami domu Alicji, które przecież w ostatnich dniach często przekraczałem, uświadomiłem sobie, że za chwilę spojrzę w oczy mojej przyszłej teściowej, która już od jutra zacznie nosić żalobną czerń, choć powinna się radować szczęściem córki. Czy to właśnie ona wyjdzie mi na powitanie? Kto zniesie tę wiadomość lepiej, Alicja czy jej matka.

W oknach jeszcze się nie świeciło, domownicy spali, co oznaczało, że będę musiał mocno zapukać. Nie chciałem wejść do domu i obudzić ich podobnie, jak uczynił to ze mną Janek, zresztą przekroczenie progu sypialni pani domu, gdy ona jeszcze spała, wydawało mi się nie tyle nietaktem, ile wręcz świętokradstwem.

Zapukałem do drzwi najpierw normalnie, bez przesady, licząc na to, że pani domu ma lekki sen albo może krząta się już gdzieś po swojej sypialni. Nic jednak się nie wydarzyło, dom i jego otoczenie spowijała mroźna cisza.

Ponownie uderzyłem knykciem prawej dłoni w deskę solidnych drzwi, tym razem nieco mocniej i tak samo jak za pierwszym razem bez żadnego efektu. Zaniepokoiłem się, bo jeśli zacznę łomotać w drzwi, to pobudzę połowę osady, mroźne powietrze bardzo dobrze niesie dźwięki.

Nacisnąłem klamkę, a ta ustąpiła bez zbędnych oporów. No tak, może i po okolicy szwenda się morderca, ale po co zamykać drzwi. Wszedłem do sieni domu Klimkiewiczów i dotarłem do drugich drzwi, prowadzących do przedpokojku. Zapukałem w osadzoną w nich mleczną szybę, specyficzny dźwięk poniósł się po całym domu, lecz nie spowodował poruszenia w żadnym z pomieszczeń.

– Halo! – zawołałem z sieni, nasłuchując odgłosu uspiętego domostwa.

Odpowiedziała mi jedynie cisza swym niepokojącym milczeniem. No cóż, nie chciałem, ale trzeba było działać. Postanowiłem obudzić Alicję, ta przynajmniej się mnie nie przestraszy. W dodatku tak naprawdę nie wiedziałem, w którym z pokoiów na parterze śpi jej mama.

Wszedłem do przedpokoju, w którym można było wybrać, czy chce się przejść do kuchni, jednego z dwóch pokoi, łazienki, lub też skierować się na piętro. Oświetliłem pomieszczenie lampą, nie zobaczyłem jednak niczego podejrzanego. Ale się pospały dziewczyny, emocje ostatnich dni musiały je wyczerpać.

Zdjąłem buty, kurtkę i czapkę, wełniane rękawice i szalik włożyłem do kaptura mojego płaszcza. Ruszyłem na górę już nieco odważniej, jeszcze wieczorem pokonywałem te schody z radością, że zobaczę swoją narzeczoną, przytulę ją i poczuję jej ciepło, a teraz każdy kolejny stopień ciążył mi bardziej od poprzedniego.

Drzwi do pokoju Alicji były zamknięte i zastanowiłem się, czy pukać, czy też po prostu wejść. Serce mi łomotało z emocji, bo zdałem sobie sprawę z tego, co mówił Janek, że to będzie najgorsza wiadomość, jaką w życiu usłyszy. Dla mnie chyba najgorsza, jaką kiedykolwiek przekażę.

Nacisnąłem klamkę i przyświeciłem sobie lampą, rzucając żółty blask do wnętrza. Wszedłem do środka, każdym krokiem kradnąc ciszę i spokój nocy, rozbijając je niczym łódź tnąca gładką taflę jeziora. Oświetliłem łóżko.

Alicja spała na brzuchu, jej włosy rozsypywały się po poduszce niczym kleks atramentu wpuszczony do szklanki wody, przynajmniej w tym słabym świetle, bo przecież włosy miała jasne niczym włosy żyta. Podszedłem bliżej, ale ciemna korona okalająca poduszkę nie zmieniała koloru, nie przeistaczała się w blond mimo coraz mocniejszego światła.

To nie były włosy.

To była krew. Poduszka ze spoczywającą na niej głową wyglądała, jakby ktoś upuścił na pościel dorodny bukiet czerwonych róż, rozlana posoka nawet odbijała światło lampy niczym płatki róż.

– O Boże! – krzyknąłem, cofając się o kilka kroków, aż moją nieco bezwładną ucieczkę przerwało skrzydło drzwi, na które trafiłem plecami.

Mrok okrył łóżko, gdyż blask padający z lampy naftowej podążał przecież ze mną, dosłownie niczym cień i podobnie jak ja uciekł od krwawej scenerii. Wiedziałem, że jeśli podejść tam znowu, światło odkryje przede mną ten sam widok, to nie był zły sen, ktoś wszedł tutaj i zatłukł moją narzeczoną. Strach, a raczej przerażenie dławilo mnie w gardle, zacząłem się dusić, aż przyszło otrzeźwienie.

– Ona może żyć, ty debilu – powiedziałem na głos i szybko podszedłem do łóżka.

Leżała bez zmian, spokojna, zakrwawiona i zabita. Wiedziałem z lekcji przysposobienia obronnego, jak się sprawdza puls, ale nie mogłem przecież przyłożyć palców do jej szyi, tam wszędzie była krew. Ale przecież były inne tętnice, pamiętałem z lekcji. Jedna na udzie, ale tam nie zanurkuje, podkolanowa i grzbietowa stopy. Jeszcze jedna, ale nie mogłem sobie o niej przypomnieć.

Pozostała stopa, która akurat wystawała spod kołdry. Przeszedłem do końca łóżka, odstawiłem lampę na stolik i wciąż niemal dusząc się ze strachu, złapałem delikatnie za stopę Alicji. Nie musiałem szukać tętnicy pod skórą, jej skóra była zimna niczym śnieg, po którym przed chwilą stąpałem, ale musiałem się upewnić, bo wciąż nie chciało mi się w to wszystko wierzyć.

– Tak mnie pilnowałeś, Michałku? – rozległo się w mojej głowie.

A może nie w niej? Czyżby ona szeptała?

Nie, niemożliwe. To nerwy!

Puściłem zimną stopę, złapałem za lampę i ruszyłem do wyjścia, jednak zaledwie po jednym kroku wmurowało mnie w podłogę, bo światło padło na jej głowę, paskudnie rozwaloną głowę, dodajmy. Twarzy nie widziałem, na szczęście leżała na brzuchu, ale rozwalonej czaszki nie sposób było nie zobaczyć. Ziała w niej dziura zostawiona przez jej oprawcę, to przez nią uciekło młode życie, a wraz z nim wspólne plany, sylwestrowa kolacja, ślub i biała suknia. Los dokonał skrótów, oszczędzając nam wspólnego życia, kłótni, nieprzespanych nocy przy dzieciach i zmartwień.

Wyszedłem z jej pokoju, irracjonalnie zamykając za sobą drzwi cicho i delikatnie. Może śmierć tam sobie spokojnie siedziała w kątku i karmiła się swoim dziełem, może spała najedzona i pochrapywała sobie cichutko, a może to była Mara?

Zszedłem po schodach, trzymając się ściany, przesuwając dłonią po drewnianej boazerii, bałem się, że nie trafię na parter domu, lecz do samego piekła, jednak światło lampy wyłowiło nie kotły wypełnione siarką, tylko zatopiony wciąż w lepkiej ciemności przedpokój.

Miałem do wyboru dwa pokoje, w jednym musiała spać matka Alicji. Salon? Raczej nie, stała tam co prawda wersalka, o ile dobrze pamiętam, lecz nie podejrzewałem jej rodziców o to, że sypiali osobno, jak moi. Wydawali się tacy nowocześni i zakochani w sobie. Dla pewności sprawdziłem salon, lecz ten przywitał mnie ciszą, ciemnością, spokojem i pustką, która przyniosła mi ulgę.

Żadnych trupów, żadnych ciał, żadnej krwi.

Zatem sypialnia. Zapukałem w drzwi i uświadomiłem sobie, że bardzo bym chciał, żeby jej matka raczej nie żyła. Jak ja miałem jej spojrzeć w oczy i powiedzieć, że tej jednej nocy straciła męża i córkę? Stachu urządził sobie zawody pływackie ze śmiercią w basenie pełnym śniegu, a Alicja śpi, a wszystkie sny, zarówno te złe, jak i dobre czmychnęły dziurą w głowie. Niech ona nie żyje, niech ten morderca chociaż raz okaże się człowiekiem i nie skazuje jej na życie wypełnione rozpaczą.

Po tym, jak stanąłem w sypialni Klimkiewiczów, mogłem odetchnąć z ulgą, bo moje życzenia po raz pierwszy tej nocy zostały spełnione.

Stachu dokąśdś płynął, Alicja leżała, śpiąc słodko, a jej matka chyba biegła. Czy zbudził ją hałas? Może krzyk córki? W każdym razie coś przerwało jej sen, bo nie leżała w dużym łóżku pokrytym skłębioną pościelą, lecz na podłodze tuż przy drzwiach. W kurczowo zaciśniętej dłoni trzymała drewnianą ciupagę, najpewniej pamiątkę z zeszłorocznego wyjazdu wakacyjnego.

Ależ ona była podobna do córki, widziałem to każdego dnia, te same oczy, włosy, uśmiech i nawet tak samo poprawiały spódnicę, siedząc przy stole, a teraz jeszcze ta krew wybuchająca z jej roztrzaskanej głowy, no niemal identycznie jak u Alicji. Dwa bukiety krwawych róż, jeden wręczony na gorze córce, a drugi na dole matce. Sprawiedliwie.

Omiotłem pokój światłem lampy i jedyne, co zaburzało porządek nprzależny sypialniom, stanowiła zburzona pościel. No oprócz trupa oczywiście. Jak to przebiegło? Spała, usłyszała hałas, więc szybko odrzuciła pościel, odwróciła się w stronę tej połowy łóżka, na której zawsze spał mąż, ale natrafiła na pustkę. Jej zaspana głowa wolno kojarzyła fakty, dlaczego tak jest, gdzie się podział małżonek.

– Stasiu? – zawołała w ciemność przekonana, że wrócił wcześniej albo zajrzał na chwilę po coś, czego zapomniał. A może to już szósta rano i jęgo warta dobiegła końca?

Jednak nikt jej nie odpowiedział, tylko trzeszczenie desek w przedpokoju. To nie jest Stasiu. To nie jej mąż.

Całe szczęście, że położyła koło łóżka ciupagę, nieco obawiając się tej samotnej nocy, miała czym się bronić, a właściwie to tylko dodać sobie animuszu, bo cóż można nawywyjać pamiątką ze straganu?

Ona wstaje, podchodzi do drzwi, te się otwierają, ona nie uderza, bo jest ciemno, nie ma prądu, więc nie może zapalić światła, żeby przegonić z ciemnych zakamarków złe duchy i strachy. Sylwetka w drzwiach, które otwierają się bez-

głośnie, nie jest tą, której się spodziewała, bo i któż może spodziewać się śmierci?

Czy uniosła ciupagę? Uderzyła nią? Zrobiła jakąkolwiek krzywdę napastnikowi. Próbowwała walczyć z Marą? Wątpię, raczej zacisnęła mocniej dłonie na drewnianej lasce, przełknęła ślinę i zakończyła życie, szybko i paskudnie, chociaż wielu by taką śmierć doceniło.

Wyszedłem z pokoju, tym razem nie sprawdzając, czy żyje, chociaż jej gołe stopy prezentowały się w całej okazałości. Po takim uderzeniu w głowę żyć nie sposób i dochodziłem do wniosku, że Mara nie robi fuszerki, jak już bierze się za kogoś, to można mieć pewność, że robota będzie porządnie wykonana.

Wyszedłem z domu Klimkiewiczów, zamykając za sobą drzwi, i ruszyłem w stronę chałupy Andrzejka, gdzie mieliśmy się naradzić, co czynić dalej. Chyba już wszyscy byli na miejscu, bo ze środka dochodziły mnie podniesione głosy, w tym tubalny bas należący do Bernarda.

Na mój widok ucichli i zaczęli mi się badawczo przyglądać. Czyżbym miał wypisane na twarzy, że przed chwilą spotkałem się ze śmiercią?

– Michał – odezwał się jako pierwszy Janek.

– Tak?

– Gdzie masz ubranie?

Spojrzałem po sobie i zauważyłem, że przyszedłem tutaj bez kurtki, czapki, szalika, rękawic i butów. Stałem tak, trzymając lampę naftową w dłoni, i patrzyłem, jak trzech dorosłych mężczyzn blednie, spodziewając się, że nie zwiastuje to niczego dobrego.

## ROZDZIAŁ 26

### *Piekło nigdy nie zamarza*

*Rok 2023*

Cisza podczas przesłuchań zapada niezwykle rzadko. Jest to jedna z technik stosowana wobec niektórych przepytanych, ale najczęściej na samym początku pracy nad nimi. Prosta psychologiczna sztuczka, równie użyteczna w życiu codziennym, jak i w pracy śledczego. Jeśli przepytujący się nie odzywa, to często druga strona chce tę ciszę zapęlić i zaczyna sama mówić. Przydatne w przypadku tych, którzy mają pierwszy kontakt ze służbami, ale wobec starych wyjadaczy i recydywy nieskuteczne.

Cisza panująca w pokoju zwanym kanciapą, mieszczącym się na pierwszym piętrze jeleniogórskiej komendy policji, była efektem tego, co powiedział przed chwilą Jan Ryś.

– Troje zamordowanych jednej nocy – podsumował Sukiennik.

– I to jedna rodzina – dodał Podyma. – To musiało być wstrząsające. Także dla pana. Mimo wszystko nie chciałbym ich odnaleźć.

– Ja znałem tych ludzi – powiedział Ryś. – Wszystkich ich podczas mojego życia w osadzie przed laty spotykałem każdego dnia. Te dziewczyny były wtedy dziećmi, pamiętam jedynie, jak bawiły się w berka albo chowanego, ale Klimkiewiczów już lepiej znałem. Jak były dożynki, to Stachu zawsze robił świeżonki, znacie takie danie?

– Tak. – Podyma pokiwał głową.

– I on był tym mistrzem ceremonii, kroił wszystko do kociołków, które to pewnie zostały się jeszcze po Niemcach, potem nakładał każdemu do miski. Jego żona była bardzo miła i chyba kiedyś była pielęgniarką, bo jak trzeba było zastryk zrobić, to się szło do niej. I mi też kiedyś za dzieciaka dupsko kłuła. Porządni ludzie. A potem człowiek wchodzi do ich domu i znajduje te dwie kobiety zatłuczone na śmierć.

– Narzędzie zbrodni? – zapytał Sukiennik.

– Siekiera, bez dwóch zdań – odpowiedział Ryś. – Ale nie znaleźliśmy jej, Andrzejek nie powiedział, gdzie ją ukrył. Przyjąłem, że mógł wrzucić do studni, ale



potem włożył tam nurek i niczego nie znalazł.

– Czyli przyjął pan, że to jednak ten chłopak był sprawcą? – zapytał Podyma.

– Nie – odparł Jan Ryś. – Dla mnie wtedy to wszystko niespecjalnie się kleiło i tak zostało do dziś.

– Dlaczego? – zdziwił się Sukiennik. – Jak dla mnie, to ma ręce i nogi. Powiedzmy, że ten Stachu przysypia na straży, chłopak to wykorzystuje i uderza go w głowę siekierą.

– Powód? – wtrącił Ryś. – Porozmawiajmy o motywie, sami wiecie, że jest kluczowy.

– Chce się pozbyć dziewczyny, Alicji, tak miała na imię?

– Zgadza się.

– Zatem ma prosty cel na tę noc, pozbyć się świadków – kontynuował Sukiennik. – Zresztą według mnie taki sam motyw miał przy drugiej dziewczynie. Ale wracając do tej feralnej nocy, to Andrzejek nagle zdaje sobie sprawę z tego, że dziewczyna coś wie lub jest w posiadaniu jakichś materiałów, które mogą do niego doprowadzić. Musi sobie z nią poradzić, w swoim mniemaniu ma tylko jeden sposób, czyli uciszyć ją raz na zawsze. Czeką na dogodny moment, aż jego strażnik uśnie, a może wstał i poprosił go o pomoc, odwrócił jego uwagę, bo raczej do walki nie doszło. Ten guz o niczym nie świadczy, czyż nie?

– Też tak myślę – odparł wywołany do odpowiedzi Ryś.

– Musi zabić pilnującego go Stacha, bo gdyby ten nagle wstał pod jego nieobecność, wszcząłby alarm. Uderza go w głowę, może jeszcze rzuca coś w stylu: „A teraz idę po twoją córeczkę”, przez co konający ojciec rusza jego śladem w stronę domu i zamarza na mrozie. Następnie Andrzejek wchodzi do Klimkiewiczów, dociera do pokoju dziewczyny, są w podobnym wieku, więc pewnie był tam, zna drogę i rozkład pomieszczeń. Nie bawi się w żadne gierki, tylko uderza dziewczynę w głowę. Nie jest sadystą, zbrodźcą czy dręczycielem, chce po prostu wyeliminować problem. Dziewczyna umiera, on rusza z powrotem do siebie. Matka musiała coś usłyszeć, wstaje, ale on wchodzi do jej pokoju i likwiduje ostatniego świadka. Wraca do swojego domu, uderza się w głowę i przygotowuje się na pana przyjscie, wie, że nastąpi ono dokładnie o szóstej rano. W międzyczasie pozbywa się jeszcze narzędzia zbrodni, ma kupę czasu. Nie przyjął pan takiego założenia?

– Jedno mi tu nie gra – powiedział Ryś. – Gdyby dziewczyna coś wiedziała, to pewnie powiedziała by komuś, chociażby swojej przyjaciółce czy chłopakowi.

– A kto mówi, że wiedziała? – odparł Podyma. – Możliwe, że kompletnie nie miała o niczym pojęcia, ale Andrzejek po zabiciu pierwszej dziewczyny popada

w paranoję, zdaje mu się, że wszystkie jej koleżanki mogą wiedzieć coś, co wskaże go jako sprawcę. Tak naprawdę to wytypowanie ojca Alicji na strażnika jest dla niego niczym szczęśliwy traf, przypadkowo wpasowuje się w jego plan napisany w umyśle paranoika.

– Może i racja – zgodził się Ryś. – Ale mi to jakoś nie pasowało. Może dlatego, że było zbyt oczywiste? Wydawało mi się, że taki chłopak z osady nie mógłby być aż tak perfidny i przebiegły, tak dobrze grać.

– Pan też jest z osady, a został gwiazdą kryminalistyki – zauważył Sukiennik.

– Tak, ale nie z dnia na dzień – odparł Ryś. – Musiałem odsłużyć swoje, sporo się nauczyć, chociażby na tej sprawie.

– Prześwietlaliście go później? – zapytał Podyma.

– Oczywiście – potwierdził emeryt. – Nieposzlakowana opinia na terenie zakładu pracy. Dyrektor PKS powiedział, że szykowano go na kierowcę autobusów dalekobieżnych. Bardzo dobry kierowca, punktualny, miły i uprzejmy dla pasażerów, a to w tamtych czasach było niemal ewenementem. Kierowca autobusu to była persona, wielokrotnie od niego zależało, czy dojedzie się do pracy, wszystkie pakaesy były przepelnione do granic możliwości. W dodatku niepijący, niemal abstynent, ale mimo tej ułomności, która w PRL-u potrafiła przetrącić niejedną karierę i skazać na społeczny ostracyzm, szczególnie w większym zakładzie pracy, był lubiany też przez współpracowników. A to, wicie, co imieniny, to trzeba było wypić, a na swoje postawić.

– Porządną człowiek – stwierdził Sukiennik. – Nie dziwne, że mówili na niego Andrzejek, a nie Andrzej, Jędrzej, Jędrus czy Jędrula.

– To imię właśnie pasuje jak ulał – zgodził się Ryś. – Ot taki Andrzejek, trochę pierdoła, ale miły i uczynny. Po robocie koledzy szli na piwo albo na wódkę, a on wołał do kina albo do biblioteki. Sprawdziliśmy nawet, co wypożyczał i na jakie filmy chodził.

– Coś ciekawego?

– Oglądał wszystko, co akurat było na afiszu, nie wybrzydzał – odparł emeryt. – Czytał głównie kryminały, uwielbiał Joannę Chmielewską, wciąż miał nieoddaną książkę Lesio.

– Kryminały? – odezwał się Sukiennik.

– Komedie kryminalne – sprecyzował Ryś.

– To nie to samo?

– Ludzie to czytają bardziej dla relaksu niż krwawych opisów. Wielu nawet uważa, że to koło kryminału nie stało. Jeśli miałby czerpać inspiracje z takich

książek, to raczej w rozśmieszaniu niż w mordowaniu.

– Czyli, jednym słowem, porządny człowiek – stwierdził Podyma. – Żadnych predyspozycji do działań przestępczych.

– Tacy też zostają mordercami – zauważył Sukiennik. – Większość seryjnych miało nieposzlakowaną opinię i cieszyło się zaufaniem społeczeństwa.

– Owszem – jego kolega pokiwał głową – ale tutaj pozwolę sobie nie zgodzić się z twierdzeniem, że mamy do czynienia z kimś pokroju seryjniaka. Moja teoria jest taka, że pierwsze morderstwo było w afekcie, a dalej to już spirala zbrodni, likwidowanie świadków. Morderca brnął w kłamstwo i legendę, jaką stworzył na potrzeby swoich działań.

– W sumie się zgadzam – powiedział Sukiennik.

– Ja także. – Ryś skinął głową. – Tylko mamy jedną rozbieżność.

– Jaką? – zapytał Podyma.

– Czy to był Andrzejek – powiedział emeryt. – Jak widzę, wy tak uważacie, tak samo twierdzili wtedy wszyscy w osadzie, zresztą nie dziwię się im, bo wszystko wskazywało na jego winę. Mało tego, jak dla mnie, gdyby nagle stopniał w godzinę cały ten pieprzony śnieg i milicja szybko dotarła, aresztowała Andrzejka i postawiła przed sądem, to ów sąd też by go skazał.

– Zatem co tu tak naprawdę nie gra? – zapytał Sukiennik.

– Co? Trzeba do tej łamigłówki wprowadzić kolejne zmienne, czyli odpowiedzieć sobie na jedno zajebiste ważne pytanie.

– Jakie?

– Czy kolejne ofiary były przypadkowe, czy też to było zacieranie śladów – stwierdził Ryś.

– Czyli to nie koniec? – westchnął Podyma.

– Otóż nie – odpowiedział mu Jan Ryś.

Spojrzał na dwójkę policjantów i musiał stwierdzić, że byli naprawdę dobrzy. Całe szczęście, że takich nie było wtedy w Wojewódzkiej Komendzie Milicji Obywatelskiej w Jeleniej Górze.

## ROZDZIAŁ 27

### Żar

Rok 1978

Siedziałem w zakurczonym i nieco zapomnianym przez świat salonie mieszczącym się tuż obok kuchni w domu Andrzejska. Czułem ten kurz przy każdym oddechu, a te były szybkie i nerwowe. Wciąż nie mogłem się uspokoić, jedną ręką trzymałem się poręczy fotela, jakby w obawie przed tym, że mnie zrzuci, a drugą przykładalem do policzka lnianą ścierkę wypełnioną grudami lodu zebranego przed domem. Bolało jak cholera, ale i tak wołałbym taki ból do końca życia niż ten po stracie Alicji.

– Przepraszam, synku – powiedział mój ojciec zbolalym głosem. – Inaczej nie dało się ciebie zatrzymać.

– Nic się nie stało – odpowiedziałem automatycznie, chociaż stało się, kurwa mać, i to wiele.

– To nie on – odezwał się Janek. – Rzuciłeś się na niego, żeby zabić? Pomścić?

– Masz pewność, że to nie on? – zapytałem, spoglądając mu wyzywająco w oczy.

– Jestem o tym przekonany – odpowiedział Janek. – A nawet jeśli to Andrzejek, to nie my jesteśmy od wydawania wyroków i karania go, mamy od tego sądy.

– Phi – skomentowałem. – Sądy? Ten skurwysyn nie ma prawa żyć!

– Na szczęście mamy karę śmierci – powiedział Janek. – Jeśli jest winny, to będzie wisiał.

– O nie, nie „jeśli jest winny”. – Potarłem mocniej obity policzek. – Jeśli sąd udowodni mu winę, a to różnica. A nie udowodni, co nie? Bo to spryciarz, wszystko robił tak, żeby nie było na niego haków.

– Albo to nie on.

– Janek, nie rozumiesz? – Uderzyłem lodem o stół. – Jak go nie powstrzymamy, to znowu ktoś zginie. Byłeś tam na górze?

– Byłem.

– Widziałeś ciało Alicji?

– Widziałem.

– A jej matki?

– Też.

– I powiedz mi, to jest normalny człowiek? Wszedł do domu i zatłukł na śmierć Alicję. Ot tak, po prostu, bo coś mu tam nie pasowało.

Przycisnąłem ponownie ścierkę z lodem do twarzy, która zaczęła pulsować bólem. Mój ojciec miał siłę w rękach, uderzył mnie niezbyt mocno i to otwartą dłonią, ale poczułem się, jakby kopnął mnie koń. No cóż, co mógł zrobić innego, aby mnie powstrzymać?

Gdy Janek poszedł do domu Klimkiewiczów po moje rzeczy, ale także, by przekonać się na własne oczy, że nie zmyślam, coś we mnie pękło.

Stałem w kuchni, trzymając się stołu i wpatrując w świeżo umytą podłogę. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że podjęli decyzję, aby na razie nikomu nie ujawniać, co zaszło u Klimkiewiczów. Patrzyłem na błyszczące od wody gumoleum i moje myśli zaczęły wyrwać się ze swoich miejsc, w których dotychczas siedziały spokojnie i nikomu nie wadziły.

Jak to tak, zmyto krew i już? Andrzejek też będzie czysty, po prostu się po nim posprząta i koniec pieśni? Odejdzie sobie wolny? Dlaczego właściwie Janek tak się upierał przy tym, że to nie on odpowiada za morderstwa w osadzie? A ktoś inny miałby to niby zrobić? Dla mnie sprawa nagle wydała się cholernie prosta, otóż ten dupek podstępnie zabił Stacha, a potem poszedł przez noc do jego domu i przy pomocy siekiery załatwił dwa problemy, młodszy i starszy, po czym wrócił i siadł spokojnie na tapczanie. Wyłgał się koncertowo.

Nie mogę na to pozwolić!

Tak pomyślała moja głowa, a ręka złapała ze stołu nóż, noga ruszyła w stronę drzwi do pokoju Andrzejka. Nie powstrzymali mnie od razu, nie spodziewali się po mnie ataku, po tym spokojnym, rozsądnym Michale, który jednak za dużo w ostatnich dniach widział, zbyt wiele przeżył.

Na szczęście dla mnie i tego przebiegłego skurwysynka zatrzymali mnie tuż przed jego łóżkiem. Mało brakło, bo ojciec z Bernardem rzucili się jednocześnie za mną, gdy tylko zorientowali się, co mam zamiar zrobić. Nie zmieścili się w drzwiach, to były te cenne sekundy działające na moją korzyść. Gdy już wzniosłem nóż do ciosu, poczułem szarpnięcie, a potem uderzenie w twarz, mocne, siarczyste niczym ten mróz za oknem. Wypuściłem nóż i upadłem na ścianę. Tak przedstawia się historia mojego krótkiego ataku na Andrzejka.

– Michał, musisz się opanować – powiedział Janek. – Sam niedawno byłeś zdania, że to nie on stoi za morderstwami.

– Zmieniłem zdanie – odparłem. – Teraz jestem pewien, że to on. Oszukał nas wszystkich, każdego w tym pokoju, i nam, cywilom, to się nawet nie dziwię, ale ty jesteś milicjantem. Przemyśl to jeszcze raz.

– Żebyś mógł pomyśleć, musimy mieć czas – odpowiedział Janek. – Dlatego teraz twój ojciec odprowadzi cię do domu, tam weźmiesz coś na uspokojenie od mamy. Jak już zaczniesz działać, będziesz mógł do nas wrócić, nie wcześniej. Rozumiem, w jakim stanie się znajdujesz, nie jesteś sobą, uwierz mi.

– Chcę tu zostać – zaprotestowałem.

– Chodź, synu – powiedział ojciec. – Taki syrop na uspokojenie to dobra rzecz, a potem wrócisz i nam pomożesz. Musimy uspokoić matkę, bo jak nie, to zaraz tu za nami przyleci i zobaczy to wszystko.

Wstałem i ruszyłem za nim. Zawsze był dla mnie autorytetem i słuchałem się go, nie ze strachu czy jakiegoś ustalonego „bo tak trzeba”, ale on po prostu zawsze mówił mądrze i robił, co należało. Poszliśmy zatem do naszego domu, gdzie ojciec uspokoił matkę kilkoma ogólnikami, nie zdradzając jej nic z tego, co zaszło w nocy. Dostałem łyżkę syropu z kozłka lekarskiego na uspokojenie, po czym wróciliśmy do domu Andrzejka.

Pierwsze, co mi się rzuciło w oczy po drodze, to brak ciała Stacha. Zniknął równo on, jak i koc, którym go okryliśmy. Zakrwawiony śnieg został zasypany świeżym popiołem.

– Ciało jest w stodole – wyjaśnił Bernard, gdy zapytaliśmy z ojcem o powód takiego działania. – Musimy uspokoić ludzi, a, jak to mówią, co z oczu, to i z serca.

– Będziemy ukrywać trupa? – zapytałem z lekkim niedowierzaniem.

– Tak – potwierdził sołtys.

– Zamknęliśmy także na klucz dom Klimkiewiczów – dodał Janek. – Musimy utrzymać jak najdłużej w tajemnicy to, do czego doszło tej nocy. Inaczej może zrobić się w osadzie bardzo nieciekawie.

– To chyba już za późno, co? – zapytałem z kpiną.

– Michał, to, co teraz robimy, to zarządzanie kryzysowe – odparł zdenerwowany Janek. – Jeśli zamierzasz tutaj siedzieć i dokuczać, a nie pomagać, to zaraz wpakujemy cię na podobny areszt jak Andrzejka. Ściśnij dupę i zachowuj się jak mężczyzna, a nie zmanierowana panienka.

– I będą tam tak leżały? – zapytałem z niedowierzaniem.

– A co, uciekną? – odpowiedział Janek. – Jak ludzie je zobaczą, to nie przekonasz ich, nie zatrzymasz, wezmą widły i siekiery i przyjdą tutaj, wyciągną tego chłopaka z domu i rozszarpią. Tego chcesz?

– Może mu się należy.

– A wiesz, co będzie potem? Przyjedzie tu prokurator i każdego z osady przepytają. Byłeś kiedyś przesłuchiwany w komendzie milicji albo w prokuraturze? No to nie wiesz, że ludzie od razu wskażą winnych, a ci pójdą siedzieć. I co, chcesz iść do więzienia za tego chłopaka?

– Mogę.

– Tak teraz myślisz, w nerwach, ale co ci to da? Jeśli okaże się niewinny, to pójdziesz siedzieć tak samo jak za winnego, a może nawet i na dłużej, bo w tej drugiej sytuacji to sąd znalazłby jakieś okoliczności łagodzące. Jeśli jest winny, to sąd go skáže, potem wykona wyrok śmierci, a ty będziesz spokojnie siedział w domu i cieszył się swoją zemstą. Rozumiesz?

Spojrzałem na niego, był zdenerwowany, ale ja za to coraz spokojniejszy. Widziałem sprawę jasno, chyba w przeciwieństwie do niego, w każdym razie zrozumiałem, że nie pozostaje nic innego, jak przyznać mu rację i czekać na odpowiedni moment, by dopełnić zemsty. Nie, nie zemsty, ale sprawiedliwości.

– Rozumiem – odparłem. – Przepraszam. Macie rację, zamknijmy dom Alicji, schowajmy ciało Stacha, ale co dalej?

– Musimy sprowadzić pomoc – powiedział ojciec. – Tym razem już nikt nie machnie ręką na nasze wezwanie. To nie jedna dziewczyna znaleziona w studni, tylko pięć trupów i to bezdyskusyjnie ofiar morderstwa.

– Kto pójdzie? – zapytałem.

– Ja – westchnął ojciec. – Szlak mam już przetarty, śnieg co prawda znowu zaczyna padać, ale nie zapowiada się śnieżycy, niebo jest jasne.

– Naszym zadaniem będzie utrzymać sekret do czasu nadejścia pomocy – podsumował Bernard. – Zamkniemy tu Andrzejka i będziemy pilnować, żeby nikt nie wszedł do domu Klimkiewiczów.

– A ja sprowadzę pomoc na jutro – oznajmił ojciec. – Tym razem będę szedł w nocy, zabiorę pochodnie, lampy i dużo nafty, latarki niestety już nam się wyczerpały.

– Dokładnie – potwierdził Janek. – Sytuacja powinna już być lepsza, śnieg zaledwie prószczy, na pewno w okolicach Jeleniej Góry wszystko zaczyna działać, jak należy, to nie Warszawa, że byle śnieg paraliżuje całe miasto, tutaj jest lud górski i taka zima to żaden kataklizm.

Skinąłem głową, bo to był dobry plan, szczególnie jeśliby wziąć pod uwagę fakt, że będę miał jednego mniej do pokonania, żeby przypieprzyć młotkiem w łeb temu kierowcy pekaesu.

Ojciec wrócił do domu, aby szykować się do wyprawy, poszliśmy razem z nim, zostawiając tylko Bernarda na straży naszej tajemnicy. Matula przyjęła ze zrozumieniem konieczność wyprawy i szybko zaczęła ponownie pakować ojca, działała jak automat wykonujący pewne ruchy, podążający od szafki do szafki i wrzucający kolejne rzeczy do jego wysłużonego plecaka. Znałem ten stan, tak okazywała zdenerwowanie i po części strach.

– Michał, byli u ciebie koledzy – rzuciła suchym głosem.

– Mietek i Przemek? – zapytałem.

– Tak – potwierdziła. – Martwią się o ciebie. Ucieszyli się, że żyjesz, bo podobno od dwóch dni się do nich nie odzywałeś.

– Jak się stęsknili, no proszę – odparłem luźno, żeby nieco zbagatelizować sprawę, nie chciałem, aby matula się martwiła.

Nie skomentowała, tylko nadal sztywnymi ruchami pakowała plecak ojca, co jakiś czas rzucając w jego stronę wymowne spojrzenia. Wiedziała, że trzeba iść, ale dlaczego znowu jej mąż? Co to, nie ma innych chłopów w osadzie?

Janek szarpnął mnie delikatnie za rękaw i ruchem głowy wskazał schody, dając jasno do zrozumienia, że ma mi coś do powiedzenia i nie jest to rzecz przeznaczona dla uszu moich rodziców. Przeszliśmy na górę do mojego pokoju, w którym matula już zdążyła zrobić porządek po moim porannym wyjściu w trybie awaryjnym.

– Idź do chłopaków – powiedział. – Koniecznie.

– Nie mam ochoty z nimi rozmawiać – odparłem. – Zresztą nie mam chęci na jakiegokolwiek rozmowy i spotkania towarzyskie.

– Posłuchaj uważnie. Pójdiesz do nich, zabierzesz flaszkę wódki, którą mam odłożoną jako prezent powitalny dla komendanta milicji. Wyborowa, towar eksportowy, będzie wam smakować. Dobrze ci to zrobi, uspokoisz się trochę.

– Jaki masz w tym interes?

– Po pierwsze wypytaj ich o nastroje w osadzie. To ważne. Pamiętaj, że naszym celem jest wytrzymanie do powrotu twojego ojca z pomocą. I nie wolno ci pisać ani słowa o Alicji i jej rodzicach.

– No nie musisz powtarzać. A po drugie?

– Nie ma pamiętnika Anuli – powiedział, jakby zdawał raport swojemu przełożonemu. – Sprawdziłem cały pokój, także łóżko.

– Czyli o to mu chodziło?

Domyślaliśmy się tego, ale nie ta kwestia teraz królowała w mojej głowie, tylko pytanie jak dokładnie Janek sprawdził pokój mojej narzeczonej. Grzebał w jej po-



ścieli? Zdjął ją z łóżka, żeby sprawdzić, czy zeszyt nie utkwiał pod nią? Grzebał jej w majtkach w poszukiwaniu notatek tymi swoimi milicyjnymi łapskami?

– Najpewniej tak – odpowiedział Janek. – Musi świetnie się orientować w temacie, kto z kim się tutaj kumpluje. Wiedział o pamiętniku, znał wszystkie trzy dziewczyny.

– A jaki ma to związek z moimi kumplami? – zapytałem i chciałem dodać: „ty, glino z lepkimi łapskami”, ale się powstrzymałem.

– Podpytaj ich, gdzie byli tej nocy, zobacz, jak się zachowują. Tylko morderca wie, że Alicja nie żyje, reszta jest przekonana, że ma się dobrze i cały czas świętujecie swoje zaręczyny.

– Nie wiem, czy dam radę – stwierdziłem całkiem na serio. Niby ten syrop na uspokojenie zadziałał, ale cały czas myślałem tylko o jednym, o mojej ukochanej z rozwalonym łbem.

– Rozumiem. – Janek skinął głową. – Jednak pamiętaj, że szukamy potwora, który zabił Alicję. Jeśli uważasz, że to Andrzejek, to niech tak będzie, ale śledczy najpierw musi wykluczyć wszystkie inne możliwości, zanim przedstawi prokuratorowi jedyne słusznego podejrzanego.

– Dobrze. Dawaj tę wódkę.

Przeszliśmy do jego pokoju, wyjął ze swojego plecaka zapakowaną w szary papier butelkę i wręczył mi ją, klepiąc mnie jednocześnie po ramieniu.

– Jakbyś czuł, że nie dajesz rady, to po prostu wstań i wyjdź – poradził. – Chłopakom powiedz, że przypomniałeś sobie, że masz pomóc w czymś mamie.

– Idę.

Wyszedłem szybko, jak najszybciej tylko mogłem, tłumiąc w sobie chęć rozbicia mu tej flaszki na głowie. Ubrałem się, po czym podszedłem do ojca i przytuliłem go mocno.

– Powodzenia – powiedziałem, na co on uśmiechnął się szeroko, chyba tego potrzebował.

Wyszedłem na zewnątrz i skierowałem się do stodoły starego Brysia, gdzie oczywiście spotkałem moich kompanów. Na widok butelki wyborowej aż zagwizdali z wrażenia, bo była to niemała odmiana przy naszej diecie złożonej głównie z bimbrow podkradanego ojcu Przemka. Na przegryzkę była wędzona słonina, kiszzone ogórki oraz pierogi obsmażone na chrupiąco.

Już po pierwszym kieliszku poczułem spływające na mnie rozluźnienie, po drugim było jeszcze lepiej, a po trzecim problem dwóch ciał znalezionych tego ranka zdawał się oddalać.

– Słyszeliście, czy dziś w nocy coś wyło? – zapytałem, bo taki sobie ułożyłem plan na zagajenie, aby wyciągnąć od nich, co robili podczas feralnych zdarzeń.

– Nie, cisza – odparł Mietek. – Wstawałem raz w nocy, bo mnie suszyło, wczoraj też wieczorkiem tutaj piliśmy, sami, we dwóch.

– Jak we dwóch, to nie sami – odpowiedziałem, czując w jego wypowiedzi wyraźny przytyk.

– Dwóch to już nie trzech – stwierdził Przemek. – Nie sądziliśmy, że cię tak szybko ta twoja narzeczona wciśnie pod pantofel. Co to będzie po ślubie, co?

– Dobrze wiecie, co się działo na wczorajszym zebraniu – tłumaczyłem. – Byliście przecież na nim. Musiałem wspomóc ojca i Janka w tym ustalaniu wart przy Andrzejku.

– A my myśleliśmy, że spałeś u Alicji – powiedział Mietek. – Nawet pukaliśmy rano, ale nikt nie odpowiedział.

Zmroziło mnie, bo jak mało brakowało, żeby odkryli prawdę, wystarczyłoby, że któryś nacisnąłby klamkę, gdy drzwi były jeszcze niezamknięte na klucz.

– Stachu by mnie zabił, jakby mnie znalazł u niej rano. – Zaśmiałem się, jednocześnie pokazując gest podrzynanego gardła.

– Prędeż rozwaliłby ci łeb siekierą – stwierdził Przemek rozbawiony, ale patrzył na mnie tak, jakby coś wiedział.

Dziwne, ale nie ruszał mnie ten temat aż tak bardzo, sądziłem, że ta rozmowa będzie cholernie trudna, a emocje jakby ze mnie opadły, zupełnie jakby wydarzenia tej nocy były kolejnym odcinkiem przygód porucznika Borewicza, a nie realnym mordem.

– To wtedy ja bym wył po nocach – dodałem, polewając po kolejnym kieliszku wódki.

– Ja tam wycia nie słyszałem – powiedział Przemek. – Ale mój ojciec coś widział w nocy.

– Co takiego? – zainteresowałem się natychmiast.

– Ktoś łąził po osadzie i to tak chyłkiem, jakby się skradał.

– Wybacz, mistrzu, ale twój ojciec jest wiecznie najebany, a już szczególnie w nocy – stwierdził Mietek.

– No i właśnie kac go obudził i wyszedł przed chałupę w samych kalesonach – powiedział niezrażony przytykiem Przemek. – On, jak się ocknie w nocy, to wychodzi się przewietrzyć, z wojska mu tak zostało. W zimę w środku nocy wychodzili na golas przed koszary i nacierali się śniegiem, żeby rano na pobudkę być

w formie. Tylko że teraz on wstaje, wychodzi, naciera się i wraca pić dalej, taka różnica.

– I co dokładnie widział? – zapytałem.

– Człowieka, tego jest pewien. Żadna tam zjawa czy duch, nie bredził głupot. Mówi, że szedł koło chałupy Klimkiewiczów, ale tak jakby się skradał, co było dziwne, bo to środek nocy przecież. I ja tak pomyślałem, że to może ciebie widział.

– Że co? – zapytałem zaskoczony.

– Wiesz, wychodziłeś może od niej oknem, żeby rano tatuś cię nie znalazł, tak jakoś pomyślałem.

Patrzyłem na nich rozbawionych naszą rozmową, z wypisaną na twarzach radością wzmocnioną wódką. Ja też się śmiałem, choć powinienem przeżywać jedynie smutek, czyż nie?

– Alicja nie żyje – rzuciłem nagle, ale nie zrobiło to na nich wrażenia.

– Zajeżdżiłeś ją? – zapytał Przemek, dolewając wódkę.

– Ona naprawdę nie żyje – powiedziałem, sięgając po kieliszek. – Morderca wszedł w nocy do jej domu i rozwalił jej łeb siekierą, podobnie jak jej matce. A ojca ubił w domu Andrzejka. Też siekierą.

– Co ty pierdolisz, Michał?! – rzucił Mietek, dusząc się wypitą wódką.

– Dlatego takie ważne jest, żeby twój ojciec przypomniał sobie, kogo widział – powiedziałem, patrząc na Przemka. – To może być kluczowe.

– Ty nie żartujesz – stwierdził Przemek.

– Ale przecież nikt nie wie, wszyscy by o tym mówili – nadawał Mietek, czerwieniąc się na twarzy.

– Sytuacja jest taka, że ma to pozostać w tajemnicy – powiedziałem oraz dodałem formułę, która gwarantowała, że nowina rozniesie się błyskawicznie po osadzie. – Tylko nie możecie o tym nikomu powiedzieć.

W stodole zaległa cisza, a nie zdarzało się to zbyt często, zazwyczaj wypełniały ją nasze głosy, młode, nieco zbyt podniesione wskutek wypitego alkoholu, pełne przechwałek i planów na życie. Ale dziś nie było czym się chwalić, a i plany życiowe jakby zostały schowane w piwnicy za drzwiami brutalnej rzeczywistości, niczym podróżna walizka po powrocie z wakacji, po którą sięgniemy może dopiero za rok.

Opowiedziałem im całe zdarzenie ze szczegółami. Czy to był skutek wódki, czy też chęć wygadania się, nie wiem dokładnie. Mój umysł nagle przestał taplać się w żalu i rozpaczy po stracie narzeczonej, bo dałem mu inne zajęcie, tak ubarwiał

opowieść, aby było dla dwójki moich przyjaciół sprawą jasną i bezdyskusyjną, że za wszystkim stoi Andrzejek. Zamiast powiedzieć, że siedział z zakrwawionymi rękami na łóżku, opisałem jego bezczelną minę i że posoka jeszcze kapłała mu z palców. Jego zagubienie i bezradność przedstawiłem jako kiepskie aktorstwo i struganie wariata. Po co to wszystko? Bo mało wiedzieli, jeszcze mniej widzieli i musiałem ich wprowadzić w ten stan, w którym ja znajdowałem się od jakiegoś czasu. Na koniec oczywiście dodałem, że Janek uważa, że to nie on jest mordercą.

– A to kawał podstępno chuja – skomentował Przemek, rozlewając resztkę wódki do kieliszków. – Mało tego, ja uważam, że oni są w zмовie.

– Kto? – zapytałem.

– No Andrzejek i ten twój stryjek – wyjaśnił. – Zaslania się milicyjną legitymacją i broni swojego współnika. Przyjedzie tutaj milicja z Jeleniej Góry, też jego koleś, Andrzejek trafi do aresztu, a ten już użyje swoich sztuczek, żeby go wyciągnąć zza krat, jeszcze zobaczysz, wspomnisz moje słowa.

– Ale jaki by mieli cel? – Mietek skrzywił się, zagryzając ogórkiem. – Gość nagle tu przyjeżdża i morduje dziewczynę?

– A skąd wiesz, co ona tam robiła w tej Jeleniej Górze? – zapytał Przemek. – Może do niego właśnie jeździła.

– On służył w Warszawie – wtrąciłem.

– Służył, czy mówił, że służył? – zapytał Przemek z wyciągniętym w górę palcem. – Tak sobie przyjechał nagle na święta, bez zapowiedzi? Kto tak robi? Telegram by chociaż wysłał.

– Fakt – zgodził się Mietek.

– Na moje, to ona tam jeździła do niego – kontynuował Przemek. – A Andrzejek o wszystkim wiedział i teraz udaje zdziwionego, taki mieli plan. Daj spokój, wierzysz, że rok za nią latał, myślał, że są parą, i nie wyczuł, że mu rogi dorabiała? Bzdura kompletna, większej nie słyszałem.

– Ale dlaczego miały ją zabijać? – zapytał Mietek. – Po jaką cholere? Co mu ta nasza biedna Anula niby zrobiła, co?

– To on jej zrobił – wtrąciłem. – Dziecko.

– Co ty pierdolisz? – Mietek aż się zachwiał na taborecie. – Co to dzisiaj, dzień nowin? I skąd wiesz, że była w ciąży?

– Janek badał ciało – wyjaśniłem. – Sam widziałem, miała zaokrąglony brzuch.

– No widzicie, wszystko trzyma się kupy – stwierdził Przemek. – Przyjechał na święta do niej, może nawet naobiecował, że się ujawni, przedstawi matce, a tu

dowiedział się o dziecku i łup!

– No ale przecież byli na pastercie i jedno drugie traktowało, jakby się nie znali  
– powiedziałem.

– Udawali. – Przemek machnął lekceważąco ręką.

– No dobra, niech ci będzie – powiedział Mietek. – Załóżmy, że Janek i Andrzejek są w zмовie, zabijają i kryją się nawzajem. To co my z tym możemy zrobić? Staniemy na środku wsi i krzyknjemy, że znamy prawdę? Kto nam uwierzy? Nikt, w czoło się popukają.

– Racja – przytaknąłem z westchnięciem.

– Oczywiście, nikt nam nie uwierzy. – Przemek pokiwał potakująco głową, po czym sięgnął za siebie i z siana wygrzebał kankę z bimbrem.

– No to sam widzisz, gównu w takim razie możemy zdziałać – skwitował Mietek.

– Oj nie, drodzy przyjaciele – odparł z szerokim uśmiechem Przemek. – Możemy całkiem dużo.

– Co masz na myśli? – zapytałem, czując jednocześnie, że mój plan zaczyna dziać.

– Ludzie uwierzą tylko jednej osobie – odpowiedział z tajemniczą miną.

– Bernardowi? – zgadywał Mietek.

– Andrzejkowi – powiedział Przemek.

– Ale... – Powiem szczerze, że mnie zatkało, bo już myślałem, że dobrze mi idzie, ale najwidoczniej musiałem zacząć swoją robotę od nowa. Oni mieli puścić farbę w osadzie, aby ludzie zaczęli się burzyć, a nie pleść jakieś banialuki.

– Przemku – odezwał się Mietek. – Jak cię lubię, to chyba lekko cię popieprzyło. Michał wyraźnie mówił, że gość się nie przyznaje. Udaje debila i załamanego po stracie ukochanej, zdradzanego biedaka.

– Nic mi się nie popieprzyło – zaprotestował. – Udaje i ściemnia, bo się nie boi. Przecież jest w zмовie z milicjantem, który ochrania jego dupę, tak?

– No niby tak – odparłem.

– To musimy zrobić tak, żeby zaczął się bać – stwierdził. – Przycisnąć go, przesłuchać na poważnie, a nie słuchać jego jęków i szlochów.

– Janek nam nie pozwoli – powiedziałem. – Nie ma szans. Tym bardziej, jeśli mamy go straszyć, krzyczeć na niego albo go bić. Nic z tego.

– Jacy my? – Przemek chytrze się uśmiechnął. – Mamy przecież od tego ludzi.

– Kogo niby? – zapytałem.

– Całą osadę, koledzy – odpowiedział. – Całą osadę.

Ja też się uśmiechnąłem, bo jednak mój plan wypalił. Nawet nie musiałem zbyt mocno kombinować.

\*\*\*

Dwie godziny później jadłem obiad i czekałem. Zazwyczaj rolnik musi być cierpliwy, bo zasiane ziarno wyda plon za kilka miesięcy, ale mój siew to nie była pszenica, która wszędzie wiosną, a w sierpniu można zabierać się do żniw. Ziarno, które ja zasiałem, było dzikie i nieobliczalne, ale spadło na bardzo podatną glebę, mocno użyźnioną krwią i cierpieniem, a każdy wam powie, że nie ma lepszego nawozu.

Gdy skończyłem posiłek, odwiedziłem Janka i zdałem mu relację ze spotkania z moimi przyjaciółmi. Oczywiście kłamałem jak z nut, informując, że obydwaj spędzili noc u siebie, nie widzieli ani nie słyszeli niczego podejrzanego. W sumie to nie było przecież kłamstwo, bo to ojciec Przemka, a nie oni, widział dziwną postać skradającą się przy domu Klimkiewiczów, a o to, czy moi koledzy zamierzają wzniecić pożar, którego płomienie mają objąć stos z ciałem Andrzejka, nie pytał, więc mówić nie musiałem. Oj tak, będzie się pięknie paliło, a ogień gorący od oburzenia i czerwony od pragnienia zemsty strawi tego mordercę i wypali jego grzechy.

Janka zasmucił mój raport, był wyraźnie strapiony i chodził po pokoju od ściany do ściany, niczym lew we wrocławskim ZOO, którego widziałem zeszłego roku na wycieczce ze szkoły.

– Masz jakiś pomysł, z kim mogła jeszcze rozmawiać? – zapytał, obgryzając kciuk.

– Która z nich?

– Alicja – odparł. – Może spotkały się wieczorem i przekazała komuś te zapiski, one muszą być ważne. Cholernie ważne.

– Nie była z nikim umówiona – stwierdziłem. – Byłem przecież u niej i powiedziałem, że zamierza wertować ten pamiętnik nawet do samego rana, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Ja pierdołę, nic nie mamy – powiedział, nie zatrzymując się nawet na chwilę.

Czy on naprawdę tak się przejmował i denerwował, czy też to była gra, małe przedstawienie, teatr jednego aktora i jednego widza? Przemek mógł mieć rację, byli z Andrzejkiem w zмовіе. Gdy przedstawiał nam swoją teorię tam na górze, z kieliszkiem wódki wyborowej w dłoni, wydawała mi się szalona i nierealna, ale

z każdą minutą poświęconą przeze mnie na analizowanie całej sytuacji stwierdzałem, że może mieć rację, to nie wydawało się znowuż takie głupie.

– Pójdę do siebie, pokombinuję, kto mógłby spotkać się z Alicją – zaproponowałem, bo miałem go trochę dość.

– Jasne, idź – zgodził się.

– O której zmieniasz Bernarda?

– O szesnastej. – Odruchowo spojrział na zegarek. – To za dwie godziny. Jakby ci się coś rozjaśniło w głowie, to przyjdź tam do mnie.

– Okej – odparłem i ruszyłem w stronę drzwi.

– Michał? – To pytanie zatrzymało mnie w progu.

– Tak?

– Czy bardzo byś się zdziwił, gdyby to był któryś z twoich dwóch kolegów?

Pytanie niespecjalnie mnie zaskoczyło, już wcześniej miałem przypuszczenia, że będzie rzucał oskarżenia w tym kierunku, dlatego kazał mi z nimi porozmawiać.

– Ja już tutaj nikomu nie ufam – odpowiedziałem wymijająco.

– Sądzę, że to ktoś z młodych – powiedział, patrząc mi w oczy. – Oprócz was trzech kto jeszcze to mógłby być?

– Niewielu, to mała osada – stwierdziłem. – Jeszcze Marek, ale to kujon, tylko siedzi w książkach, strasznie chce być naukowcem, a właściwie inżynierem i budować silniki. Robert siedzi w szkole sportowej z internatem, przyjechał na święta, ale z nami nie gada, bo nie pije wódki, chce być drugim Deyną czy tam Bońkiem, tylko piłka mu w głowie. Grześ jest w seminarium, też tylko na święta przyjechał.

– Rozumiem – odpowiedział. – Pomyśl o tych twoich dwóch kumplach, czy żaden nie zachowywał się ostatnio dziwnie, a może zaczął za dużo pić, może palić.

– Dobrze – odparłem. – Idę już.

Wyszedłem z pokoju, ale w korytarzu ciągle słyszałem jego kroki, lwa chodzącego po swojej klatce. Nasz przewodnik w ZOO tłumaczył, że tak się dzieje, gdy zwierzę jest zdenerwowane lub głodne.

W swoim pokoju położyłem się wygodnie w oczekiwaniu na to, co się wydarzy. Nie musiałem zastanawiać się nad potencjalnymi przyjaciółkami Alicji, nad ewentualną winą Mietka lub Przemka, nad tym, kto jest mordercą. Ja to dobrze wiedziałem. Mogłem się skupić na całkowicie innej kwestii, o wiele przyjemniejszej. Co zrobię temu skurwysynowi, gdy go dorwę w swoje ręce. A chciałem zro-

bić mu dużo brzydkich rzeczy. Oby mi na to pozwolono. A może nie będę musiał nikogo o to pozwolenie pytać?

\* \* \*

Tym razem to nie Janek szarpał mnie za ramię, tylko moja matula. Musiałem usnąć na łóżku podczas słodkich rozmyślań o zemście. Dobra wódka, syty obiad i zmęczenie zrobiły swoje.

– Michałku, wstawaj. – Jej głos, niby szept, ale wdzierający się przez uszy w każdy zakamarek zaspanego mózgu postawił mnie na nogi.

– Tata wrócił? – zapytałem machinalnie, bo to pierwsze skojarzyłem jako ewentualny powód pobudki.

– Nie, jeszcze nie – odpowiedziała. – Ale coś niedobrego się dzieje.

– Jezu, ile spałem? – zapytałem, widząc, że za oknem króluje czarna noc.

– Jest koło piątej.

– To dobrze, bałem się, że już rano.

– Nie, dopiero wieczór – odpowiedziała, a w jej głosie czułem zmartwienie tak wyraźne, jakby odpowiadała za wszystkie grzechy tego świata.

– Mamo, co się stało? – zapytałem już całkiem przytomnym głosem. – Coś z tatą?

– Nie, tata nie wrócił jeszcze, mówiłam ci.

– Więc o co chodzi?

– Czy Andrzejek zabił te wszystkie osoby? – zapytała poważnym, ale i mocno nasączonym troską głosem.

– Skąd taki pomysł?

– Bo ludzie na wsi mówią, że to on.

– Kto tak mówi? – zapytałem, ożywiając się, czego nie mogłem ukryć w głosie.

– Kryśka Majewska, to jest ciotka Klimkiewiczów – powiedziała, siadając w nogach mojego tapczanu. – Poszła do nich do domu na herbatę, ale nie mogła się dobić, pukała i nikt jej nie otwierał. Wróciła do siebie po klucze, bo ma na wszelki wypadek, po czym weszła do środka.

Tu matula urwała swoją opowieść, ale nie musiała mówić nic więcej, znałem już scenariusz dalszych wydarzeń. Sam go przeżyłem nad ranem, jedyna różnica była pewnie taka, że ciotka Kryśka najpierw weszła do pokoju mamy Alicji, a może nawet i mojej narzeczonej nie odwiedziła? Wybiegła przerażona i tyle.

– Michałku, czy wy wiedzieliście o Alicji i jej matce?



– Tak. Ale nie mówiłem, bo nie chcieliśmy cię martwić i żeby po osadzie się nie rozniosło.

– I czy macie jakieś podejrzenia, kto to mógł zrobić?

– Żadnych – odparłem.

– To niedobrze – zmartwiła się. – Bo ludzie idą po Andrzejka.

– Po niego? – Zdziwiłem się prędkością wydarzeń, ale matula musiała to wziąć za moje naturalne zaskoczenie na wieść, że Andrzejek może być winny.

– Tak.

– I jak to „idą”?

– Zbierają się w świetlicy, wezwali Bernarda na rozmowy i chcą natychmiastowego rozwiązania problemu.

Ludzie zawsze chcieli, aby za nich coś rozwiązano. I nie potrafili czekać.

– Idę do nich – powiedziałem i zacząłem się ubierać.

– Musisz ich powstrzymać. – Złapała mnie za rękę i mocno ścisnęła. – Szkoda, że nie ma ojca, jego by na pewno posłuchali. Może Janek im przemówi do rozumu?

– Kto wie, może – odparłem. – Chociaż, jeśli nie posłuchają Bernarda, to jego tym bardziej.

– Idź i uważaj na siebie – powiedziała, a ja szybko zbiegłem po schodach.

Nie zamierzałem iść po Janka, nic z tego. I tak nie zostawiłby Andrzejka samego, ani mnie na warcie na zastępstwo, bał się, że mógłbym coś tej gnidzie zrobić. I słusznie. Ruszyłem prosto do świetlicy, starając się nie oddychać za głęboko, bo mróz był chyba jeszcze mocniejszy niż poprzedniej nocy i niemal palił w płucach żywym ogniem. Gdy dotarłem na miejsce, dyskusja toczyła się w najlepsze. W półmroku, z którym lampy naftowe nie były w stanie sobie poradzić, Bernard stał za biurkiem niczym na prowizorycznej mównicy i tłumaczył coś zebrany.

– Powtarzam, że musimy poczekać na Antczaka – mówił swoim niskim głosem. – Poszedł po pomoc, bo sami sobie z tym nie poradzimy. To sprawa kryminalna i to poważna, nie żadne żarty.

– Już raz był po pomoc i gówno zdziałał – powiedział ktoś z tłumu, chyba Kozłowski.

– Ale tym razem go nie pogonią, za dużo trupów – przekonywał sołtys. – Milicja natychmiast tu się zjawi.

– Nawet jak wróci, to przecież nie dziś, dopiero jutro.

– Dlatego poczekajmy.

– A jak tej nocy znowu ktoś zginie? – Tym razem to był kobiecy głos, ale w tym półmroku nie widziałem, do kogo należał.

– Andrzejek będzie pilnowany – powiedział Bernard, co wzbudziło szum głosów.

– Powiedz to Stachowi i jego rodzinie – oburzył się Kozłowski. – Tej nocy też był pod strażą i co?

– No i gównu! – krzyknął ktoś z tłumu, odpowiedziały mu głosy wzburzenia.

– To się nie powtórzy – powiedział Bernard. – Warty będziemy trzymać nawet po kilka osób, jak tylko znajdą się chętni.

– A tam, pierdolenie takie. – Poznałem zachrypnięty głos Kazika, ojca Przemka. – Zajębać skurwysyna i tyle.

– Tak jest! – krzyknął ktoś i znowu zawrzało.

– No tak nie można, ludzie – protestował sołtys. – To przecież nasz sąsiad, od dziecka go znacie. Sierota na dodatek, jak mu matka zmarła dwa lata temu.

– A ja go widziałem! – Nie ustępował ojciec Przemka. – W nocy z chałupy wyszedłem i widziałem, jak szedł do Klimkiewiczów. Skradał się. Myślała menda, że go nikt nie zobaczy, ale miał pecha.

– Kazik, naprawdę żeś go widział? – zapytał Kozłowski.

– Jak Boga Kocham! – Kazik zdjął czapkę i przycisnął do serca. – Jak was teraz. Dziwne mi się zdało, co ktoś w nocy na mrozie po wsi łązi. Dobrze mu się przyjrzałem. To był on!

Może panował półmrok, ale uśmiech Przemka stojącego obok własnego ojca był szeroki i jasny, dobrze go widziałem. Oj tak, zrobił dobrą robotę, nastawiając odpowiednio ojca. Co on tam po pijaku widział, kto to wie, może nawet i Andrzejka.

– Skurwysyn! – skomentował Kozłowski, co spotkało się z ciepłym przyjęciem zgromadzonych.

Powinienem tam teraz stanąć obok Bernarda i ze łzami w oczach opowiedzieć o tym, jak znalazłem ciało swojej narzeczonej, jak bardzo miała rozwaloną czaszkę i postawić tym samym kropkę nad i, ale nie mogłem. Co moje, to już zrobiłem.

– Zamordował Anulę, Iwonkę, Alicję i Danutę, jeszcze Stacha na dodatek – wyliczał ojciec Przemka. – A my co, będziemy jeszcze pilnować, żeby mu się dobrze spało?

– Niedoczekanie – odpowiedział mu Kozłowski.

– Na widły go – zawtórował ktoś z tłumu.

– Ludzie, przecież za to do więzienia pójdziecie – protestował Bernard, sądząc, że przemówienie do zdrowego rozsądku jest w stanie uratować sytuację.

– Nikt nie pójdzie siedzieć – usłyszałem głos Kazika, który poczuł chyba powołanie do bycia przywódcą tłumu. – Bo co, ktoś powie, co się stało? Przecież nikt tu Andrzejka zabić nie chce. On się z żalu, biedaczek, powiesił. Jeśli winny, to z wyrzutów sumienia, a jeśli nie, to z tęsknoty za Anulą.

– Prawda – podłapał ktoś.

– Dawać linę – dodał inny.

– Idziemy! – Kozłowski wstał i spojrzął po ludziach, niczym generał lustrujący zastępy swej armii tuż przed uderzeniem na pozycje wroga.

Głosy się podnosiły, zgromadzeni zbijali się w małe grupki i dyskutowali coraz głośniejsze, bo w ogólnym gwarze nie dało się rozmawiać po cichu.

– Michał, zabiją go. – Bernard podbiegł do mnie i złapał mnie w ramiona. – Biegnij ostrzec Janka. Ma broń?

– Jezu, nie wiem – odpowiedziałem.

– Jak ma, to niech strzeli w powietrze albo coś, jak już przyjdą – tłumaczył mi rozgorączkowany. – To przecież zwyczajni ludzie, opamiętają się. Muszą się opamiętać!

Skinąłem potakująco. Tym razem nie wszedł mój ojciec, aby uratować sytuację, tłumowi nikt nie był już w stanie powstrzymać. Kozłowski i Kazik stali wspólnie z zaciśniętymi pięściami i zaciętymi twarzami. Bernard nie mógł ich powstrzymać, jego tubalny głos ginał we wrzawie wypełniającej świetlicę. Równie dobrze mógł stanąć na środku naszej rzeczki po wiosennej burzy i próbować kijem powstrzymać jej wezbrane wody.

Ja szedłem do drzwi, potrącany przez kolejnych uczestników spotkania. Nie musiałem już niczego robić, zachęcać albo dopingować do działania, swoje zrobiłem, pierwszy kamyczek lawiny został przeze mnie trącony i tej siły nie mogłem ani powstrzymać, ani nią kierować. Ale czy aby na pewno przeze mnie? Przecież to nie ja wrzuciłem Anulę do studni, nie moje pięści spadały na twarz Iwonki, to nie w moich dłoniach była siekiera, gdy pękały niczym dorodna dynia głowy Alicji i jej matki, to nie ja patrzyłem, jak Stachu zamienia się pod wpływem siarczystego mrozu w agonalny posąg. To nie ja.

Gdy opuściłem świetlicę, zaskoczył mnie mróz, bo w salce mimo zimy było gorąco, może od nastroju tam panującego, wiszącego nad zebranymi pragnienia śmierci i żądzы zemsty. Odległość dzielącą mnie od domu Andrzejka pokonałem w kilka minut i wszedłem od razu do kuchni, w której siedział Janek i pisał coś w swoim notesie.

– Odpocząłeś? – zapytał mnie z uśmiechem, ale widać było po jego twarzy, że jest zmęczony całą sytuacją. – Ten cały czas śpi. – Wskazał głową pokój Andrzejka.

– Janek, zaraz przyjdą tu ludzie z osady. – Musiałem go ostrzec, chociaż na rękę by mi było, żeby tłum zaskoczył go i nie dał mu czasu na przygotowanie obrony.

– Czyli jednak – odpowiedział z westchnieniem. – Myślałem, że jeszcze do jutra wytrzymają. Bernard zdążył mi powiedzieć, że ciotka znalazła te ciała w domu, ale zaręczał, że wszystko załagodzi.

– Nie udało mu się.

– Cholera.

– Masz broń?

– Nie no, co ty – odparł z uśmiechem. – Opuszczając jednostkę, musiałem ją zdać, przydzielił mi nową w Jeleniej Górze. Zresztą co miałbym robić, strzelać do nich?

– Myślałem, że w powietrze, postraszyć tylko, to by ich otrzeźwiło – powiedziałem, czując jednocześnie ulgę, że ta opcja jednak odpada.

– Tłum jest żądny krwi – stwierdził ponuro. – Ja myślę, że nawet broń by ich nie przstraszyła. Nie wiem, co robić, musimy wytrzymać do jutra, do powrotu twojego ojca.

– Bernard próbował im to wytłumaczyć, ale bezskutecznie.

– Kto jest prowodyrem?

– Kazik i Kozłowski.

– Ci dwaj. – Janek wstał i zaczął chodzić po kuchni. – Zazwyczaj najlepszym sposobem na poradzenie sobie z grupą w takich okolicznościach jest wyeliminowanie lidera, ale tutaj nic nie zrobimy, przecież ich nie pobiję.

– Jesteś milicjantem, może cię posłuchają – podrzuciłem, zdając sobie sprawę z mizerności tego pomysłu.

– Dla nich jestem kiepskim milicjantem, złapałem mordercę, ale nie chcę go wydać. – Wskazał głową na drzwi do pokoju Andrzejka. – Chronię tego bydlaka w ich mniemaniu i jeszcze śmiem twierdzić, że może być niewinny. W dodatku oni nie ufają wymiarowi sprawiedliwości i wcale im się nie dziwię. Pewnie wierzą, że tego Andrzejka by skazano, ale naczytali się i nasłuchali, ile to trwają procesy w naszych sądach, a tutaj sprawiedliwość jest na wyciągnięcie ręki. To jest jak z głodem, jeśli chce ci się jeść, to nie chcesz słuchać o wybornej uczcie jutro, wolisz talerz bigosu dziś.

– To co zrobisz?

– Postaram się przemówić im do rozumu – powiedział.

Założył na siebie płaszcz i sprawdził, czy ma legitymację w wewnętrznej kieszeni. Stanął w kuchni i rozejrzał się po wszystkich kątach, jakby szukając broni, która dodałaby mu powagi, ale w końcu spojrzął na mnie.

– Co mu chcą zrobić? – zapytał.

– Powiesić.

– No tak, częsty wybór, hańbiąca kara – powiedział bardziej do siebie niż do mnie. – Chodźmy zatem stawić czoła młynom sprawiedliwości.

Ruszyłem za nim, spodziewając się przed drzwiami tłumu jak z opowieści o Pięknej i Bestii. Dzierżącego pochodnie i widły, wzywającego do oddania przetrzymywanego we własnym mieszkaniu mordercy. Niewiele się pomyliłem, bo i kilka pochodni się znalazło, chociaż parę osób trzymało lampy naftowe, a może ze dwie latarki rzucające słabe światło. Na czele stał Kazik, ojciec Przemka, i Kozłowski z grubym sznurem zwiniętym w ósemkę i opartym na lewym barku. Wyglądał, jakby wybierał się zdobywać trudno dostępny szczyt, a nie w celu powieszenia na najbliższym drzewie swojego sąsiada.

– Janek, wiesz, po co przyszliśmy – powiedział Kazik spokojnym głosem, w którym jednak dało się wyczuć napięcie.

– Wiem – odpowiedział milicjant, obok którego stanął właśnie Bernard.

– Nie brońcie go, nie dacie rady – dodał Kozłowski.

– Ja nie zamierzam, ludzie kochani. – Janek podszedł dwa kroki w ich stronę. – Chcę was tylko prosić o opamiętanie, bo ta krew splami wasze ręce.

– O nie – zaprzeczył Kazik. – Ona już się rozlała i nie nasze ręce zbrukała, tylko tego tam. – Wskazał palcem na dom Andrzejka. – Oko za oko, ząb za ząb. I tak za długo czekaliśmy.

– Tak jest, jedną noc za długo, a może i dwie. – Kozłowski również podszedł o krok i stanął niemal twarzą w twarz z Jankiem. Wyglądali jak bokserzy przed walką, patrzyli sobie wyzywająco w oczy.

– Jeszcze jedna noc, o tyle proszę – powiedział mój stryjek.

– Antczak jutro wróci z pomocą – dodał Bernard.

– A jak nie wróci? – zapytał Kozłowski. – Mówił, że cała Polska pod śniegiem, a tu znowu pada. – Wskazał palcem na niebo, z którego leniwie spadały drobne śnieżynki.

– Wróci – stwierdził Janek z pewnością.

– Odsuń się – poprosił go spokojnie Kazik. – Po dobroci radzę. Co będziesz za niego karku nadstawiał, po co ci to? My nikogo niewinnego skrzywdzić nie chcemy, ty milicjant jesteś i wiem, że byś chciał, co by to wszystko było zgodne z paragrafami, ale sprawiedliwość na tym świecie była dużo wcześniej niż wszystkie kodeksy karne.

Spojrzałem na zebranych mieszkańców, wyłowilem spośród nich twarze moich przyjaciół, zaciętą i żądną emocji Przemka oraz spokojną, nieco nawet przestraszoną Mietka. Czy jeśli Bernard i mój stryjek się zaprą, to czy ktoś spośród moich sąsiadów stanie w obronie Andrzejka? Wątpliwe.

– Sami na siebie ściągacie kłopot. – Janek nie ustępował, chociaż jego podniesiony głos świadczył dobitnie o tym, że kończą mu się argumenty. – Tu nie przeciw paragrafom występujecie, ale i przeciw prawu boskiemu, bo przecież człowieka trzeba najpierw osądzić, dopiero potem skazać. Każdemu należy się uczciwy proces. Nawet wam taki będzie przysługiwał po tym, co tu zrobicie.

– A co niby zrobimy? – Kazik rozłożył ręce. – Przecież on sam się powiesi.

Janek pewnie miał jeszcze kilka gróźb, które by przemówiły do tego tłumu, ale nie zdążył ich użyć. Może i dobrze, bo zaczynałem się obawiać, że zaraz emocje opadną, pochodnie wygasną i wszyscy wrócą do domów, a nie o to przecież chodziło.

W ulotnej chwili ciszy powstałej między przekrzykiwaniem się Janka i Bernarda z Kozłowskim i Kazikiem dał się słyszeć brzęk tłuczonego szkła dobiegający ewidentnie z tyłu domu.

– Ucieka – rzucił z gniewem w głosie Kozłowski.

– Niedoczekanie! – krzyknął ojciec Przemka. – Łapać skurwysyna!

Tłum ruszył. Teraz już byłem pewien, że tego biegu wydarzeń powstrzymać się nie da, że tutaj jedynie cud, gdyby się jakiś wydarzył, nagle przybycie batalionu wojska lub też oddziału milicji mogłoby zmienić los, który czekał Andrzejka, zatrzymać rękę ludzi pełną fal wyciągniętych rąk i zaciśniętych pięści.

Jednak z cudami tak już jest, że zdarzają się wtedy, gdy ich nikt nie oczekuje, a ich świadkiem są nieliczni.

Janek rozpostarł ręce, Bernard zakrzyknął: „Stać!”, ale równie dobrze mogliby być dwoma ulepionymi ze śniegu bałwanami na drodze lawiny pędzącej ze Śnieżki. Mnie najbardziej zadziwił dźwięk, jak wydał ten tłum, a właściwie jego brak, bo rzeka spragnionych sprawiedliwości wezbrała w ciszy przerywanej głosińszymi szeptami, nikt nie krzyczał z oburzenia, nie padały groźne hasła typu „Łapać go”, oni po prostu ruszyli jak stado owiec zapędzone do zagrody przez sprawnego owczarka.

Ja nim byłem? Chyba nie, zresztą nie czas był na takie rozważania, tutaj działa się sprawiedliwość, nie dziejowa, epokowa, ale ta mała, nasza lokalna, ważna dla kilkudziesięciu osób, ważniejsza niż podziały władzy, przesunięcia granic czy wojenne reparacje. W tej chwili morderca mojej narzeczonej, człowiek, który siekierą rozrąbał wszystkie kalendarze, z których mieliśmy zerwać wspólnie z Alicją kartki, uciekał, a ja chciałem widzieć go martwego, wiszącego na gałęzi, podrygującego na linie, jakby wytrzępywał ze spodni resztki swojego życia.

I tak się miało stać, musiało do tego dojść, bo widać go było aż za dobrze, jakby świat się przeciw niemu sprzyścił, bo przestało prószyc, chmury się rozstąpiły i księżyc wskazał nam uciekiniera, zazwyczaj błądy i skąpiący ludziom swego światła, tym razem wszedł w komitywę ze śniegiem, białym niczym twarz trupa, i stał się sceną niezdarnej ucieczki Andrzejka, potykającego się w śniegu, zapadającego się w nim po kolana. Jak mówił mój ojciec nie dalej jak wczoraj? Droga była ciężka, bo śnieg z wierzchu zmrożony, ale noga się zapada. I tak też się działo.

W tym momencie zrozumiałem, że nic tak nie wzmaga sił goniącego, jak widok ofiary bez szans na uciezkę. To muszą czuć wilki polujące watahą w świetle księżyca i podobnie jak one my też mieliśmy przed sobą osłabionego przeciwnika, zresztą jakiego przeciwnika, dziś, w tej chwili, na tym śniegu w trupioblądnym blasku księżyca był ofiarą. Jeszcze poprzedniej nocy to on polował, w jego żyłach krążyła krew drapieżnika, ale tamte czasy minęły, dziś polowaliśmy na wczorajszego myśliwego.

Hierarchia stada mnie zadziwiła, bo mimo iż Kazika i Kozłowskiego wielu mogło wyprzedzić, nikt nie wysforował się przed nich nawet na krok. To ojciec Przemka finalnie dopadł Andrzejka jako pierwszy, słabnącego, potykającego się, panicznie oglądającego się za siebie. I dobrze, wiedział, co go czeka, umierał ze strachu, wertował w głowie scenariusze, każdy gorszy od poprzedniego, to była pierwsza część wymierzonej kary. Gdy pchnięty w plecy w końcu przewrócił się na dobre, mogliśmy zacząć ostatni etap tego, co było konieczne.

– Nie! – Janek podbiegł i zaczął protestować, ale w tym słowie dało się wyczuć olbrzymią bezradność, chyba nawet rezygnację. Pewnie chciał mocniej postawić się osadzie, jestem tego pewien i szanuję jego odwagę, ale dostał pięścią w twarz. Nie widziałem, kto go uderzył, ale to był silny cios, aż podniósł chłopaka w powietrze. Padł bezradnie w śnieg, łapiąc się od razu za twarz. Bernard uklęknął obok niego.

– Ludzie, opamiętajcie się! – zakrzyknął sołtys, ale równie dobrze mógłby wzywać rozpędzony pociąg, aby ten natychmiast się zatrzymał.

- Zapłacisz nam za wszystko! – krzyknął Kozłowski.
- Łapcie go, chłopcy – zarządził Kazik. – I pod jesion z nim.
- Tak jest, dawać go!
- Trzymajcie!
- A masz, skurwysynu!
- Nie kopcie go!

Spojrzałem na leżącego w śniegu Janka, powoli próbującego wstać. Trzymał przy twarzy garść śniegu, która szybko nabierała czarnej barwy od płynącej z nosa krwi. Tej nocy wszystko było czarne, nie tylko krew, ale i nasze sumienia i umysły, jednak godziliśmy się na to. Bernard klęczał obok niego, pomagał mu zatamować krwawienie, podając szalik zdjęty z szyi.

- Nic nie zrobimy – powiedziałem, patrząc na nich. – Powieszą go.
- Jakby na potwierdzenie moich słów noc wypełniły podniesione krzyki.
- Będziesz wisiał, skurwysynu!
- Pod jesion!
- Będziesz się smażył w piekle!

Głosy cichły, szli pod jesion. Rozradowani, jakby właśnie wyszli z pasterki, a nie schwytali swojego sąsiada, którego znali od dziecka.

- Idź za nimi – powiedział Bernard. – Musi być świadek.
- Ty tes – dodał, zasłaniając nos Janek. – Sycy.

Pomogłem mu wstać, otrzepaliśmy go ze śniegu, podniosłem czapkę, która mu spadła po uderzeniu. Ruszyliśmy, podtrzymując go pod ramiona, bo co jakiś czas tracił równowagę. Nie musieliśmy się śpieszyć, tłum nie poruszał się szybko, napawali się chwilą, karmili strachem ofiary, spijali ją z jego przyspieszonego oddechu, łkania i łez płynących po policzkach, z błagań o litość i zapewnień o niewinności.

- Niewinny?! – Rozpoznałem głos Kazika.
- To dlaczego uciekałeś, co? – zapytał Kozłowski.
- Niewinny, dobre sobie! – Ponownie Kazik. – Zdechniesz jak pies, jak Judasz.

Szliśmy pod jesion, który stał nad brzegiem naszej rzeczki. Dokładnie w tym miejscu w gorące dni starsi chłopcy robili zaporę z desek, kamieni i czego tylko się dało, aby zwolnić górski potok i utworzyć miejsce do kąpania. Jak wszystko dobrze zostało pomyślane, to wody było i po szyję. Nad brzegiem stał zaś rozłożysty jesion, na którego konarze montowaliśmy linę, aby móc po rozpędzeniu się



na brzegu wyjechać na niej nad środek rzeczki i spaść do wody wśród śmiechu pozostałych.

Dziś jednak nikt się nie śmiał, choć ja akurat się cieszyłem, że doszło, do czego doszło, że stoimy tu i teraz, i zaraz będziemy wieszać tego skurwysyna. Taki był mój plan na zemstę i muszę powiedzieć, że mimo iż to nie ja trzymałem Andrzejka, nie moimi rękami miał być powieszony, to odczuwałem dużą satysfakcję, może nawet podwójną, bo nikt mnie o ten czyn obwiniać nie mógł.

Wszystko działo się szybko, sądy w całym kraju mogły nam pozazdrościć sprawności w oskarżeniu, skazaniu i wykonaniu wyroku śmierci. Nikt tu nie trwonił zbędnych minut na mowy obrońców, dowody każdy miał w głowie, a wyrok już przecież dawno zapadł. Szkoda czasu, trzeba zabić człowieka i wracać do domu na kolację.

Sznur już powędrował na gałąź, wprawnie ciśnięty przez Kazika. Kozłowski jeszcze sprawniej chwycił jego koniec i zaplątał pętlę, pilnując, aby ta dobrze się przesuwiała, co sprawdził kilkoma posunięciami w górę i dół. Dobrze zrobiona robota, zdawał się mówić, kiwając głową do reszty. Ktoś podstawił spory pieńek do rąbania drewna przytargany z sąsiedniego podwórka i oto szubienica gotowa.

Spojrzałem na Janka i Bernarda, oglądali to wszystko w milczeniu, bo i cóż mieli robić, było ich tylko dwóch przeciw kilkudziesięciu osobom, które miały swój pomysł na rozwiązanie problemu i sumiennie go realizowały.

Gdy przeniosłem wzrok na szubienicę, Andrzejek już stał na pieńku, nogi miał związane w kostkach zielonym szalikiem, a czym związali mu ręce za plecami, to nie wiem, nie widziałem ze swojego miejsca. Kazik założył mu na szyję pętlę, pieczołowicie sprawdzając, czy dobrze przylega, nie opiera się na kołnierzu płaszcza, jak ojciec wyprawiający swego syna na sanki i wiążący mu na szyi szalik zrobiony przez babcię.

Byłem ciekaw, czy ktoś pokusi się o przemówienie, może coś na kształt odczytania wyroku, albo chociaż pozwoli mu coś powiedzieć, ale nie, słychać było tylko jego szloch. Chłopak stał na pieńku niczym pomnik wszystkich smutków tego świata, aż Kazik w końcu kopnął pieńek, a drzewo zadygotało pod ciężarem wisielca miotającego się na sznurze, zasypując stojących pod nim śniegiem spadającym z konarów.

Andrzejek trzepotał się jak ryba wyciągnięta z wody i jak ona niewiele się odzywał. Po nocy rozchodził się jedynie charkot, ale coraz cichszy i słabszy, aż ucichł w końcu, a ciało i drzewo przestały drgać.

Tej nocy Mara mogła pić do woli z kielicha cierpienia. Tłum złakniony sprawiedliwości został nakarmiony.

Chłopak wisiał niczym wór pełen winy.

Czy miałem wyrzuty sumienia? Mówi się, że źli ludzie go nie mają, dlatego złe czyny nie burzą im snu, ale to nie tak. Ja czułem, że zrobiliśmy coś dobrego, a w takich przypadkach sumienie grzecznie sobie śpi.

## ROZDZIAŁ 28

### Żal

Rok 2023

Emerytowany komisarz Jan Ryś wachlował się gazetą podniesioną przed chwilą ze stołu z nadzieją, że ta czynność da mu trochę ochłody. Nie czuł się dziś najlepiej, a lato postanowiło pobić rekord wszechczasów w kategorii wysokości temperatury w Jeleniej Górze. Jak podawało lokalne radio, na Śnieżce wynosił on dwadzieścia pięć dwie dziesiąte stopnia Celsjusza i został ustanowiony drugiego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. Dwa lata po zimie stulecia.

– Czterdzieści trzy razy – powiedział, nie przestając wachlować się gazetą.

– Co? – zapytał komisarz Krzysztof Podyma.

– Od tamtej nocy liczyłem każdego breloka, jakiego znalazłem na służbie, lub do którego zostałem wezwany. Było tych wisielców dokładnie czterdziestu trzech. Mężczyźni, kobiety, nawet dziecko. Razem z Andrzejkiem to czterdzieści cztery.

– Czterdzieści i cztery – powiedział podkomisarz Łukasz Sukiennik. – „A życie jego – trud trudów, a tytuł jego – lud ludów”.

– Nie przykładam takiej wagi do liczb – odparł Ryś. – Rozmawialiśmy już zresztą o tym, o tej całej wierze w horoskopy, przepowiednie, wróżby. Nie liczyłem topielców, postrzelonych, spalonych czy zadźganych, tylko powieszonych i żaden nie zrobił na mnie takiego wrażenia jak właśnie Andrzejek, nawet i to dziecko.

– Pierwszy raz najlepiej się pamięta – stwierdził Podyma. – Ja swojego debiutanckiego breloka też nie zapomnę. To był akurat ksiądz, powiesił się na dzwonnicy przy swoim kościele. Sina szyja tak mocno odcinała się od koloratki, że do dziś, widząc jakiegokolwiek duchownego, przypominam sobie właśnie tamtego.

Jan Ryś pokiwał głową i odłożył gazetę, tym samym poddając walkę z morderczym upałem. Spojrzał na swoich młodszych kolegów, usiadł za stołem i sięgnął po butelkę z wodą mineralną.

– Chłopak jak chłopak – powiedział, gdy już upił kilka łyków wprost z butelki. – Widziałem gorszych. Ten był siny, zamrożnięty na kość. Zastanawialiśmy się nawet, czy powodem śmierci nie było wyziębienie, ale patolog później wykluczył taką możliwość, ewidentnie stwierdził zagardlenie, a dokładnie powieszenie. Obrażenia szyi wskazywały na to, że trochę walczył, ale sami wiecie, że po tym jak człowiek zrobi „hop”, to ratunku już nie ma.

– Wykluczyliście udział osób trzecich? – zapytał Podyma.

– Tak.

Sukiennik sięgnął do swojej teczki i wyjął z niej kilka zadrukowanych kartek, po czym podał je swojemu partnerowi, a ten przekazał emerytowanemu komisarzowi.

– Jacek Pawlikowski – oznajmił Podyma. – W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym młody lekarz na praktykach, a dziś profesor na Uniwersytecie Medycznym we Wrocławiu. Napisał wiele prac naukowych, a jedna z nich stanowi dziś materiał obowiązkowy dla studentów, pomijając język naukowy, dotyczy spotykanych na ciałach osób powieszonych śladów wskazujących na ewentualny udział osób trzecich. Przypadkowi Andrzeja Kmiecika, nazywanego w osadzie Andrzejkiem, poświęcił cały podrozdział. Napisał wyraźnie, że denat miał otarcia na nadgarstkach, co milicja zignorowała pomimo ujęcia tego w raporcie patologa.

– Niczego nie zignorowano – odparł natychmiast Ryś.

– To jak wytłumaczy pan te otarcia? – nie ustępował Podyma.

Jan Ryś spojrzął na komisarza Archiwum X z uznaniem i podziwem. Widać było, że młodszy kolega mu zaimponował, a wszyscy wiedzą, że starego policjanta nie jest łatwo czymkolwiek zaskoczyć.

– Pierwszy raz muszę przyznać – powiedział – że wasza renoma nie jest nawet odrobinę przesadzona. Nigdy nie słyszałem o takim człowieku, pewnie nie jest łatwo dotrzeć do tego typu informacji.

– Nasz praca to głównie archiwa i pozyskiwanie informacji, których nie było w momencie popełnienia przestępstwa – odpowiedział mu bez cienia dumy w głosie Podyma. – Dysertacja została wydana dziesięć lat temu. Dużo daje ponowne rozpytanie i przesłuchanie świadków. To ostatni etap naszej pracy, najpierw musimy podążać drogą śledczych, którzy wtedy żyli sprawą, poznać jej całokształt, wytyczyć ponownie ścieżki, którymi poszli, odnaleźć te, którymi iść nie chcieli lub też je przeoczyli.

– A za tak stare przypadki bierzemy się rzadko – dodał Sukiennik. – Większość osób biorących udział w wydarzeniach sprzed czterdziestu lat po prostu nie żyje.

Jeśli jednak do nich dotrzemy, to pamiętają wszystko doskonale, zbrodnia tworzy w ludzkiej pamięci straszne wyrwy.

– Wielu rusza sumienie. – Podyma wstał i sięgnął po kolejną butelkę z wodą do skrzynki stojącej przy drzwiach. – Kiedyś nie chcieli mówić, bo się bali, dziś powód strachu przestał istnieć, a często nawet nie pamiętają, dlaczego wtedy nie chcieli rozmawiać z dochodzeniowcami.

– Obecnie jesteśmy na etapie odtwarzania zdarzeń – poinformował go Sukiennik. – Musimy uznać, czy ruszamy dalej.

– A ten szczegół z otarciami na nadgarstkach może być istotny w tej kwestii – zakończył ich wypowiedź Podyma.

– Budzi ciekawość, co nie? – Ryś dopił swoją wodę, ale czuł, jakby każdy łyk zyciodajnego płynu tuż po minięciu jego warg natychmiast pojawiał się na czole w postaci ciężkich kropeł słonego potu.

– Oczywiście. – Podyma zdjął okulary i zaczął je przecierać podkoszulkiem. – Wspominał pan, że wiele osób uważało Andrzejka za sprawcę morderstw, może pokusili się o bardziej zdecydowane działania niż tylko domniemywanie, może doszło do samosądu? Upozorowania samobójstwa?

– A milicjant zaprzyjaźniony z mieszkańcami osady, sprawcami tego czynu w tym przypadku, mógł pominąć raport lekarza sądowego, tak? – Ryś spojrział pytająco na Sukiennika i przeniósł wzrok na drugiego z policjantów.

– Musimy wszystko wykluczyć, także mataczenie – odparł kompletnie niezrażony Podyma.

– Rozczaruję was, koledzy – odpowiedział Ryś. – Ślady na nadgarstkach były, a i owszem, jednak wcale ich nie zignorowaliśmy. Zostawiły je moje kajdanki i to nie podczas śmierci klienta, ale dzień wcześniej, gdy oficjalnie go aresztowałem na oczach zebranych w świetlicy.

– Czyli to jednak samobójstwo? – Podyma zanotował coś w swoim notesie.

– Wykluczyłem udział osób trzecich. – Emeryt pokiwał głową w odpowiedzi na pytanie. – Zresztą, nie chodzi tutaj tylko o ten ślad na nadgarstkach, może tajemniczy dla lekarzy sądowych, ale dla mnie oczywisty.

– A o co jeszcze? – zapytał Sukiennik.

– Śnieg – odparł Ryś. – Ja go zdejmowałem z drzewa, nie sam, oczywiście, miałem pomoc, ale pod wisielcem nie było żadnego zdeptanego śniegu. Pojedyncze ślady wiodły ze wsi pod jesion, dodatkowe na sąsiadujące podwórko, z którego przytoczył pieńek, który posłużył za podstawkę dla nóg.

– Zachowały się jakiegokolwiek zdjęcia tego miejsca? – Podyma spojrział na niego pytająco.

– Nie – odpowiedział krótko stary policjant. – Nie uznałem za konieczne ich robić, a nawet gdyby tak było, to nie mieliśmy już aparatu z filmem. Po przybyciu ekipy dochodzeniowej nie było sensu niczego fotografować.

– Dlaczego? – zdziwił się Sukiennik.

– Bo jesion ścięto.

– Dlaczego? – Podyma spojrział na niego znad swojego notesu ze szczerym zdziwieniem pomieszanym z zaskoczeniem.

– Tam mieszkali ludzie z Podkarpacia – wyjaśnił Ryś. – A to bardzo przesądny ludek. Gdyby on poszedł powiesić się gdzieś na skraj lasu, to i nikt by się nie fatygował, ale wybrał drzewo niemal w środku wsi. W lecie urządzano na nim huśtawkę dla dzieci. Nie mogli sobie pozwolić, żeby taki skalany przez samobójczą śmierć jesion przyciągał złe moce czy też tę ich osławioną Marę, dlatego też po prostu go ścięli, po czym spalili. Jak zeszyły śniegi, to przyjechał ksiądz z Wnyków i poświęcił ziemię, gdzie ten nieszczęsny jesion rósł.

Podyma coś zanotował, spojrział na swojego kolegę z wydziału i podniósł kubek po kawie.

– Napijemy się może jeszcze kawy, co, panie komisarzu? – zaproponował.

– Z przyjemnością, chociaż w taki upał to wolałbym mrożoną.

– To niezdrowe dla serca, takie schładzanie – odparł Podyma, podając trzy kubki Sukiennikowi, który każdego dnia robił kawę dla nich wszystkich, jedną rano i drugą, jeśli się zasiedzieli.

– Im dłużej człowiek żyje, tym bardziej żałuje tych wszystkich rzeczy, których nie robił, żeby właśnie starości doczekać – westchnął Ryś, przeciągając się. – Ale doczekał, a nie każdemu było dane.

Gdy kawa wylądowała na stole, każdy złapał za swój kubek, Podyma otworzył ponownie swój notes i wykreślił jeden z punktów długiej listy zanotowanej równo na kartce w kratkę.

– Dużo tam tego zostało? – zapytał Ryś.

– Dziś niestety nie skończymy – odpowiedział komisarz. – Ani nawet jutro.

– Rozumiem. – Ryś pokiwał głową, upijając ostrożnie łyk kawy. – Jednak historia powoli zmierza ku końcowi. Na szczęście.

– Znudziliśmy się panu, panie nadkomisarzu? – Zaśmiał się Sukiennik.

– Gdzie tam! – Ryś machnął ręką. – Polubiłem was, ale za bardzo zaczyna mi się tutaj podobać, nie sądziłem, że się tak stęskniłem za tą robotą. Kiedyś zatrzy-

maliliśmy takiego cwaniaczka, co obrabiał piwnice w blokach, a wszystko przez donos emerytowanego dzielnicowego. Miał dziewięćdziesiąt lat, a przyskrzyił gościa. Miał skitraną kłamkę, pewnie z jakiejś rekwizycji jeszcze i po prostu strzelił temu złodziejaszкови w nogę. Przygotował pułapkę w piwnicy, rozsiał plotkę, że trzyma w niej nowy telewizor dla wnuczka, a potem zamknął się w niej i czekał. W nocy gość przyszedł na robotę i zarobił kulkę w nogę. Dziadek wiedział, że nie czeka go nic miłego, ale zapytał mnie wtedy, czy widziałem kiedyś psa, co umarł jako kot? No nie, psem jest się jednak do końca życia.

– Dobrze! – Sukiennik zarechotał.

– Dlatego fajnie mi się tu z wami siedzi, ale co za dużo, to niezdrowo – stwierdził Ryś. – Natomiast całe szczęście, że kończymy, bo za dużo tam było tych trupów, zdecydowanie za dużo.

– Bo to jeszcze nie koniec? – zapytał Podyma.

– Ja nie wiem, kiedy nastąpiło coś, co można było uznać za koniec. Naprawdę trudno stwierdzić. To ciągnęło się za wszystkimi uczestnikami latami. Tak jak za mną ten wisielec i liczenie breloków. Mam takiego kolegę, strażak. Specjalizuje się w nurkowaniu i wylławianiu splawików, znaczy topielców. Zapytałem go kiedyś przy wódce, czy mu to nie ryje psychiki, gdy wylławia młodą dziewczynę, martwą, musi ją złapać, przetransportować na brzeg i tak dalej. Sam miał wtedy z dwadzieścia pięć lat, bardzo wesoły, roześmiany człowiek, rodzinny. I wiecie, co mi powiedział?

– Co? – Podyma uniósł kubek z kawą do ust.

– Że absolutnie go to nie rusza. Taka praca, nawet cieszy się, że znalazł taką dziewczynę, że rodzina będzie mogła ją pochować, a nie czekać rok, aż gdzieś wypłynie w stanie takim, że zostaje tylko pogrzeb przy zamkniętej trumnie. Ale jedno go rusza i później nie może się pozbierać przez kilka dni.

– Co takiego? – zapytał ze szczerym zaciekawieniem Sukiennik.

– Jeśli podczas wylławiania dziewczyny ktoś nie dopilnuje porządku i na brzegu czekają jej rodzice albo mąż, czasem dzieci.

Policjanci pokiwali głowami, mimo tego że przechodzili szkolenia z zachowania się podczas przekazywania złych wieści rodzinom, to były najtrudniejsze momenty pracy. Człowiek na zwłoki się uodparniał, na żal i szok po stracie nigdy.

– Gdy zdejmowaliśmy Andrzejka z drzewa, sztywnego jak deska, nagle za naszymi plecami pojawiła się matka Anuli pod rękę z matką Iwonki. Wyrosły tam jak duchy. Stały i nic nie mówiły, tylko patrzyły. Obydwie ubrane na czarno, smutne, z zaciętymi minami i podkrążonymi oczami. Tylko stały i patrzyły. Nie

odezwały się, nie przeżegnały, nie splunęły pod nogi mordercy ich córek, nie zrobiły kompletnie niczego. Nawet nie zapłakały, zresztą może już nie miały łez, wszystkie wylały przy ciałach swoich dzieci. Dlatego tak wryło mi się to w pamięć, przez te dwie kobiety. Od tej pory, gdy tylko widziałem breloka, od razu odwracałem się sprawdzić, czy one tam nie stoją, i może to dziwne, nigdy ich oczywiście nie zobaczyłem, ale zawsze wyczuwałem ich obecność. Czterdzieści trzy razy.

W pokoju zapadła cisza, którą przerwał bardzo jeszcze daleki pomruk burzy, która nadciągała nad Karkonosze. Takie upały przyciągały ekstremalne nawałnice.

– Na ten moment mamy sześć ofiar. – Podyma spojrzął w swój notes. – Ale oczywiście Andrzejka nie zaliczamy na konto mordercy, czyli właściwe pięć.

– Jeśli to on mordował, to jednak sześć, co nie? – powiedział Ryś.

– Czy to, co działo się później, nie wyklucza go jako podejrzanego? – zapytał Sukiennik.

– Właśnie nigdy nie ustaliliśmy, czy to, co działo się później, to faktycznie wydarzyło się później. Ofiary trafiły na stoły sekcyjne dopiero początkiem stycznia. W związku z kolosalnym obłożeniem szpitali przez zimę stulecia nawet patomorfodzy byli kierowani na izby przyjęć, nie mieli czasu na sekcje, zatem ustalenie dokładnego czasu zgonu było niemożliwe.

Piorun wałał już dużo bliżej, grzmot przetoczył się po niebie niczym beczka pełna kamieni po brukowanej ulicy.

– To już jutro – stwierdził Podyma, zamykając notes. – Kolega pana odwiezie, zapowiada się paskudna burza.

– Dziękuję. – Jan Ryś wstał i sięgnął po swoją kurtkę, w której przyszedł rano.

– Chcielibyśmy tam pojechać – powiedział Podyma, spoglądając na emerytowanego policjanta. – Będzie to dla pana kłopot?

– Pyta pan o wspomnienia czy o moją sprawność fizyczną? – zapytał ze śmiechem Ryś.

– Jedno i drugie.

– Przynajmniej raz w miesiącu wchodzę na Śnieżkę, a raz na kwartał spaceruję na Śnieżne Kotły. Mówię o tym, bo czeka nas sporo chodzenia, dojechać tam się już chyba nie da. Droga kończy się na Wnykach.

– Czyli jest pan gotowy?

– Jestem!

Tylko czy wy jesteście?



## ROZDZIAŁ 29

### *Żagiew*

*Rok 1978*

Obudziłem się cały mokry, jakby trawiła mnie gorączka, chociaż czułem, że mi nie jest. Chyba każdy tak ma, że dokładnie wie, kiedy rozkłada go choroba, i mogłem przysiąc, że to nie ten stan. A zatem jaki?

Rozejrzałem się po pokoju i przez naprawdę długi czas nie mogłem ustalić w mojej głowie, co ja tu robię i która jest właściwie godzina. Ostatni raz czułem się tak po swoich osiemnastych urodzinach, które to urządziłem wspólnie z Mietkiem i Przemkiem w stodole starego Brysia. Wypiliśmy zdecydowanie zbyt dużo bimbrowa i obudziliśmy się nad ranem zakopani w sianie na kosmicznym kacu. Pamiętam, jak moja pamięć wygrzebywała się ze zgłiszczy wspomnień poprzedniego wieczoru, jak kamień po kamieniu zrzuciła z siebie ten gruz ruin, który jej zafundowałem. Najpierw wydostało się wspomnienie picia i zakąszania, potem obraz wesołych śpiewów, przebitka chodzenia po osadzie i zaczepiania dziewczyn, a następnie nicość, pustka, jakbym wsadził głowę do pomalowanej na czarno studni. Nawet jak mi później opowiedziano, co też ciekawego wyprawialiśmy, to nie byłem w stanie tego wykopać z tej zbiorowej mogiły urządzonej przez bimber moim wspomnieniom szalonej nocy.

Łaziliśmy po dachu stodoły? Widocznie tak, skoro widziało nas kilka osób. Kąпалиśmy się nago w rzeczce? Ubranie było suche, a ja podejrzanie czysty, więc możliwe. Śpiewaliśmy pod oknem Alicji miłosne przyśpiewki? Dlaczego miałbym jej nie wierzyć. Jednak równie dobrze mógłby mi ktoś powiedzieć, że ze stojących w stodole starego siewnika, pordzewiałego parnika i dziurawej konewki zbudowaliśmy raketę kosmiczną i wzorem Jurija Gagarina poleciliśmy w kosmos, też bym mu uwierzył. Do mnie ta noc nigdy nie wróciła, na zawsze pozostała tajemnicą.

Tym razem było podobnie. Najpierw sprawdziłem ubranie, spałem w piżamie, zatem musiałem wrócić do domu i się przebrać. Pijany nie byłem, codzienne ubranie leżało złożone na krześle. Zresztą piliśmy przed spotkaniem w świetlicy, później już nie, więc nie było mowy o urwanym filmie wskutek przesadzenia z alkoholem.

Właśnie, spotkanie w świetlicy, a potem...

Szliśmy tłumnie pod jesion, kolejne wspomnienie, następnie powiesili Andrzejka, rzucał się nieco na sznurze, chociaż wydawało mi się zawsze, że wygląda to nieco bardziej dramatycznie, a tu taka sobie śmierć. Zwyczajna, jak i on był nieszczególny. Może dlatego w Ameryce skazańcy kończyli na elektrycznych krzesłach, żeby było bardziej widowiskowo?

Co było później? I to jest dobre pytanie. Ludzie zaczęli się rozchodzić, jakby w obawie, że ktoś każe im Andrzejka zabrać ze sobą do domu. Odwracali się po prostu i szli w stronę swoich chałup, niektórzy wcześniej zegnali się ukradkiem szybkim ruchem, na końcu pukając się trzy razy w serce. Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina.

Odchodzili spod jesionu, jakby właśnie odbył się pogrzeb i trzeba uszanować żałobę najbliższej rodziny. Obcy idą pierwsi, po nich delegacje i koledzy z pracy, których zakład wysłał z obowiązkową wiązańką, następnie dalsi znajomi, później bliżsi, potem przyjaciele i dalsza rodzina, a na końcu wolno kroczą cmentarną aleją najbliżsi, najczęściej załamana i przygarbiona pod ciężarem żalu matka lub żona trzymana pod rękę przez mężczyznę, który rozumie powagę sytuacji. Zostają tylko grabarze, którzy z szacunkiem dla zmarłego, wymuszonym zawodem etykieta, zasypują jego trumnę łopata po łopacie.

Zostali przy Andrzejku Kazik i Kozłowski, dwaj kaci, Bernard i Janek, którzy chcieli dla niego sprawiedliwego procesu, i ja, który... No właśnie, czego chciałem?

– Był chłop, nie ma chłopa – stwierdził Bernard tym swoim niskim głosem.

– I dobrze – powiedział Kozłowski. – Tak było trzeba.

– Zadowoleni z siebie jesteście? – zapytał Janek, którego nos już przestał krwawić.

– To nie nasza robota. – Wskazał wisielca Kozłowski. – Sam na siebie ukręcił sznur, sam się zagonił pod to drzewo. Gdyby dziewczyn nie tknął, każdy z nas siedziałby teraz w swoim domu i grzał stopy przy piecu.

– A jeśli to nie on? – zapytał Janek. – Jeśli zginie kolejna dziewczyna?

– To on! – zabrzmiało za naszymi plecami mocno i dosadnie.

Odwróciliśmy się niemal jednocześnie, przestraszeni, jakby pojawił się za nami duch, ale to były dwie kobiety ubrane na czarno, z twarzami naznaczonymi żałobą, która nigdy nie powinna się przydarzyć matkom, albowiem żaden rodzic nie powinien dożyć śmierci swego dziecka. Patrzyłem na nie i widziałem ten wyraz twarzy, niemożliwy do powtórzenia przez żadnego z aktorów, nieuchwytny dla malarzy, niedający się opisać przez najlepszego nawet pisarza. Był jak tatuaż

wykonany nie tuszem, lecz traumą, zmieniający rysy twarzy, znakujący te kobiety już do końca życia. Piętno straty niemożliwej do zaakceptowania.

Matka Anuli trzymała pod rękę matkę Iwonki, mocno, jakby jedna była niezbędna drugiej do życia, stały się bliźniaczkami syjamskimi złączonymi żalobą i żadna operacja nie mogła ich już rozdzielić.

– To on! – powtórzyła matka Anuli, spoglądając na Andrzejska. – Ja to wiem. Matki wiedzą takie rzeczy.

Poczułem się dobrze, jakby czując całym sobą, że oto zrobiłem dobry uczynek i mam tego potwierdzenie, nikt nie może mi niczego zarzucić.

– Niech panie wracają do domu – powiedział Janek. – Musimy go ściągnąć, a to nie będzie przyjemny widok.

Spojrzały na niego jednocześnie, jakby ich głowy były osadzone na wspólnej szyi. Oczy mówiły jasno, że co taki młodzik może wiedzieć o przykrych widokach, jak zobaczy kiedyś swoją córkę ze zmasakrowaną twarzą albo wyciągniętą ze studni, to będą mogli porozmawiać jak równy z równym.

– Nie – odezwała się matka Iwony. – Niech wisi.

– Nie może tak zostać – zaprotestował Janek.

– Zostanie – zadecydowała matka Anuli. – Chcę, żeby tutaj zgnił, żeby kruki i wrony wydziobały mu oczy i biły się o nie, żeby zaległo się w jego chorej głowie robactwo i wyżarło cały mózg. Ma tu wisieć. Niech śmierdzi. Chcę, żeby śmierdział. I chcę to czuć każdego dnia, gdy podejść rano do okna po nieprzespanej nocy, bo ja już nigdy nie usnę. Mam poczuć zgniliznę tego ścierwa, z każdym oddechem zyskiwać pewność, że morderca mojej córki nie żyje i gnije na sznurze, nie po bożemu w poświęconej ziemi, bo tylko na to zasługuje. Żadnych nagrobków i pogrzebów, jeśli wiatr w końcu rozwieje smród po jego ścierwie, niech razem z tym umrze pamięć o nim.

Janek chciał ponownie zaprotestować, pewnie powiedzieć coś o przepisach, które na takie rzeczy nie pozwalają, ale Bernard złapał go delikatnie za łokieć i dał znak, żeby milczał. To nie było miejsce na dyskusję, nie pora na wymianę argumentów z dwoma matkami, które zostały same na tym świecie.

– Niech wisi – przytaknął im Bernard.

Kazik i Kozłowski mruknęli coś pod nosami i ruszyli do domów. Ich rola w moim przedstawieniu dobiegła końca, mogli spokojnie wracać na zasłużony odpoczynek. Bernard kiwnął na mnie głową i pociągnął za sobą Janka, i my także skierowaliśmy się do osady.

– Ktoś musi opatrzeć twój nos – powiedział po chwili, gdy już mieliśmy pewność, że te dwie kobiety w czerni nas nie słyszą.

Nikt z nas nie odpowiedział, bo jasnym się stało, że jedyna, która mogła to zrobić, nie żyje. Matka Alicji.

– On nie może tam tak wisieć – odezwał się po chwili Janek.

– Pewnie, że nie może – zgodził się Bernard. – Idźcie z Michałem do domu, niech cię tam opatrzą, a z mojej chałupy jesion widać, będą obserwowali. Jak te dwie mojry pójdą sobie, to go zdejmujemy.

Zgodnie z tymi ustaleniami wróciliśmy do domu, matula zajęła się nosem Janka, a ja położyłem się spać.

Przypomniałem sobie wszystko.

I to też niedobrze, bo w głowie kołatały mi się pytania rzucone przez Janka: „A jeśli to nie on? Jeśli zginie kolejna dziewczyna?”.

Co, jeśli to nie on?

Czyżbym tak mocno nasycił się zemstą, że wręcz się nią przejadłem? Przecież jeszcze tam pod drzewem byłem pewien, że zrobiłem dobrze i o żadnych wyrzutach sumienia nie może być mowy, skąd zatem teraz ta myśl? Zasiał to we mnie, pewnie całkowicie niezamierzenie, jednak zmusił moją głowę, aby obracała ten problem.

Spojrzałem za okno, jeszcze było widno, zatem nie mogłem spać zbyt długo, no chyba że przespałem cały dzień i noc. Po takich emocjach to nie byłoby nic dziwnego. Jednak nie, tatko na pewno by wrócił, więc obudziłby mnie on albo Janek, bo przecież razem z nim pojawiłaby się i pomoc.

Przeszedłem do łazienki i umyłem się pod kranem w zimnej wodzie, po czym wróciłem do pokoju, zdjąłem przepoconą piżamę i założyłem ubranie. Zajrzałem do pokoju Janka, uchyliłem lekko drzwi, ale nikogo nie było. Zszedłem na dół, matula akurat nalewała zupę reszcie dzieciaków.

– Długo spałem? – zapytałem.

– Kilka godzin – odpowiedziała. – Zjesz barszczu?

– Tak, poproszę. – Byłem głodny jak wilk. – A gdzie Janek?

– Bernard po niego przyszedł jakąś godzinę temu i wyszli – odparła.

– A ojciec wrócił?

– Tatki nie ma – odpowiedziała mi Esterka.

– Michaaaaś – odezwała się Juleczka, najmłodsza z moich sióstr. – A ta zła Mara to nie przyjdzie po mnie w nocy? Bo Pietrek mówi, że przyjdzie.

– Co dzieci straszysz! – Zareagowała natychmiast matula, waląc mojego młodszego brata w głowę.

– Oj mamoo, daj spokój – zaburczał cicho młody.

– Nie przyjdzie – oznajmiłem głośno i z pewnością w głosie.

– A skąd wiesz? – Nie ustępowała Juleczka.

– Bo już po niej – wyjaśniłem.

– Tak, widziałam – potwierdziła matula beznamiętnym głosem. – Jedzcie, dzieci, póki ciepło. Julka, nie grzeb w talerzu, szczęścia tam szukasz? Estercia, chcesz dokładkę?

– Nie.

– No to jeść i do roboty, grochu musimy dołuskać – zarządziła matula.

– Ale my chcemy na sanki – zaprotestowała Esterka.

– Dopóki ojciec nie wróci, nikt z domu nie wychodzi. – Matula akcentowała każde wypowiedziane słowo stanowczymi machnięciami chochlą do nalewania zupy.

Byłem tak głodny, że skończyłem jeść przed wszystkimi, mimo że dołączyłem niemal w połowie posiłku. Podziękowałem, odniosłem talerz do zlewu i ruszyłem w stronę drzwi.

– A ciebie dokąd znowu niesie? – zapytała matula.

– Muszę porozmawiać z Przemkiem.

– Wróc na kolację.

Ubrałem się ciepło i wyszedłem przed dom, mróz wciąż nie odpuszczał, jakby ta zima nigdy miała się nie skończyć. Skierowałem się do stodoły starego Brysia, ale w środku nie zastałem moich przyjaciół. Może też odsypiali? No nic, poszedłem pod dom Przemka, co zmusiło mnie do przejścia niemal całej osady. Było jasno, ale przed domami nie spotkałem nikogo, mróz nie nastrojał do spacerów, co było do zrobienia koło domu, to każdy zrobił nad ranem, nawet dzieci nie wyszły na sanki. Chyba panowała nieciekawa atmosfera po wczorajszych wydarzeniach albo ludzie nie do końca wierzyli, że morderstwa się skończyły, lepiej było dzieci nie spuszczać z oczu.

Dom Przemka był wyraźnym przykładem tego, że jeśli ktoś ponad wszystko przedkłada wódkę i uczynił z niej główną oś życia, to raczej nie bardzo przejmuje się swoim wyglądem, a już w szczególności porządkiem w obejściu. Przechylony płot, niekompletny zresztą, bo część sztachet przegniła i odpadła. Jasny śnieg zalegający dookoła tak mocno kontrastował z od lat niebielonymi ścianami, że powinien tu chyba zostać na zawsze, bo tylko poprawiał wygląd zapuszczonego domu.

Zapukałem mocno do drzwi i już po chwili usłyszałem za nimi rumor, po czym zaskrzypiały zawiasy i w progu stanął Przemek.

– Cześć – rzuciłem szybko. – Jest twój ojciec w domu?

– A gdzie niby ma być? – odpowiedział lekko zdenerwowany Przemek. – A czego chcesz?

– Muszę z nim porozmawiać.

– Włącz. – Zrobił mi miejsce, cofając się w głąb sieni. – Wstał i właśnie zabiera się za obiad, czyli już jest po pierwszej flaszcze. Idealnie trafiłeś. Za godzinę to nie byłoby ani z kim, ani o czym gadać.

W domu pachniało gotowaną kapustą i mydlinami. W kuchni za stołem siedział ojciec Przemka, jadł bigos i popijał go bimbrem ze starego niemieckiego kufła, błękitnego i ozdobionego czarnym orłem. W kącie matka Przemka prała coś zaciekle w dużej miednicy, na mój widok się wyprostowała, łapiąc za plecy, wytarła ręce w ręcznik, który trzymała na ramieniu niczym rasowy barman, podciągnięte do łokci rękawy szarej bluzki ukazywały mocne przedramiona. W sumie chyba tylko ona pracowała w tym domu.

– Cześć, Michałku, zjesz coś? – zapytała uśmiechem.

– Siadaj – rzucił ochryplym głosem Kazik.

– Jadłem przed chwilą w domu, matula by mnie bez obiadu nie wypuściła – odparłem.

– Bigosu mu nałóż – zarządził pan domu. – I kufel daj, to się napijemy. Przemek, chcesz?

– Nie. – Jego syn stanowczo odmówił. Wiedziałem, że w domu i przy ojcu nie pije, brzydził się nim, ba, nawet go chyba nienawidził.

– No to nie – odpowiedział Kazik. – Łaski bez. To idźcie w diabły.

– Ja właściwie do pana. – Zdjąłem kurtkę i czapkę, powiesiłem je na gwoździu wbitym we framugę przy drzwiach wejściowych.

– Do mnie? – zdziwił się. – No siadaj.

Usiadłem naprzeciwko, ale gestem odmówiłem zarówno bigosu, jak i bimbru.

– Wolałbym na osobności, bo to taka sprawa... no...

Jakbym wypowiedział rozkaz, Przemek poszedł bez słowa do innego pokoju, natomiast jego matka, wycierając wciąż ręce w sfatygowany ręcznik, ruszyła na piętro, ciężko przy tym tupiąc na każdym z drewnianych schodów.

– Czego chcesz? – zapytał, nabierając bigosu na łyżkę.

– Mówił pan, że widział Andrzejką tamtej nocy – powiedziałem, postanowiwszy, że nie ma tu co owijać w bawełnę.

– No widziałem.

– I to na pewno był on?

– Słuchaj. – Odłożył łyżkę do talerza. – Mnie też nie jest dobrze, bo zabić kogoś to żadna przyjemność. Ja to karpia na święta mam problem zarząbać, taki już jestem. Siedzi mi ten chłopak w głowie jak cholera, wyjść nie chce. Tak myślę i myślę, czy my dobrze zrobiliśmy. A ty jak myślisz?

– Wydaje mi się, że dobrze.

– I mnie też się tak wydaje. – Pokiwał powoli głową. – Jednak niepokój w czło-  
wieku jest. I powinien być, tak mi się wydaje. Jednak chciałbym, żeby tu te  
wszystkie komisarze zjechały i powiedziały nam, czy to był on, czy nie on. Wtedy  
by dopiero człowiek spał spokojnie.

– A jeśli to nie on? – zapytałem. – Dlatego pytam, czy to jego pan widział.

– Ja po prawdzie to nie wiem, kogo widziałem – odpowiedział, biorąc do ręki  
kubek z bimbrem. – I powiem ci tak, Michałku, że na początku to mi się wyda-  
wało, że ciebie widziałem. Że wy po słowie jesteście, to od młodego wiedziałem,  
ale Stachu by ci nie pozwolił na noc zostać, a człowiekowi się chce, wiadoma  
sprawa. Myślałem, żeś wylazł od niej jakoś oknem i zmykał chyłkiem do chałupy.

– Ja byłem wtedy w domu.

– Wiem. – Upił z kubka spory łyk, przetarł usta. – Przemek mi powiedział, żeś  
u niej był i poszedł, ale mi tak się zdawało, że to jednak ty. Ale jak powiedział, to  
zglupiałem, bo ciemno było, wiesz, noc, mimo że śnieg.

– A czy to mógł być Andrzejek?

– Mógł – odparł spokojnie. – Jak mi Przemek o nim opowiedział, to mi się tak  
złożyło, że to raczej i on mógł być.

Odwróciłem wzrok od tej czerwonej, pokrytej kilkuniedniowym zarostem twarzy,  
z wargami już lśniącymi i lekko wywiniętymi od wypitego alkoholu. Ojciec Prze-  
mka nie wiedział, kogo zobaczył, byłem tego pewien. W tym swoim przeżartym  
bimbrem umyśle zanotował postać koło domu Klimkiewiczów i jakaś ostatnia  
myśl, której udało się uciec przed falą gorzały grasującą po tym pustym łbie, pod-  
sunęła mu mnie, no bo kto inny mógł po nocy skradać się koło ich obejścia, jak  
nie chłopak Alicji. Gdy Przemek za moją sprawą podsunął mu Andrzejka jako po-  
tencjalnego sprawcę, to owa postać dokonała natychmiastowej transformacji  
w kierowcę pekaesu, bo przecież kto inny, jak nie on, skrycie grasował koło  
domu swoich ofiar.

Teraz miał wątpliwości, nie dlatego że wytrzeźwiał i mózg począł prawidłowo  
pracować, ale wszedł w stan najlepszy dla alkoholika, gdy na kacu wypija pier-  
wszą porcję codziennej trucizny. O tak, wtedy zaczyna się życie, wszystko wraca  
do normy, przepite kreatury nabierają ludzkich kształtów, werwy i bystrości

i niemal przypominają normalnego człowieka, jednak nie na długo, bo już kilka kieliszków później ich maska spada i ponownie stają przed światem w swojej naturalnej, splugawionej postaci. Zaczynają krzyczeć na dzieci, bić żony i władać światem, nie mając pojęcia, że są jedynie odchodem tej cywilizacji, i jak każde gównu zasługują co najwyżej na splukanie wprost do szamba.

– A czy on coś niósł? – zapytałem, nagle łapiąc się nadziei, że jeszcze przez kilka chwil będzie myślał i znajdzie drogę do tego wspomnienia poprzedniej nocy.

– Ale co? – Kazik odstawił kubek i zmarszczył twarz, okazując kompletne niezrozumienie.

– Cokolwiek. Siekierę? Teczkę? Worek?

– Nie. Chyba nie.

– Na pewno?

– Ciemno było – odparł, machając na odczepnego ręką, po czym dołał sobie bimbru do niebieskiego kubka. – Idź już. Chcę w spokoju zjeść.

Kiwnąłem głową i ruszyłem na górę, do Przemka. Zapukałem do jego pokoju, usłyszałem krótkie: „Wlazł”. Leżał na łóżku, czytając „Sztandar młodych”. Na mój widok odłożył gazetę i usiadł wyprostowany.

– Coś ci ten stary cap powiedział ciekawego?

– Przecież podsłuchiwałeś – powiedziałem z uśmiechem.

– No pewnie. – Też się uśmiechnął. – Niech cię to nie męczy, ten Andrzejek znaczy się. To był on.

– Skąd ta pewność?

– Zobaczysz rano, nie będzie nowych ofiar. Wspomnisz moje słowa.

– Jeśli masz rację, to będzie chyba jeden z najlepszych poranków w moim życiu.

– A jak tam czujesz się... no wiesz, po stracie Alicji? – zapytał, spuszczać oczy i odwracając głowę, jakby zawstydziło go to, co powiedział.

Wprawił mnie w zdumienie, bo nigdy nie rozmawialiśmy o takich sprawach jak uczucia, jedynym tematem naszych spotkań w stodole starego Brysia były kwestie zajmujące młodych chłopaków: muzyka, sport i dziewczyny, ale nikt nie przyznawał się do czegoś takiego jak miłość, to słowo chyba nie padło ani razu. Wiadomym było, że jesteśmy z Alicją w sobie zakochani, ale po co zaraz o tym paplać, co nie?

– Chujowo – odpowiedziałem krótko, ale przecież szczerze. – Powiem ci, że to chyba jeszcze do mnie nie doszło, za duże zamieszanie. Kiedyś czytałem, że to



dopiero po pogrzebie człowieka dopadają emocje, jak już poczuje brak tej drugiej osoby.

– No tak może być – powiedział już bardziej rozluźniony, bał się chyba tego pytania bardziej ode mnie. – Jak coś, to wal jak w dym. Niewiele wiem o związkach, ale o grobowej atmosferze w domu to aż za dużo.

– Nie da się czegoś z tym twoim ojcem zrobić?

Wzruszył ramionami i ponownie uciekł spojrzeniem. Kazik pił na umór i nie chciał pójść do żadnej roboty. Pracował swego czasu w kopalni, doszło do jakiegoś wypadku, przez co miał uszkodzony kręgosłup i niby nie nadawał się do pracy, dzięki czemu dostawał sporą rentę i siedział w domu, traktując chlanie jako jedyne zajęcie godne uwagi. W obejściu też niczego nie robił, bo ani nie wolno mu było dźwigać, ani nawet się schylać.

– Dlaczego pytałeś ojca, czy Andrzejek w nocy coś niósł? – Przemek zmienił temat, co przyjąłem z wdzięcznością.

– On przyszedł do domu Klimkiewiczów, żeby pozbyć się Alicji, bo mogła coś wiedzieć, ale też szukał pamiętnika Anuli. Wydaje się nam, że tam mógł być klucz do identyfikacji mordercy.

– Ulala, identyfikacji! – Cmoknął z uznaniem. – Mówisz jak sam porucznik Borewicz.

– Daj spokój. – Machnąłem ręką, ale spodobała mi się ta uwaga.

– Wydaje się wam, czyli tobie i Jankowi?

– Tak. Pamiętnik został przez niego znaleziony przy Iwonce, przekazaliśmy go Alicji, sądząc, że może połapie się w tym, co tam jest napisane, jednak po jej zaborstwie zniknął.

– I nie było go w domu Andrzejka?

– Nie, Janek go dobrze przeszukał.

– To co mógł z nim zrobić? – zapytał Przemek. – Spalił?

– Ja bym tak zrobił.

– Każdy by tak zrobił, żeby zatrzeć ślady. No ale ten pamiętnik już nam niepotrzebny, co się stało, to się nie odstanie.

– Jeśli powiesiliśmy niewłaściwego człowieka, to dopiero się stanie coś, czego nie odwrócimy – powiedziałem, masując skronie, bo pomimo drzemki bolała mnie głowa i znowu chciało mi się spać.

– Racja.

– Dlatego chciałbym się upewnić, że Andrzejek był winny jak jasna cholera, rozumiesz?

– Był winny, Michał, był winny jak jasna cholera.

Nagle na dole trzasnęły drzwi i usłyszałem, jak ktoś woła w kierunku kuchni, że wrócił Antczak z wojskiem. Wstaliśmy natychmiast z Przemkiem, ale mi ze strachu aż ścisnęło gardło. Poczujęm się jak przed wizytą u dentysty, gdy człowiek usłyszy wezwanie i musi przekroczyć próg gabinetu. Nagle przestają boleć zęby i zaczynasz czuć się tak dobrze, że można wizytę odwołać, bo wiesz, że zaraz się zaczniesz i nie będzie to nic przyjemnego.

## ROZDZIAŁ 30

### *Paskudna zima*

*Rok 2023*

– To była naprawdę paskudna zima – powiedział Jan Ryś, przesuwając talerzyk z pączkami w stronę dwójki policjantów.

– Utuczy nas pan tutaj. – Komisarz Krzysztof Podyma jednak nie odmówił pączka, złapał go z wielkim entuzjazmem i wgrzył się w brązową skórkę, po raz pierwszy uprzedzając w tym swojego tęższego kolegę.

– Czyli jednak ratunek dotarł – stwierdził podkomisarz Łukasz Sukiennik, również zabierając się za pączka, jednak z miną świadcząca, że robi to przez grzeczność, a nie z łakomstwa.

– Ano dotarł. Co prawda nie było to coś, czego wszyscy się spodziewali, czyli radiowozy, ciężarówki wypakowane wojskiem i może nawet jakaś amfibia, a już na pewno helikopter, tylko dwóch żołnierzy na nartach. Jednak wystarczyło to na poprawę nastrojów w osadzie.

– Dlaczego tak skromnie i czemu nie milicja? – zapytał Podyma.

– Jak wspomniałem, to była bardzo paskudna zima. Gdyby ten śnieg spadł i stopniał, to być może doszłoby do powodzi, a już z pewnością do lokalnych podtopień. Jednak nic nie stopniało, tylko chwycił mróz, tęgi, siarczysty i trzymał długo. I wciąż padało co kilka dni, więc co się odśnieżyło, zasypywało na nowo. Dlatego mówimy o zimie stulecia, bo zaczęło się ocieplać dopiero pod koniec lutego. Rozumiecie? Dwa miesiące temperatur sięgających nawet minus trzydziestu stopni. Śnieg z torów usuwano czołgami, bo inaczej się nie dało. Zamrożone rzeki zagrażały mostom, wojsko wysadzało lód na Wiśle i Odrze, a pewnie i innych rzekach. To w trakcie tej zimy doszło do tragicznego wybuchu w warszawskiej Rotundzie, zginęło czterdzieści dziewięć osób i po części odpowiedzialnymi za tę katastrofę były właśnie mróz i śnieg. Piętnastego lutego tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku. Pamiętam dobrze, bo byłem akurat w Warszawie. To była Polska Ludowa, kraj, który musiał sobie bohatersko poradzić z takim wyzwaniem bez sięgania po pomoc do obcych, kapitalistycznych mocarstw. I oczywiście sobie nie radził. Wiecie, jakie wtedy funkcjonowało powiedzenie?

– Nie – odpowiedział Sukiennik, zabierając się za drugiego pączka już bez najmniejszych nawet wyrzutów sumienia.

– Nam nie trzeba Bundeswery, nam wystarczy minus cztery. Nawiązywało do rozgłaszanego wtedy przekonania, że Amerykanie siedzą w bazach wojskowych na terenie RFN właśnie po to, żeby wspólnie z niemiecką Bundeswerą nas zaatakować. Dziś byłoby pewnie lepiej, mamy dużo ciężkiego sprzętu, internet, połączenia satelitarne, mnóstwo śmigłowców i tak dalej, ale wtedy? Pierwszy samochód dojechał do osady pod koniec stycznia, bo żeby udrożnić drogę, trzeba było przebijać się przez kilkanaście kilometrów zasp, stworzono niemal tunel. Autobus Andrzejka, zostawiony w rowie po pasterce, odkopano w połowie marca, gdy już śniegi zeszyły, bo oczywiście potem pojawiło się błoto i podtopienia.

– Dobrze, czyli wojskowi dotarli i nastroje się poprawiły – podsumował Podyma, również biorąc się za kolejnego pączka.

– Oni nie wierzyli Antczakowi, którego wysłaliśmy po pomoc. – Jan Ryś sięgnął po kubek z kawą. – Myśleli, że opowiada takie brednie, żeby tylko jak najszybciej uzyskać ratunek dla swojej osady, a wiadomo było, że jest ona na końcu listy obiektów, na które wojsko miało zadbać. Polacy to kombinatorzy, ja to wiem i wy to wiecie. Antczak dotarł do drogi krajowej, gdzie spotkał spory oddział wojska odśnieżający szosę. Uprosił ich o pomoc, wysłano z nim dwóch żołnierzy na nartach, jemu dali trzeci komplet i w ten sposób sprowadził do osady pomoc.

– Ale uwierzyli na miejscu – stwierdził Podyma, coś notując w swoim zeszycie.

– Oj, uwierzyli – odparł z westchnieniem Ryś. – Zobaczyli ciała ofiar, porozmawiali ze mną, legitymacja milicjanta sporo ułatwiła. Zrozumieli, że Antczak nie kłamał. Oni nawet nie wzięli ze sobą radiostacji, bo naprawdę byli przekonani, że trafił się im lokalny wariat. Przespali noc i rano jeden ruszył po pomoc, a drugi został w osadzie, żeby pilnować porządku. Mieli broń długą, więc budzili respekt.

– Ale nie upilnował – powiedział Podyma.

– No nie bardzo.

Podyma notował coś zawzięcie w notesie, a Sukiennik wstał i podeszedł do okna, żeby uchylić je nieco szerzej. Po wczorajszym upalnym dniu rozładowanym wieczorem przez potężną burzę dziś na Kotlinę Jeleniogórską spadła błoga letnia pogoda, taka w sam raz. Dwadzieścia trzy stopnie, delikatne chmurki na niebie, wietrzyk wiejący od Śnieżki.

– Panie nadkomisarzu – zaczął Sukiennik. – Czy pan spotkał się z jakimiś nietypowymi zdarzeniami już po sprawie, gdy właściwie odłożyliście ją do biurka?

– Ja jej nigdy osobiście nie odłożyłem – zaprotestował emerytowany policjant.

– Ale chodzi o oficjalnie prowadzone czynności zlecane przez prokuraturę. Czy zdarzyło się coś, co pana zaniepokoiło, albo nawet zdziwiło?

Jan Ryś odstawił kubek po kawie i spojrzał badawczo na obydwóch policjan-tów z Archiwum X, jakby zobaczył ich po raz pierwszy.

– Nie bardzo wiem, o co wam chodzi – powiedział w końcu.

– Jeśli boi się pan, że będziemy się śmiać czy też nie dowierzać, proszę tym się nie przejmować, tylko nam zaufać.

– O jakie wydarzenia panom chodzi?

– To może inaczej zapytam – wtrącił się Podyma. – W ciągu pierwszych dwóch lat od wydarzeń, o których tutaj rozmawiamy od kilku dni, pracowano nad sprawą bardzo poważnie i rzetelnie, jednak nie przyniosło to skutku.

– Zgadza się – potwierdził Ryś. – Chociaż sprawę umorzono po dziewięciu miesiącach, ale tylko oficjalnie. Było to związane z jakimiś ruchami na wysokich stołkach, jednak nam nakazano dalej przy niej działać. Postępowanie wzno-wiono rok później.

– W prokuraturze zapadła wtedy decyzja, i to na szczeblu ministerialnym, o zmianie prokuratora prowadzącego śledztwo, został nim Antoni Maciejewski, stary wyga, specjalista od spraw trudnych, taką miał opinię.

– Pamiętam.

– Pana odsunięto wtedy od sprawy – ciągnął Podyma.

– Nie tyle odsunięto, co stworzono grupę specjalną, do której mnie nie powo-łano. Słusznie zresztą, byłem tym wszystkim szalenie zmęczony, głównie psy- chicznie. Akurat pojawił się wtedy w Kowarach przypadek uduszenia dwóch ko- biet w okolicach nieczynnych sztolni i zostałem skierowany do tego śledztwa.

– I rozwiązał je pan błyskawicznie – powiedział Sukiennik.

– To było proste, wystarczyło dobrze rozpytać i szybko się okazało, że widziano tam często jednego mężczyznę na rowerze, dostaliśmy dobry portret pamię- ciowy i capnęliśmy dziada. Facet udusił swoje dwie sąsiadki, z którymi łączyło go coś więcej niż tylko zwyczajowe stosunki sąsiedzkie.

– Zmiana dobrze panu zrobiła – stwierdził Podyma.

– Bardzo dobrze – zgodził się Ryś, poruszając się energicznie na krześle, jakby euforia tej zmiany nadal w nim tkwiła. – Poczułem się, jakbym od nowa przy- szedł do milicji. Od razu po tym dusicielu ze sztolni dostałem propozycję po- wrotu do grupy specjalnej, ale odrzuciłem ją, wziąłem kolejną sprawę dotyczącą morderstwa dróżniczki kolejowej w Szklarskiej Porębie, też złapaliśmy mordercę

w ciągu dwóch dni. Poczulem wiatr w żaglach, jak to się mówi, postanowiłem powrócić do sprawy, gdy naprawdę dobrze od niej odpocznę.

Komisarz Krzysztof Podyma zajrzał w swoje notatki, po czym spojrzął znad nich na emerytowanego policjanta.

– Pięć lat później – powiedział.

– Dokładnie.

– I w tym czasie właśnie, czyli pomiędzy odsunięciem pana od sprawy a powrotem, doszło do kilku niecodziennych zbiegów okoliczności. – Sukiennik odszedł od okna i usiadł przy stole obok swojego kolegi.

– Wspomniany prokurator Maciejewski zginął w wypadku samochodowym. – Podyma patrzył wciąż na Rysia.

– Tak, na zakręcie śmierci między Szklarską Porębą a Świeradowem-Zdrojem. Miał dwa promile we krwi.

– Podobno spotkał się z kimś w Jakuszycach w Gospodzie Granicznej Bombaj, skąd wyjechał wzburzony.

– I pijany – dodał Ryś.

– Mówiło się, że rozmawiał tam ze świadkiem, który mu przekazał istotne dla sprawy informacje – powiedział Sukiennik.

– Plotki i takie tam bajanie. – Ryś machnął ręką. – Gdyby to był ważny świadek, toby przecież po śmierci prokuratora sam zgłosił się na milicję. O tym wypadku było bardzo głośno, trąbiło o nim radio, pisała prasa. Maciejewski był zresztą znany z bardzo skrupulatnego prowadzenia akt, wzbogacał je notatkami, a po jego śmierci nie znaleziono najdrobniejszej wzmianki na temat nowego świadka. Wiem, dowiadywałem się, bo przecież cała Jelenia aż huczała od plotek. To magia zakrętu śmierci, panowie, jak na niego pojedziecie, to nic szczególnego, można go nawet przejechać bez wiedzy, że to właśnie to miejsce, ale legenda zrobiła swoje. Zaczęło się od kilku radzieckich ciężarówek z żołnierzami, które spadły tam z drogi w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym i ludzie doповідаją to i owo. Tak samo sprawa ma się z tym prokuratorem. Tajemnicze spotkanie, świadek i tak dalej.

– Może ten mężczyzna o nieustalonej tożsamości nie stawiał się na milicję ze strachu? – podsunął Sukiennik.

– Bez wątpienia – zgodził się Ryś. – Tylko trzeba sobie jasno powiedzieć, jaki był powód owego strachu.

– Bał się śmierci? – podsunął Podyma. – Uciszenia?

– Bał się, to na pewno. – Skinął głową Ryś. – Ale szukacie nie tego potwora, którego należy. Wtedy królowała inna plotka, zresztą jaka tam plotka. Maciejewski to był pederasta, znaczy ten, no, gej, ale wtedy tak się mówiło. Dziś to normalna sprawa, że facet z facetem, i bardzo dobrze, jestem za i popieram, ale w osiemdziesiątym pierwszym? Inne czasy, koledzy. Za takie upodobania można było iść nawet siedzieć. Ktoś w randze prokuratora musiał szukać miejsc na schadzki daleko od swojego miejsca pracy i zamieszkania. Spotkał się tam z kochankiem, pokłócili się, jego partner wyszedł w stanie wzburzenia, Maciejewski został i zamówił pół litra. Wypił, wsiadł w samochód i pojechał do Świeradowa. Tam była taka, hm, jak to nazwać, dziupla dla homoseksualistów. Sporo Niemców tam przyjeżdżało, szukali towarzystwa.

– Taka jest pana teoria? – zapytał Podyma.

– Nie – odpowiedział twardo Ryś. – To nie teoria. Ja to sprawdziłem.

– Nie ma o tym śladu w aktach po wszczęciu dochodzenia w sprawie śmierci Maciejewskiego – odparł mocno zdziwiony Sukiennik.

– Ja to robiłem prywatnie, po godzinach. – Ryś rozparł się na krześle. – Uprzedzając pytanie dlaczego, to na prośbę jego brata, który był wtedy wysoko postawionym urzędnikiem we Wrocławiu. Chciał wiedzieć, co się stało z jego bratem, ale nie życzył sobie, aby wzmianki o jego orientacji seksualnej pojawiły się w papierach. Wiadoma sprawa, mogło to zaszkodzić jego karierze. On mi powiedział o upodobaniach Maciejewskiego, a właściwie je potwierdził, bo oczywiście plotkowano o tym. Ale cicho. No i macie wyjaśnioną tajemniczą sprawę. Co tam dalej?

– Jego następcą wyładował w szpitalu z połamanymi nogami i kręgosłupem – wyliczał Podyma.

– Tak, był takim niespełnionym kolarzem – powiedział Ryś. – Zjeżdżał trasą z Jakuszyc do Szklarskiej Poręby i wyładował w lesie. Duża prędkość, bardzo się połamał.

– Twierdził, że zepchnął go jakiś nieustalony samochód. – Podyma przeczytał ze swojego notesu.

– Tego nigdy nie udało się potwierdzić – odparł Ryś. – Chyba, bo nie zajmowałem się tą sprawą. Nie znałem go osobiście, bo on chyba został przeniesiony ze Świdnicy. Jak na moje, to nie znał drogi, przeszarżował, ale głupio mu było się przyznać, że drugi Szurkowski to on nie jest. A tajemniczy samochód? W tamtych czasach nie istniał problem miejsc parkingowych, bo samochodów było po prostu mało, łatwo więc było ustalić, kto mógł tamtędy jechać. Chłopcy zrobili

wtedy kawał dobrej roboty, wiadomo, o swojego chodziło, ale przejazdu czarnego samochodu nie potwierdził żaden ze świadków.

– Kolejny był Artur Kamiński. – Podyma musiał znowu wspomóc się notatkami. – Utonął na Jeziorze Pilchowickim.

– Ten miał znowu trzy promile, o ile pamiętam – powiedział Ryś. – To była faktycznie tajemnicza sprawa, bo podobno wypłynął z kimś na łódce na ryby. Nie ustalono, z kim i czy faktycznie. Nawet chciano mi wcisnąć to dochodzenie, ale na szczęście byłem mocno wtedy obłożony.

– Prawdziwa klątwa spadła na prokuratorów zajmujących się sprawą osady – stwierdził Sukiennik.

– Na szczęście nie na milicjantów – zaśmiał się Ryś.

– Zrobiliśmy listę wszystkich funkcjonariuszy zajmujących się sprawą – powiedział Podyma. – Świadców i tak dalej. Sporo z tych osób zmarło śmiercią tragiczną. Dla mnie to podejrzane.

– Może i tak. – Emerytowany komisarz pokiwał głową. – Nawet za moich czasów, gdy dostałem to kukułcze jajo po raz drugi, to dwie takie historie się zdarzyły. Taki młody, ambitny milicjant, który zapalił się do rozwiązania tej sprawy i wykuł niemal akta na pamięć, połamiał się na nartach w Czechosłowacji. Wyrówek mu było na nazwisko. Potem jeden ze świadków, Bernard, sołtys wsi, popełnił samobójstwo. Powiesił się.

– I jeszcze Kozłowski – dodał Sukiennik. – Śmiertelne porażenie prądem w domu podczas naprawiania gniazdko.

– Tak, ten też – przytaknął Ryś. – To wychodzi na to, że trzy przypadki.

– Widzi pan, panie nadkomisarzu, że tego jest za dużo – stwierdził Podyma. – Nie spotkałem się z żadną podobną sprawą, gdzie w niewyjaśnionych okolicznościach zniknęłoby tylu świadków lub śledczych, a proszę mi uwierzyć, wiele akt przerobiłem w swojej karierze.

– Sugeruje pan klątwę czy celowe działanie? – zapytał Ryś z uśmiechem.

– Na czarach i urokach się nie wyznaję – odpowiedział całkiem poważnie młody komisarz. – Uważam, że ktoś tutaj mocno dbał, żeby sprawa nie została nigdy wyjaśniona. I nie, nie jest to przypuszczenie, raczej pewność.

– Rozumiem, że mnie ma pan na myśli? – zapytał Ryś. – To dość poważny zarzut.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– No a po jaką cholere byście mnie maglowali z taką starannością i cierpliwością?



– Poczytuję to za komplement. – Podyma wstał i zerknął do pustego kubka po kawie. – Ale nie uważam, aby to był pan.

– A kto? – zdziwił się emeryt.

– No właśnie, to musi nam pan pomóc ustalić. I dlatego pojedziemy na miejsce, powiem panu, co nam nie pasuje. I opíše nam pan to ostatnie morderstwo.

– Morderstwa, chciał pan powiedzieć.

– Właśnie to nam mnie pasuje.

– To ruszajmy! – Jan Ryś też wstał od stołu.

– Jutro – oznajmił Podyma. – Dziś mamy coś do zrobienia. Kolega ma pana odwiedzić?

– Przejdę się, dziękuję.

– To do zobaczenia. – Podyma i Sukiennik podali mu rękę na pożegnanie.

Jan Ryś wyszedł przed komisariat i odetchnął głęboko. Powietrze było całkiem przyjemne; po paskudnym lipcu, który chyba pobił jakieś niechlubne rekordy najniższych letnich temperatur, przyszedł sierpień, który w drugiej połowie wynagradzał upałem chłodniejsze dni. Ruszył przed siebie, mijając znajome ulice, które schodził już tysiące razy, a nadal sprawiały mu przyjemność swoim widokiem. Spojrzał na zegarek, liczący mu kroki zrobione w ciągu dnia, i stwierdził, że gdy dotrze do mieszkania, to stuknie mu akurat sześć tysięcy, które ustawił jako dzienny cel. Stare stawy trzeba było oliwić, inaczej natychmiast zaczynały zgrzytać.

Szczęśliwie mieszkał na parterze, dlatego też nie musiał walczyć ze schodami. Otworzył drzwi i wszedł do środka, przyjemnie chłodnego, odkąd w zeszłym roku zamontował klimatyzację.

– I jak? – zapytał mężczyzna zajmujący fotel w jego salonie.

– Kiepsko – odpowiedział, idąc do kuchni po butelkę wody.

– Mówiłem ci, że są dobrzy – powiedział mężczyzna. – Do Archiwum X biorą najlepszych, takich, co to potrafią naprawdę dobrze składać klocki.

– Ale to ja wiem.

– Dużo skojarzyli?

– Więcej, niż bym się spodziewał – odparł Ryś, zajmując miejsce na kanapie. – Połączyli większość zdarzeń pobocznych, począwszy od Maciejewskiego.

– Niedobrze.

– No niedobrze.

– Jutro będzie ostatni rozdział?

– Tak. Jedziemy do osady.

– Co im pokażesz? – zapytał mężczyzna. Wstał z fotela i zaczął chodzić po pokoju.

– To nie ma najmniejszego znaczenia.

– Jak to? – Przystanął zdziwiony.

– Ja już jestem zmęczony tym wszystkim – stwierdził z westchnieniem Ryś.

– I co? Opowiesz im wszystko? – W tonie mężczyzny dało się wyczuć zarówno kpinę, jak i lekki strach.

– No co ty, niepoważny jesteś? – Ryś spojrzał na niego pobłaźliwie. – Jak to powiedział kiedyś mój kolega, abstynent: „Przez pięćdziesiąt lat nie miałem kropli alkoholu w ustach, a teraz mam cholerną chęć na piwo, ale jak wypiję, to szkoda marnować taki rekord, wtedy by wyszło, że to moje całe niepicie na darmo”.

– No tak.

– Zatem to wszystko, co robiliśmy, ma pójść na darmo? – kontynuował Ryś. – No nie, bez sensu. Trzeba to wreszcie zamknąć raz na zawsze.

– Masz jakiś pomysł?

– Nie martw się, nie będziesz zagrożony.

Emerytowany komisarz Jan Ryś miał pomysł, ale nie chciał ujawniać go swojemu gościowi, bo na pewno by mu się nie spodobał. Był zbyt radykalny.

Jednak konieczny.

# ROZDZIAŁ 31

## Słowa

Rok 1978

Świetlica tym razem nie była wypełniona ludźmi po brzegi, było nas tam jedynie kilku. Za biurkiem stał Bernard, wyprostowany niczym posąg greckiego boga, który widziałem w podręczniku do historii. Kazik siedział pod ścianą dotknięty niemocą sprowadzoną przez wypity bimber, Kozłowski palił nerwowo kolejnego już papierosa, mój ojciec siedział z głową schowaną w dłoniach po tym, co od nas usłyszał. Janek chodził nerwowo po świetlicy i obgryzał paznokcie.

– Nie mam siły – powiedział mój ojciec i przestraszyłem się, bo nigdy jeszcze nie słyszałem go tak słabego i zrezygnowanego.

– Daj spokój, nie było cię tu, nic nie mogłeś poradzić. – Bernard oparł się przedramionami o biurko, przechylając się do przodu. – My byliśmy i co? Zobacz, jak rozwalili gębę Jankowi, a on milicjant.

– Zrobiłeś, co mogłeś. – Janek zatrzymał się przy sołtysie. – Sprowadziłeś pomoc, to najważniejsze.

– Chyba najgorsze – skomentował ojciec. – Przecież oni pół wsi zamkną. Milicja znaczy się.

– Prędeż czy później i tak by się zjawili – powiedział Bernard. – Nie ma co płakać, stało się, teraz trzeba jakoś ten bałagan posprzątać.

Żołnierze obecnie przebywali w naszym domu, gdzie jedli obiad, dokładnie za kwadrans miał ich tu przyprowadzić mój młodszy brat. Mieliśmy mało czasu, żeby przygotować spójną wersję wydarzeń. Tak wyczekiwana pomoc okazała się teraz najgorszym, co mogło się nam przydarzyć. Gdyby dotarli nieco wcześniej, zanim Andrzejek zatrzepotał na sznurze niczym bożonarodzeniowy karp wyjęty z wanny, to mogłoby wiele zmienić, ale nie było co gdybać, należało działać.

– Nikogo nie zamkną – powiedział nieoczekiwanie Janek.

– No jak nie? – Bernard wyprostował się za biurkiem.

– Sprawcą morderstw był Andrzejek i to musimy podtrzymywać – mówił Janek, stojąc tym razem na środku świetlicy. – Zamknęliśmy go dla bezpieczeństwa w jego domu, użyłem swoich kajdanek i sam nad nim trzymałem straż, jed-

nak udało mu się zbiec i się powiesił. Taka jest nasza wersja i wszyscy w osadzie muszą ją potwierdzić. To będzie wasze zadanie.

– Nie podoba mi się to – oznajmił Bernard, krzyżując ręce na szerokiej piersi.

– Mnie też. – Ojciec przyznał mu rację.

– Ani mnie – zgodził się z nimi Janek. – Jednak naprawdę nikomu się nie przyśłużymy, jeśli powiemy prawdę. Uwierźcie mi, jeśli przyznamy się do samosądu, zrobią z tego proces pokazowy. Władza jest uczulona na każde działanie, które ją wyręcza. Jestem milicjantem, wiem, co mówię. Przyjdzie odpowiedni prokurator, któremu tam na górze napiszą scenariusz wydarzeń. Wyciągną z naszej przeszłości wszystkie brudy, i to z trzech pokoleń wstecz. Dokopią się do wydarzeń sprzed przesiedlenia, naprawdę są w tym dobrzy, a jeśli niczego nie znajdą, w co wątpię, to dopiszą, co trzeba.

– Nie przesadzasz trochę? – odezwał się Bernard.

– Słyszeliście chociażby o aferze mięsnej? – zapytał Janek. – Kara śmierci i trzy dożywocia za handel mięsem poza głównym obrotem. To był proces pokazowy i do dziś wszyscy o tym mówią, ale zapadły decyzje, że ma być kara śmierci, żeby ukrócić spekulantwo. Zabili człowieka za domniemany handel mięsem, kilka osób skazali na dożywocie. A to nie jedyny teatrzyk, na jaki sobie pozwolono, uczyliśmy się o nich wszystkich w szkole milicyjnej w kontekście skuteczności władzy ludowej: proces biskupa Kaczmarka czy księży w Krakowie o szpiegostwo. Myślicie, że nie wykorzystają nadarżającej okazji, aby dobrać się do repatriantów? Uzasadnią, że przesiedlenia w ramach Akcji Specjalnej „Wisła” były uzasadnione, bo mieszkała tam dzicz i swołocz, która wiesza swoich pobratymców. Morduje dziewczyny. Ile będzie kar śmierci? Kazik, Kozłowski, pewnie Bernard i możliwe, że ja.

– Ty? – zdziwiłem się mocno.

– Poniekąd jestem stąd – wyjaśnił Janek, rozkładając ręce. – Milicjant, który nie zapobiegł samosądowi, pewnie mataczył. Cholera wie, co znajdują w aktach naszych rodziców i dziadków, pewnie niejedno.

Nie uszło mojej uwadze, że ojciec, Bernard i Kozłowski wymienili szybkie spojrzenia. Kazik nie mógł do nich dołączyć, właśnie zaczął pochrapywać.

– Może i racja. – Ojciec odezwał się jako pierwszy.

– W dodatku będą musieli czymś przykryć tę klęskę żywiołową – argumentował Janek. – Bo to, co się obecnie dzieje w kraju, najpewniej wzmocni nastroje antyrządowe. Ludzie odcięci od świata, kompletna katastrofa komunikacyjna. Nie, moi drodzy, mimo iż osobiście uważam samosąd na Andrzejku za zbrodnię, za którą powinniście odpowiedzieć – tu spojrzął na Kozłowskiego i Kazika, na

szczęście nie na mnie – to mamy teraz poważniejszy kłopot. Bliższa koszula ciała, jak to mówią.

– Czyli co robimy? – zapytał Kozłowski, głośno przetykając ślinę, pewnie na wieść o tym, że może grozić mu kara śmierci.

– Zaraz przyjdą tu żołnierze – przypomniał Bernard.

– Tak, zgadza się – powiedział Janek. – Dlatego ja zostanę z Adamem, a reszta niech idzie po chałupach i powie, co trzeba mówić.

– A jak ktoś nie będzie chciał kłamać? – zapytał Bernard.

– To mu wytłumaczcie, jakie konsekwencje go czekają. Z każdego domu ktoś był podczas tego wieszania, widziałem wszystkich. Nie wiadomo, na kogo padnie, nawet jak nie kara śmierci, to odsiadka nie jest też miłą rzeczą, uwierzcie mi.

– Dobra, chłopcy. – Bernard wyszedł zza swojego biurka. – Nie ma co mitrzyć, idziemy. Jak mają nam ci wojacy uwierzyć na słowo, to trzeba poważnie porozmawiać ze wszystkimi, a to trochę zejdzie.

– Nie do końca na słowo – wtrącił Janek. – Mamy pamiętniki Anuli i Iwonki, tam jest jasno opisane kto jest zabójcą.

Wszystkich zatrzymało w miejscu, mnie też, chociaż wiedziałem o tym fackie, to znaczy coś mi się tu nie zgadzało, bo z tego, co Janek wspominał, to nie mieliśmy tych pamiętników. Złowiłem jego spojrzenie, nie tyle wyzywające, co uspokajające. Miał plan? A może coś przede mną ukrył?

– Czyli to był Andrzejek – wyszeptał z ulgą Kozłowski.

– Dokumenty przekażę dopiero prokuraturze, jak tu się zjawia, razem z ciałami – oznajmił Janek. – Obecnie dobrze je ukryłem, nawet tym wojakom ich nie pokażę. Za niskie szarże. Jeszcze zarekwirują i pogubią.

– Jeśli to ma świadczyć o naszej niewinności, to pilnuj ich jak oka w głowie – powiedział Bernard niskim głosem.

– Są przy ciałach, nikt tam nie pójdzie, boją się – wyjaśnił Janek. – No, a teraz do roboty. Michał, ty idź do swoich kumpli, niech oni znowu pójdą dalej do młodych. I pamiętajcie, jeśli wyjdzie na jaw, żeśmy tu urządzili samosąd, to sprawą drugorzędną będzie to, czy to był Andrzejek. czy ktoś inny. To ma znaczenie tylko przy podtrzymaniu wersji o samobójstwie.

Skinąłem głową, założyłem czapkę i szalik, po czym ruszyłem do drzwi, razem ze mną Bernard i Kozłowski, który podtrzymywał Kazika.

Wiedziałem, że chłopaki nie siedzą w stodole starego Brysia, była tam obecnie kostnica z ciałami Klimkiewiczów i Andrzejka. Iwonka i Anula spoczywały

w swoich rodzinnych domach. Gdzie Janek mógł ukryć pamiątniki i dlaczego w tak dziwnym miejscu? Przecież logicznym było, że powinien mieć je pod ręką, w swoim pokoju w naszym domu. Nic im tam nie groziło.

Nagle w moim zmańczonym ostatnimi wydarzeniami umyśle rozbłysła jedna myśl, prosta i mocna: on zastawił pułapkę! Przecież nie wierzył w winę Andrzejka, uważał, że morderca jest nadal w osadzie, kryje się wśród nas, a przecież jego głównym celem było zatarcie śladów, zniszczenie pamiątników. Znalazł ten u Alicji, ale mógł nie wiedzieć o innych zapiskach. A może nie znalazł? Może ona go ukryła i Janek w międzyczasie go odszukał? Nie zdążył mi powiedzieć, bo spałem, a on działał wspólnie z Bernardem.

Jakby na potwierdzenie moich słów podszedł do mnie i wziął mnie pod ramię.

– Rozumiesz? – wyszeptał mi do ucha.

– Tak.

– Świetnie. Przekaż to o tych pamiątnikach chłopakom, zgoda?

– Jasne.

– Będziesz musiał mi pomóc w nocy.

– Dobrze.

– Jak ich powiadomisz, to poczekaj, aż żołnierze wyjdą ze świetlicy, wtedy pogadamy.

Poklepał mnie po ramieniu i wrócił do świetlicy, ja w przedsiionku zawiązałem mocniej szalik i wyszedłem przed budynek. Rozeszliśmy się zaraz za drzwiami, bo zobaczyliśmy z daleka, że do świetlicy idą już żołnierze prowadzeni przez mojego młodszego braciszka.

Ruszyłem w mróz i od razu zacząłem jaśniej myśleć. Skoro Janek powiedział o pamiątnikach w takim, a nie innym gronie, a w dodatku prosił o powiadomienie Przemka i Mietka, to upatrywał mordercy właśnie wśród nas. Kazik? Bernard? Mój ojciec? Przemek? Mietek? A może ja? Żaden mi nie pasował na sprawcę tak brutalnych poczynań, absolutnie żaden.

Pierwszy po drodze ze świetlicy był dom Przemka i tam znalazłem chłopaków. Siedzieli w murowanej drewni, w której gospodarze zazwyczaj mieli mały warsztat do naprawy domowych sprzętów, ale oczywiście nie Kazik, bo ten do żadnej roboty nie chciał się wziąć. Jego syn już dawno przygotował sobie to miejsce jako azyl, uciekał tam zawsze, gdy stary przesadził z bimbrem. Z tego, co wiedzieliśmy, jak się upił, to szedł spać, nigdy nie podnosił ręki na matkę czy syna, ale zwykł prawić obydwójgu głośne morały, co Przemek komentował, że wolałby już po mordzie dostać, przynajmniej by ojcu oddał.

W drewnutni stała mała koza, która dawała nieco ciepła, chociaż przy takim mrozie i tak trzeba było siedzieć w kurtkach i czapkach. Cztery taborety naprawione przez Przemka, stół zrobiony przez niego z pnia starej sosny, którą w zeszłym roku przewrócił wiatr. Mój kolega miał niezłe zdolności manualne i jeśli poświęcił się temu w przyszłości, mógłby sobie całkiem dobrze żyć.

– No nareszcie – powitał mnie Mietek. – Opowiadaj.

– A nie ma za bardzo o czym.

– Przecież wojskowi przyszli z twoim ojcem – powiedział Przemek. – Co to teraz będzie?

– Właśnie w świetlicy im raportują, co zaszło w ostatnich dniach – poinformowałem.

– Wszystko?

– Można powiedzieć, że tak – odpowiedziałem.

– A za to, cośmy zrobili Andrzejkowi, to nic nam nie będzie? – zapytał Przemek. – Przecież to był morderca, co nie? Mieliśmy święte prawo tak zrobić.

– Był – odparłem z przekonaniem. – I tu jesteśmy przy prawdzie, tego nam nikt nie zabierze. Janek ma nawet na to jakieś zapiski, które znalazł dzisiaj. Ukrył je w stodole starego Brysia i ma pokazać prokuratorowi.

– Jakie zapiski? – zapytał Mietek. – Czyje?

– Którejś z dziewczyn, chyba Anuli – powiedziałem. – Taki rodzaj pamiętnika. Wszystko tam opisała.

– Dzięki Bogu – westchnął z widoczną ulgą Przemek. – Bałem się, że będą tutaj w osadzie jakieś sądy urządzać, żeśmy niby zabili niewinnego. Bo to pewnie odpowiedzialność zbiorowa by była, widziałem kiedyś w telewizji, w jakimś filmie.

– Tu prawda nie ma znaczenia – odezwał się poważnie Mietek. – Nie można samemu złapać mordercy i go zabić. Jak to mówią, zabijesz bydlaka, ale odpowiadasz jak za człowieka.

– No jak to tak? – Przemek wstał zdenerwowany ze swojego taboretu. – To już nie ma żadnej sprawiedliwości na tym świecie?

– Ze sprawiedliwością to jest właśnie tak, że jest ona względna, gdyby każdy ją brał po swojemu – odpowiedział mu Mietek. – Dlatego została ujęta w kodeksy, już w starożytnym Rzymie, pamiętasz ze szkoły?

– No tak.

– Jedna dla wszystkich, niezależnie od urodzenia czy majątku, ale też i punktu widzenia. *Dura lex, sed lex*. Twarde prawo, ale prawo. To sąd ocenia, czy komuś

należy się kara śmierci, czy nie. Bezstronnie. Bez emocji. Po rozpatrzeniu sprawy. Sąd! Nie tłum wieśniaków z widłami.

– Ale był winny – powtarzał swoje Przemek, ciągle chyba nie rozumiejąc tego, co Mietek próbował mu wytłumaczyć.

– Tak – wpadłem im w słowo. – Dlatego też musimy sami się bronić.

– Bronić? – zdziwił się Przemek. – Ale jak?

Wytłumaczyłem im, jaki plan przyjęliśmy w świetlicy i wspomniałem o tym, co opowiadał Janek, o procesach pokazowych i karach śmierci. Słuchali. Kiwali głowami. W końcu obaj się zgodzili.

– Trzeba będzie szczególnie przyjezdnym wytłumaczyć – oznajmił Mietek, mając na myśli tych z naszych roczników, którzy zjechali na przerwę świąteczną do rodzin.

– Nie było ich pod jesionem – powiedział Mietek. – Jak wieszaliśmy Andrzejka, to z młodych było tylko nas trzech.

– Ciekawe, co im powiedzieli rodzice. – Mietek wstał z taboretu, by podrzucić do kozy drewna.

– Nic – odparł Przemek. – Wiem, bo gadałem rano z Grzesiem i ubolewał, że Andrzejek to samobójca i trudno go będzie na poświęconej ziemi pochować.

– Ze starych nikt słowa nie piśnie – stwierdziłem. – Za bardzo szanowali Klimkiewiczów, za duża tragedia się stała i każdy stanie murem za resztą. Młodych trzeba wybadać i przekonać, żeby na przesłuchaniu nikomu nie pisnęli ani słowa.

– Będą nas przesłuchiwali? – zapytał ze strachem w głosie Przemek.

– A czegoś się spodziewał? – zdziwił się Mietek. – Pewnie, że będą, każdego. Muszą dojść, co tu zaszło.

– Spokojnie, to prędko nie nastąpi – powiedziałem szybko, widząc, że Przemek zbladł. – Dziś wojskowi tylko muszą potwierdzić, że to, co mój ojciec powiedział, wzywając ich do osady, jest prawdą. Dopiero oni sprowadzą milicję, a to i tak potrwa, bo sami widzicie, zima jak zła w tym roku. Zdamy ustalić, co kto ma mówić, i jak wszyscy będą mówić jednym głosem, to szybko zapomną o naszej osadzie.

– Jednym głosem – powiedział spokojnie Mietek.

– Dokładnie.

– To do roboty – rzekł, wstając i uderzając Przemka w ramię. – Weź się w garść, na strach przyjdzie czas, jak zjawi się milicja na przesłuchania.



– Ja się nie boję – odpowiedział mu kolega. – Ja po prostu uważam, że cokolwiek nam zrobią, to będzie to niesprawiedliwe. Bo my dobrze postąpiliśmy.

– *Dura lex, sed lex* – powtórzył łacińską sentencję Mietek.

Wyszli z drewnutni i ruszyli w głąb osady, a ich kroki zachrzęściły na śniegu. Ja skierowałem się za to pod świetlicę, aby sprawdzić, czy wojskowi skończyli rozmawiać z Jankiem i moim ojcem, ale w oknach wciąż było widać blask lamp naftowych, którymi oświetlano wnętrze. Zajrzałem przez zmrożoną szybę, ostrożnie, aby mnie nikt nie dostrzegł, i zobaczyłem, że rozmowa trwa. Siedzieli we czwórkę przy piecu kaflowym, chłonąc chociaż odrobinę jego ciepła, żołnierze nie rozstawali się ze swoimi karabinami. To musiało jeszcze potrwać, nie było sensu, abym tu marzył, bo mróz dawał nieźle popalić.

Najbardziej ciągnęło mnie do stodoły, aby zacząć się na tego, który przyjdzie poszukiwać pamiętników, ale jedna rzecz nie dawała mi spokoju. Musiałem porozmawiać z dziadkiem i babką o Marze.

Przyjęli mnie jak zawsze, z uśmiechem oraz propozycją czegoś do jedzenia i picia. Skorzystałem, bo tęgi mróz wycisnął resztkę ciepła nawet ze szpiku moich kości, gorąca herbata i porcja pierogów wydawała się niezwykle kuszącą propozycją. Odkąd zamieszkał z nami Janek, to we dwójkę siedzieli raczej w swoim domku, rzadziej bywali u nas. Gdy już wróciłem nieco do siebie, zadałem pytanie, które zdjęło uśmiech z twarzy moich dziadków.

– Co takiego narobiła Mara w waszej wsi, tej, co to mieszkaliście przed przesiedleniem? – zapytałem wprost, bo i nie było sensu kluczyć.

– To już wszystko było – powiedział spokojnie dziadek.

– Co dokładnie?

– No: to wszystko. – Pokręcił głową, jakby wskazywał całą osadę.

– Daj spokój – wtrąciła się babcia. – Co było, to było, po co wspominać.

– Dziadku, co tam się wydarzyło? – powtórzyłem pytanie, nieco podnosząc głos, aby im uzmysłowić, że to naprawdę dla mnie ważne.

– Ginęły dziewczyny – oznajmił dziadek, rzucając nerwowe spojrzenie na babcię.

– Nie ma o czym gadać. – Ta znowu się wtrąciła. – To było prawie trzydzieści lat temu. I zostało tam, w naszej wsi. Spalili ją do gołej ziemi, nic nie zostało, więc i wspomnienia też powinny zostać pochowane.

– Daj spokój. – Dziadek machnął ręką. – Teraz gorzej jest, więc nie ma co gadać, że się wywołuje wilka z lasu. Wtedy to tylko dwie Mara zabrała. I to obydwie

sieroty, siostry znaczy się. Jedna to była w twoim wieku, a ta młodsza to z dwa lata mniej miała. I jak nastła zima, to Mara po nie przysła.

– To już się na wiosnę miało – poprawiła go babcia.

– Zima jeszcze była. – Nie dawał za wygraną dziadek. – Ale fakt, że śnieg mały i mrozy nieporównanie słabsze, ale zima.

– I nie znaleźliście mordercy? – zapytałem.

– A bo to kto szukał? – Babka wzruszyła ramionami. – W strachu wszyscy żyli, bo wysiedlali wieś po wsi. Spakowani byliśmy na wszelki wypadek i słusznie, bo po nas też przysli. Ciężarówka zajechała i jazda, uciekać. Wtedy to się nikt z człowiekiem nie liczył, a i kula w łeb była na porządku dziennym.

– No to te dziewczyny, jak znaleźliśmy w nocy martwe, to radziłyśmy, co robić – powiedział dziadek. – Aż tu nagle zajechali wojskowi do osady i dalej pakować się, wyjeżdżać. No tośmy je wzięli i... Świat o nich zapomniał.

– Co dokładnie zrobiliście? – zapytałem, nie ustępując.

– Do studni je wrzucili – powiedziała babcia.

– Jak tak było można? – Nie mogłem uwierzyć w to, co słyszę. Miałem do tej pory moich dziadków za chodzącą dobroć, mądrych i uczciwych ludzi, których stawiałem sobie za wzór, a nie za kogoś, kto ukrywa zwłoki młodych dziewcząt i jeszcze nie widzi w tym niczego złego.

– Michałku, nie było cię wtedy z nami – powiedziała babcia spokojnym głosem. – Twoi rodzice byli wtedy młodszy niż ty teraz. My mieliśmy naprawdę inne zmarwienia.

– Niż dwie martwe dziewczyny, tak? – rzuciłem oskarżycielsko.

– A, tak – odparł butnie dziadek. – Jeść nie było co, zima ciągnęła się od listopada i wojsko z karabinami wyrzucało nas z domów. Bieda aż piszczła, to zaraz po wojnie było. Gdyby nas wtedy nie przesiedlili, to milicję by się zawołało, jak trzeba, sprawę wyjaśniło, ale to nie był czas na dochodzenie sprawiedliwości, nikt nie przestrzegał prawa, a już najmniej władza. To, co nam zrobili, to było może i zgodne z ich świeżo napisanymi kodeksami, ale czy było dobre, uczciwe, sprawiedliwe?

*Dura lex, sed lex* zabrzmiało mi w głowie wypowiedziane głosem Mietka. Przecież akcja wysiedleńcza też była zgodna z prawem, ustanowionym na szybko pod zamówienie i z potrzeby chwili.

– Michasiu, nie myśl o nas źle. – Babcia podeszła i złapała mnie za dłonie, poczułem jej starą, miękką skórę, ciepłą i kojarzącą się z bezpieczeństwem. Ile razy mnie przytulała, głaskała, uspokajała i usypiała? Czy fakt, że kiedyś ważniejsze

były dla niej własne dzieci niż dwie sieroty wrzucone do studni, zmieniał cokolwiek w naszej wspólnej miłości? Jak ja bym się zachował jako ojciec, głowa rodziny w takiej sytuacji? Zadbaliśmy w pierwszej kolejności, żeby moja rodzina cała i zdrowa dotarła do nowego miejsca zamieszkania, starał się uratować jak najwięcej z dobytku.

Tak jak teraz powinienem stanąć na wysokości zadania i złapać prawdziwego mordercę Alicji lub też potwierdzić, że był nim Andrzejek.

– Dziadku, czy wiesz, kto wtedy zabił te dziewczyny? – zapytałem, patrząc w jego okolone siatką zmarszczek oczy. Dwa błękitne, blednące z każdym dniem punkty, które też widziały to, co ja, czyli zamordowane dziewczyny z własnej osady.

– Nie – odpowiedział krótko. – Wiele nocy, szczególnie takich zimowych, spędziłem, myśląc, kto i dlaczego skrzywdził te dwie piękne dziewczyny, co komu one uczyniły aż takiego złego, że musiały zginąć, i nie wiem.

– A jak zginęły?

– Udusił je – powiedziała babcia. – Ślady na szyjach miały.

– Widziała je babcia?

– Ja je znalazłam – odparła. – Zawołałam dziadka, ten swoich kolegów i oni już radzili, co robić.

– A ten Andrzejek to winny był? – zapytał nieoczekiwanie dziadek.

– Mnie się zdaje, że tak. – Odstawiłem kubek po herbacie. – Wszystko na niego wskazuje.

– To dobrze, że złapany, ale szkoda, że tak skończył. – Dziadek wyjął z kieszeni kapiuch z tytoniem i począł nabijać fajkę.

– Sam sobie winien – oświadczyła babcia.

– Dziadku... – Pochyliłem się nad stołem. – Ale ten, co zabił te dwie dziewczyny, wtedy, przed przesiedleniem, to chyba przyjechał tu ze wszystkimi, co nie?

Staruszkowie spojrzeli na mnie jednocześnie, jakbym powiedział coś mocno niestosownego. Dziadek zapalił fajkę i wypuścił chmurę dymu.

– Pewnie tak – odparł. – Cała nasza wieś w komplecie tu dojechała, nikomu nie pozwolili pojechać gdzieś indziej. Zresztą kto by chciał, dostawało się dom i kawał ziemi, a wracać zakazali, zresztą nie było do czego. Jeszcze jak siedzieliśmy na ciężarówkach, to chałupy podpálili.

– To nie był łatwy czas – dodała babcia. – I obyś nigdy nie musiał w takich żyć. Nie myśl o nas źle.

– Kocham was. – Wstałem i pocałowałem babcię w policzek, a dziadka uściskałem mocno.

Ubrałem się i wyszedłem na mróz, który powitał mnie jak starego przyjaciela tym samym uściskiem, który dobrze znałem: zimnym i piekącym. Podeszedłem ponownie pod świetlicę i ciemność w oknach wyraźnie mówiła, że spotkanie z wojskowymi dobiegło końca. Spóźniłem się, ciekawe, gdzie poszedł Janek w takim razie. Ojciec najpewniej wrócił do domu albo odprowadzał żołnierzy do Bernarda, u którego mieli nocować.

Skierowałem się do stodoły starego Brysia, zastanawiając się, jak podejść, żeby Janek nie wziął mnie za tego, który przyszedł odzyskać pamiętnik. Może czaił się za węglem z kijem albo siekierą, czekając przy swojej pułapce i w tak ciemną i pochmurną noc, wśród zacinającego śniegu mógł mnie nie rozpoznać.

Na szczęście znałem tę stodołę jak własną kieszeń, bywałem przecież w niej niemal każdego dnia, najczęściej po zmroku. Normalne wejście prowadziło, jak to zamyslił sobie niegdyś Niemiec, przez bramę, potem podwórzem i wprost do wrót stodoły, tak aby wylądowany po brzegi wóz mógł w linii prostej wjechać prosto pod dach. Było też oczywiście drugie wyjście, aby wyjechać ze stodoły wprost w pole, no i trzecie prowadzące od domu.

My mieliśmy czwarte, własnej roboty. Przygotowaliśmy je, aby nikt nie widział, że akurat wchodzimy do naszej meliny, a szczególnie rodzice. Sprawa była banalnie prosta. W murze z boku stodoły wybiliśmy kilka kamieni, tak że utworzyły się naturalne schody, oczywiście widoczne tylko dla wtajemniczonych. Można było zatem minąć główną bramę, przejść wzdłuż ogrodzenia, po czym skręcić za róg i zniknąć z oczu wszystkim niepowołanym osobom postronnym, przejść kilka metrów, wspomagając się brzozą rosnącą przy ogrodzeniu, użyć schodów i już było się na podwórku przy samej stodole. Potem odsuwało się wielką drewnianą beczkę ustawioną jeszcze przez starego Brysia do zbierania deszczówki, a za nią było szerokie okno przygotowane do zrzucania kartofli do piwniczki, łatwe do pokonania nawet w zimowym płaszczu. Z piwniczki już prosta droga po schodach wprost do stodoły.

Śnieg ułatwiał sprawę, nasypało go tyle, że skracał mur konieczny do pokonania o połowę. Szybko przeskoczyłem ogrodzenie, wylądowałem przy starej beczce, która po śnieżycy też była zavalona śniegiem, ale w ostatnich dniach Przemek z Mietkiem przygotowali nasze tajne wejście, usuwając zwały śniegu. Odsunąłem ją, przeszedłem przez okno i wylądowałem w zatęchłej piwnicy. Ależ tu było ciemno, jakby sam szatan rozlał z nasmołowanego kotła ciemność, gęstą niczym grzechy ludzkości.

Stałem chwilę, aby oczy chociaż odrobinę przyzwyczyły mi się do tego mroku, i kląłem sam siebie w duchu, że nie zabrałem chociażby zapalek. A nie, te powinienem mieć. Pomacałem się po kieszeniach, trafiłem na scyzoryk podarowany mi przez stryja, niemal o nim zapomniałem, aż natrafiłem na to, czego szukałem, nieco pomięty kartonik z zapalkami. Wyciągnąłem go, wyjąłem zapalną i skrzesalem ognia, mrok natychmiast rozstąpił się, jakby ktoś rozsunał zasłony w pokoju chorego, ale i tak samo nastał ponownie, bo ktoś złapał mnie za usta i jednocześnie za szyję, gasząc przy tym płomień.

– Cicho! – szept należał bezsprzecznie do Janka. – To ja.

– Yhm – wydusiłem spod zatkanych ust.

– Puszczę cię, ale nie mów ani słowa.

Moje usta znów były wolne, ręka zniknęła także z szyi.

– Nic nie mów – szeptał Janek. – On tu jest. Na gorze.

Odruchowo przestałem nawet oddychać, starając się ignorować łomot wystraszonego serca, i usłyszałem kroki nad nami.

Janek miał rację. On tam był.

## ROZDZIAŁ 32

### *Wspomnienie*

*Rok 2023*

Jan Ryś pił kawę i delektował się jej smakiem, bo wszystko wskazywało na to, że więcej nie wypije ani jednego kubka w towarzystwie dwóch policjantów. A może nawet była to ostatnia kawa w jego życiu, kto wie?

Może jego. Może ich. Kto wie. W każdym razie jedli pączki, pili kawę z kartonowych kubków i za chwilę mieli ruszać do miejsca, gdzie przed ponad czterdziestoma laty doszło do wydarzeń, które zdeterminowały jego całe życie. Na postój wybrali parking przy kościele we Wnykach, z którego szło się wąską ścieżką, znaną tylko wtajemniczonym.

– Szczęść Boże – rozległo się zza ich pleców i jak spod ziemi wyrósł przed nimi ksiądz, starszy, koło sześćdziesiątki, ale wyglądający zdrowo, bez kilograma nadwagi, jakby ćwiczył lub biegał. Nie miał na sobie sutanny, lecz biały habit, co świadczyło, iż mają najpewniej do czynienia z zakonnikiem.

– Szczęść Boże – odpowiedzieli we trzech równo, co wywołało na twarzy duchownego uśmiech.

– Smaczna kawa? – zapytał zakonnik. – Gdybym wiedział, że panowie bez śniadania, to zaprosiłbym do swojego ogródka przy plebanii.

– A nie, prosimy się nie kłopotać – odezwał się Sukiennik. – Ładujemy baterie przed krótką wycieczką.

– Turyści u nas to rzadkość – stwierdził duchowny. – Jestem tu co prawda od marca, ale to szczyt sezonu, gdy w Szklarskiej Porębie tłumy i nie ma gdzie na kawę usiąść, a u nas prawdziwa pustynia. Gdzie się panowie wybierają? Bo jak zwiedzić ruiny klasztoru, to nie ma na co patrzeć, ledwo ślad po podmurówkach został, wszystko wywieziono na odbudowę Wrocławia.

– Klasztor? – zaciekawił się Podyma. – Dominikanów?

– Kamedułów – poprawił go zakonnik. – Ale oni dawno odeszli, a mnie tutaj przysłano celem reaktywowania parafii. Ostatni ksiądz odszedł stąd i od dwóch lat kuria nie obsadziła tutaj żadnego pasterza. Jednak zdecydowano się w końcu oddać to mojemu zakonowi, Dominikanów, jak słusznie raczył pan zauważyć,

i ja tutaj osiadłem. To ciekawe miejsce, chociaż parafianie nieco nieufni w stosunku do obcych, no a ja nietutejszy przecież.

– Idziemy do osady – Sukiennik wskazał ręką na gęste zarośla, które według Rysia wiodły na miejsce.

– Osady? – zdziwił się zakonnik. – A to pierwsze słyszę

– Lata temu była tam wieś – odezwał się Jan Ryś. – Nie podlegała pod tę parafię, ale do Wnyków chodziło się, chociażby na pasterkę.

– Była? – zapytał duchowny. – Co się z nią stało?

– Wyludniała się trochę za szybko – odpowiedział Ryś, zastanawiając się, czy to nie trąci czarnym humorem. – W końcu zapadła decyzja o rozbudowie Jeziora Wrzeszczyńskiego, aby dodać mocy elektrowni Wrzeszczyn, teren zalewowy miał objąć właśnie tę osadę i wszystkich wysiedlono. Potem władza się zmieniła, brakło środków i projekt upadł, a ludziom już wrócić nie pozwolono.

– Straszne, tak przenosić ludzi dla zachcianki władzy. – Zakonnik złożył ręce pod habitem i posmutniał. – No nic, życzę udanego dnia, a w drodze powrotnej zapraszam do mnie na herbatkę lub coś mocniejszego.

– Jeśli tylko czas pozwoli, to z chęcią – zapewnił go Sukiennik.

Dominikanin skłonił się lekko i ruszył w stronę kamiennego kościoła, który przycupnął na skraju lasu niczym stary kot.

– Lepiej chyba było nie wracać na te święta, co nie? – zagaił komisarz Krzysztof Podyma, z lubością wgrzyzając się w pączka z tradycyjnym nadzieniem z róży, jego ulubionym, zresztą podobnie jak i Sukiennika. Ryś wołał te z powidłami śliwkowymi.

– Gdyby człowiek wiedział, że się przewróci, to by se usiadł – odpowiedział mu filozoficznie Ryś.

– Niby racja – przytaknął komisarz.

– A wie pan, do czego jeszcze dotarliśmy? – zapytał nieoczekiwanie Sukiennik, tym samym skazując na śmierć piknikową atmosferę i stając się jej katem.

– Już zaczynam się bać – skomentował emeryt.

– Moim zadaniem było prześledzić wszystkie pana sprawy – kontynuował niezrażony podkomisarz.

– Z całego serca współczuję – zażartował Ryś.

– A nie ma czego, kawał świetnej lektury, powinni na nich uczyć młodych w szkołach policyjnych. Jednak jedna sprawa mocno mnie zdziwiła, właściwie nie tyle sprawa, co nakaz badań terenu w małej wsi na Podkarpaciu, dziś już właściwie nieistniejącej. Dyrdy. Kojarzy pan?

– Jestem stary, ale jak sami zdążyliście zauważyć, pamięć mi nie posiwiała.

– Ta wieś to miejsce, skąd przesiedlono mieszkańców osady, zgadza się?

– Dokładnie.

– To nie był pana rejon w żadnym z etapów kariery, najpierw milicyjnej, a potem policyjnej, więc zwróciło to moją uwagę.

– Gratuluję spostrzegawczości. – Jan Ryś wytarł dłonie w serwetkę dostarczoną wraz z pączkami.

– Niech pan o tym opowie.

Emerytowany policjant schował do kartonowego pudełka zmiętą serwetkę i sięgnął po kubek z kawą, po czym opróżnił go do końca. Pomimo iż była ze stacji benzynowej, to smakowała całkiem niezle.

– Już o tym mówiliśmy – powiedział. – Czyli o chwili, w której zaczyna brakować jakichkolwiek punktów zaczepienia przy śledztwie, człowiek łapie się wtedy wszystkiego. Jak sądzicie, o co mogło mi chodzić?

– Wydarzenia w osadzie miały miejsce trzydzieści lat od przesiedlenia – stwierdził Sukiennik. – Bardzo możliwe, że morderca miał swoje lata i przybył z Podkarpacia. Szukał pan jego śladów w starej wsi.

– Dokładnie. – Jan Ryś skinął głową z uśmiechem. – To był ślepy strzał, no może nie do końca, bo faktycznie mogliśmy coś znaleźć. W końcu, gdyby kogoś zamordował wcześniej, to moglibyśmy na coś natrafić.

– Ale poprzednia osada została zrównana z ziemią – zauważył komisarz Krzysztof Podyma.

– I takie też zastrzeżenia mieli przełożeni – westchnął Ryś, ruszając z miejsca, bo policjanci skończyli jeść swoje pączki, zostawili sobie jeszcze po jednym na później.

– Jednak dali się przekonać – powiedział Sukiennik.

– Wierciłem im dziurę w brzuchu, ale mieli też ciśnienie na rozwiązanie tej sprawy. Była ukrywana, ale z racji tego, że wydarzenia miały miejsce niemal na końcu świata, to i nie była to trudna sztuka. Wszyscy chcieli szczęśliwego końca, gdy będzie można pochwalić się schwyтaniem mordercy. Zatem tak, w końcu się ugięli i w wielkiej tajemnicy pozwolono mi wraz z niewielką ekipą sprawdzić tereny po dawnej osadzie. Pamiętajcie też, jakie to były czasy, musiał wypowiedzieć się komitet polityczny, a kwestia przesiedleń była wtedy tematem, o którym się po prostu nie mówiło.

– I znaleźliście coś? – zapytał Podyma.



– To, co i tutaj. – Jan Ryś wskazał na mijane pozostałości po dawnym klasztorze, dziś były to resztki podmurówek zarośnięte gęsto roślinnością. – Zarośnięte miejsce, które można by minąć, nie zauważając, że kiedyś kwitło tam życie. Wykrywacze metalu łapały gwoździe, złota i kosztowności nie znaleźliśmy. Zgliszczają ruiny. Co się nie spaliło, to okoliczna ludność rozebrała na kamień i drewno do palenia w piecach.

– W raporcie jest jednak wzmianka o studni – powiedział Sukiennik.

– O proszę, zaskoczony jestem. – Jan Ryś zatrzymał się, aby otrzeć chustką pot z czoła, na dziś zapowiadano bardzo wysokie temperatury. – To były utajnione akta i teraz chyba pieczęć ma nad nimi Instytut Pamięci Narodowej.

– Udało się uzyskać dostęp – poinformował go Sukiennik.

– Czyli wszystko wiecie, nie ma o co pytać – stwierdził emeryt.

– W studni na skraju dawnej osady odnaleźliście szczątki dwóch kobiet, młodych – oznajmił podkomisarz. – Lekarz sądowy nie był w stanie ustalić daty zgonu, stwierdził, że najprawdopodobniej to z czasów drugiej wojny światowej, bo studnia była zaniedbana i najpewniej nieużywana.

– Tak napisał w raporcie – zgodził się Ryś.

– A pan się z tym zgadza? – zapytał Podyma.

– Nie ma to znaczenia.

– Dlaczego?

– Bo to niczego nie wniosło do sprawy. – Ryś po złapaniu oddechu ruszył zarośniętą ścieżką. – Nie miały przy sobie dokumentów, przyczyna zgonu trudna do ustalenia, najpewniej zagardlenie, wnosząc po uszkodzeniach gości gnykowych, zatem nie sądzę, aby to były ofiary wojny. Niemcy lubowali się w rozstrzeliwaniu, a ruscy podobnie, tyle że walili z naganów w tył głowy. Wcześniej gwałcili. A podobno czasem i później. Gdyby był przy nich jakiś nóż, siekiera, cokolwiek, to można by się pokusić o odbitki palców, a tak to dupa błada.

– Czyli uznano je za ofiary wojenne, co zamykało sprawę? – zapytał Sukiennik.

– Dokładnie – odpowiedział Ryś. – Prokuratorowi było to cholernie na rękę, bo sprawa uciekała z jego jurysdykcji i szła pod Główną Komisję Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, a tam została odłożona na półkę. Ja postanowiłem nie włączać jej do akt sprawy, bo nie widziałem w tym najmniejszego sensu. Zły byłem wtedy, że niczego nie znaleźliśmy. Ja już naprawdę nie miałem pomysłu, w którym kierunku mam podążać.

Wyszli z gęstych zarośli na ubitą drogę, którą z dwóch stron porastały krzaki i drzewa. Nie był to asfaltowy trakt, a szutrówka.

– Pomyśleć, że kiedyś mijały się tu dwa samochody – powiedział Ryś, rażno stawiając kroki.

– Natura szybko radzi sobie sama, co nie? – Sukiennik ledwo mówił, był mocno zasapany, ewidentnie bardziej służyło mu siedzenie za biurkiem niż wycieczki w upalne dni.

– Nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las – stwierdził Podyma, podążając za Rysiem.

– Lepiej w upał czy na mrozie tędy iść? – zapytał Sukiennik, sapiąc ciężko. – I czy daleko jeszcze?

– Kawalek – odpowiedział mu Jan Ryś i zatrzymał się na chwilę na lekkim łuku drogi. – Popatrzcie, tutaj wpadł do rowu autobus Andrzejka.

Wskazane przez niego miejsce nie wyglądało szczególnie groźnie. Zakręt, ale niezbyt ostry, chociaż brakowało mu charakterystycznego dla współczesnych dróg wyprofilowania, które pomagało utrzymać pojazd w łuku.

– Niesamowite – stwierdził Podyma. – Czuję się jak na jakiejś wycieczce w muzeum.

– Wspomnienia wiecznie żywe – powiedział Ryś, podchodząc bliżej do feralnego rowu. – Jakby to było wczoraj. Dobra, idziemy, panowie, na popołudnie zapowiadają burze, nie chcę tu utknąć po raz drugi w życiu z powodu pogody.

Obydwa policjanci zaśmiali się i poszli śladem emerytowanego kolegi.

## ROZDZIAŁ 33

### *Ciemność*

*Rok 1978*

Ciemność ma smak i zapach, wydaje też dźwięki. Brednie gadam? Otóż nie. Stańcie kiedyś w kompletnie ciemnym pomieszczeniu, bez grama światła, mając nad sobą bezlitosnego mordercę, którego kroki odmierza delikatne szuranie ciężkich butów.

Ciemność poczęstuje was zapachem potu, który zacznie ściekać wam po twarzy ze strachu. Ciemność wypełni wam uszy łomotaniem serca, które pocznie pompować krew z hukiem grzmotu nadciągającej burzy. Ciemność poczęstuje was smakiem przełykanej śliny, gdy będziecie chcieli zabić suchość w ustach.

Ciemność was pochłonie, przytępi zmysły, zwiedzie na manowce.

– Musimy wyjść – wyszeptał mi do ucha Janek.

– Dobrze – odpowiedziałem, chociaż miałem tak sucho w ustach, że nie chciało przez nie przejść żadne słowo.

– Nie może nam uciec. Chodź.

Zamknąłem oczy, chociaż w ciemności to przecież dziwne, ale tak lepiej mi było się skupić. Nie myśleć o tym, że mimo mrozu człowiekowi jest gorąco jak w sierpniu. Wygłuszyć bicie serca. Zapomnieć o strachu. Przypomnieć sobie rozkład piwnicy, przez którą przechodziłem tyle razy i to niemal zawsze po ciemku, chociaż uchylone na górze drzwi sączyły nieco światła w ten basen pełen czerni. Jednak nie dziś.

Ruszyłem i poszło łatwo, jakby mój organizm pamiętał te setki kroków, które do tej pory wykonałem w piwnicy. Niemal bezbłędnie trafiłem na pierwszy stopień, a potem poszło już łatwiej, każdy kolejny pokonywałem jednym, pewnym krokiem. Nie pamiętałem jednak, ile ich jest, więc wyciągnąłem przed siebie rękę, aby spełniała rolę laski niewidomego, w końcu palce natrafiły na zimną powierzchnię drzwi.

– Wchodzić? – szepnąłem niby do siebie, ale chyba Janek to usłyszał, bo poczułem delikatne szturchnięcie w plecy.

Pchnąłem drzwi, grzebiąc zapamiętałe w pamięci w poszukiwaniu informacji, czy zawiasy skrzypiały, czy też nie. Okazało się, że jednak nie, i moje oczy z ulgą przyjęły delikatną poświatę lampy naftowej oświetlającej wewnątrz stodoły. Światło poruszało się, a zatem ktoś ową lampę trzymał w ręku.

Zacisnąłem dłoń na nożu otrzymanym od Janka, wyjąłem go i otworzyłem ostrze. Lepsza taka broń niż żadna. Obejrzałem się, Janek stał za mną z rurką w dłoni. Może lepiej było zabrać ze sobą któregoś z żołnierzy? Wiedziałem, że byli uzbrojeni w karabiny. Scyzoryk, choć nowy, i metrowa rurka to nie była broń, z którą należy wybierać się na polowanie, szczególnie jeśli zwierzyna jest groźna i nie ma oporów przed zabijaniem.

Przepuściłem Janka, w końcu to on tutaj dowodził, był milicjantem, uczono go pewnie obezwładniania przestępców i zacząłem iść za nim. Stodoła miała jedno główne pomieszczenie, do którego wjeżdżał wóz z sianem lub słomą, a po bokach wiele mniejszych kantorków, w których stary Bryś swego czasu miał mały warsztat, trzymał kury, ale też jedno większe do przygotowywania serów, z których był znany. Było najczystsze i to właśnie w nim Janek i Bernard zdecydowali się złożyć ciała ofiar.

Intruz był właśnie w nim, zdradzało go coraz mocniejsze światło lampy, które przestało w końcu błędzić po ścianach i zastygło stałym blaskiem, pewnie morderca znalazł idealne miejsce dla lampy i począł przeszukiwać zwłoki.

Nic nie mówił, nie podśpiewywał, nie mruczał, zupełnie nic, po prostu w ciszy grzebał przy trupach, słyszeliśmy to, jak szeleszczą ich ubrania. W moim wyobrażeniu powinien właśnie nerwowo się śmiać i mamrotać pod nosem do siebie, co zdradzałoby jakiegokolwiek objawy szaleństwa, ale nic takiego nie miało miejsca.

Serce pompowało mi krew do głowy z taką mocą, że szum zagłuszał wszelkie myśli, szkoda, że nie strach. Bałem się dwóch rzeczy: samego mordercy i tego, kto nim jest. Jeśli to jeden z moich przyjaciół, to mój świat się chyba zawali, stracić w kilka dni narzeczoną i kumpla to za dużo. Oby to był ktoś obcy dla mnie, chociażby Kozłowski, którego niespecjalnie lubiłem. W końcu jednak nadszedł moment, że musieliśmy przekroczyć drzwi. Janek odwrócił się tuż przed progiem i kiwnął głową, jakby pytając, czy działamy. Odpowiedziałem podobnym ruchem głowy.

Przekroczyliśmy próg.

Nad ciałami leżącymi na podłodze klęczał mężczyzna, pochylony, przykryty płamą ciemności jedynie lizaną przez wątle światło lampy. Musiał nas usłyszeć, bo odwrócił się.

Mój świat się zawalił.

## ROZDZIAŁ 34

### *Powrót*

*Rok 2023*

Jan Ryś zatrzymał się na leciutkim wzniesieniu, na którym kończył się las, stąd droga już opadała i prowadziła wprost do osady. Usiadł na pniu powalonego jałkasz potężniejszą wicherą drzewa i wyciągnął z turystycznego plecaka butelkę wody i karton z pączkami.

– Tyle zostało z osady. – Wskazał ręką na zabudowania w dole. – Połowa budynków.

– Ja pierdołę, co za kawał drogi – marudził zasapany Sukiennik, siadając obok niego. – Dlaczego nie wzięliśmy rowerów? Albo hulajnogi elektrycznej?

– Nie płacz, ruch dobrze ci zrobi – skomentował Podyma. – Raptem godzinka spaceru wśród dzikiej przyrody, jakby nie patrzeć.

Każdy sięgnął po butelkę z wodą, Sukiennik pił łapczywie niczym swego czasu Smok Wawelski po zjedzeniu barana nadzianego siarką. Ryś poczęstował ich pączkami, zostało po jednym na głowę, Podyma złapał delikatnie swojego w dwa palce, aby nie ubrudzić się lukrem, a jego kolega wręcz rzucił się na swój przydział.

– Nie wzięliśmy żadnych kanapek – powiedział załamany głosem, jakby wieszczęł im co najmniej śmierć głodową.

– Długo nam tu nie zejdzie. – Ryś wstał i schował butelkę do plecaka, wyjął krem z filtrem i przesmarował sobie kark. – Tu naprawdę nie ma nic do oglądania.

– Co pozostało z budynków, które nas interesują? – zapytał Podyma.

– Wyburzanie wsi zaczęli od lewej strony, w której akurat nic się nie działo. – Wskazał ręką na pozostałości po domach. – Mieli skończyć na rzece. Tam jest świetlica, w której się zbierano, ten zapadnięty czerwony dach to stodoła starego Brysia. Ten z białym kominem to dom Klimkiewiczów. Chałupa Andrzejka to ta niska z zerwanym dachem. Jesionu nie ma, ścięto go, jak już wspominałem.

– Wydawało mi się, że ta osada była dużo większa – stwierdził Sukiennik, obliżując palce z lukru po pączku.

– Jak widzicie, nie ma miejsca za bardzo. Z jednej strony płynie rzeczka, z drugiej jest wzniesienie, chaty budowali pośrodku. Jak ta zima przyszła, to gdyby ludzie nie odśnieżali, zasypałoby równo do tego lasu, gdzie teraz siedzimy.

– Ładnie tu – stwierdził komisarz Krzysztof Podyma, rozglądając się. – Nie dziwię się, że się tutaj ktoś osiedlił, serio.

– W zimie pewnie gorzej to wygląda – odparł Sukiennik, wstając z kłody i wycierając dłonie w mokrą chusteczkę.

– Idziemy? – zapytał Ryś.

– Tak jest, załatwmy to – odpowiedział mu Podyma.

– Co chcecie zobaczyć w pierwszej kolejności?

– Lećmy po kolei – zaproponował komisarz. – Dom Klimkiewiczów?

– W sumie pierwszy z brzegu – zgodził się Ryś, zarzucając plecak na ramiona.

Ruszyli za nim, ostrożnie wchodząc w stare, martwe i zapomniane miejsce.

Jednak nie opuszczone.

# ROZDZIAŁ 35

## *Koniec świata*

*Rok 1978*

Postać podniosła się z posadzki i przybrała formę złożoną ze światła i cienia, niczym legendarna Mara, która wymyka się ludzkiemu pojmowaniu, lecz mnie nie mogła oszukać. Widziałem dobrze, kto stoi na wprost mnie z zaciętą miną, zaciskając w ręce nóż, który podniósł z podłogi ze zgrzytem ostrza o kamienną posadzkę.

– Tato? – zapytałem kompletnie bez sensu, bo fakty mówiły za siebie, ale jego obecność tutaj była dla mnie bez sensu. – Co ty robisz?

– Czekam na was – odpowiedział natychmiast.

– Dlaczego grzebałeś przy ciałach? – rzuciłem oskarżycielsko, chcąc, aby zaprzeczył, że to robił, podał mi na tyle racjonalny powód, niebudzący żadnych zastrzeżeń, abym mógł spokojnie przejść nad tym do porządku dziennego.

Nie odpowiedział.

– Janek? – skierowałem się w stronę stryjka, jednak ten stał bez cienia zaskoczenia na twarzy. – Ty wiedziałeś? – wyszeptalem, czując, że słowa ledwo mi przechodzą przez gardło.

– Tak – odpowiedział, nie spuszczać mojego ojca z oczu.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś?

– Bo byś mi nie uwierzył – odparł. – Sam nie byłem pewny aż do teraz, jednak po rozmowie z żołnierzami upadła moja ostatnia wątpliwość.

– Jaka? – odezwał się mój ojciec niskim głosem z nutą kpiny.

Nie bronił się, nie zaprzeczał, nie protestował. Ot stał tam sobie, po prostu, z nożem w dłoni i patrzył na Janka wyzywająco.

– Drugie morderstwo popełniono, gdy byłeś poza osadą – powiedział spokojnie. – Jednak ty nie poszedłeś po pomoc, wyszedłeś za osadę i wróciłeś, przeczekaliśmy gdzieś do zmroku, po czym poszedłeś po Iwonkę. Żołnierze powiedzieli mi, że nikt z naszej osady nie dotarł do Wnyków z prośbą o pomoc. Absolutnie nikt. Musieli pilnie ewakuować swojego dowódcę z Wnyków, ten utknął na plebanii i pojechali po niego, dokładnie w dniu, w którym niby tam się pojawiłeś.



– To już teraz nie ma znaczenia – odpowiedział ojciec. – Ważne jest tylko to, co zrobimy za chwilę. Czy rozejdziemy się, czy też będziesz chciał mnie zabić, bo aresztować się nie pozwolę.

– Zabiłeś Alicję? – zapytałem, nie wierząc w to, co słyszę.

– Tak – odpowiedział krótko ojciec bez żadnego tłumaczenia, udowodnienia swojej racji, podawania powodu, próby ocalenia miłości między nami. Jedno krótkie słowo. Jak uderzenie siekierą w głowę.

– Alicję i wszystkich pozostałych – uzupełnił Janek. – Zaczął od Anuli, która była z nim w ciąży. Zakochała się, biedna dziewczyna, w starszym od siebie, tak bywa, pech. Ale u niej to nie była zwykła nieszczęśliwa miłość, kosztowała ją życie.

– Nie chciała wyskrobać – poinformował ojciec beznamiętnym tonem, jakby nie należało się nam ani jedno słowo wyjaśnienia więcej.

– Tato... – powiedziałem tylko tyle, bo na więcej nie było mnie stać.

– Michaś, tak czasem w życiu jest – odparł z tonem ojcowskiej mądrości w głosie.

– Postura – powiedziałem, łapiąc się za głowę. – Ojciec Przemka mówił, że to mnie widział przy domu Klimkiewiczów, podobna postura, ale to byłeś ty. Jesteśmy podobnego wzrostu, matula zawsze się śmieje, że chodzimy tak samo, trudno rozróżnić z daleka, który akurat wraca do domu. O matko.

– Synu, teraz też trudna decyzja przed tobą.

– Jaka?

– Co zrobić.

A potem ruszył do ataku, szybko, jakby nie miał pięćdziesiątki na karku, jakby ćwiczył zapamiętane bicie się i mordowanie, ale Janek był przygotowany. Stał napięty, z rurką opuszczoną wzdłuż prawej nogi. Widząc atak, uderzył nią na odlew, ale ojciec był przygotowany i cios zmierzający w głowę wylądował na lewym ramieniu, a prawa ręka uzbrojona w nóż poleciała niczym kłuszący wąż do przodu.

Mnie zamurowało, odsunąłem się pod ścianę, jakbym schodził z ringu, robiąc miejsce dla dwójki zawodowych bokserów.

Nóż nie dosięgnął Janka, ten cofnął się półobrotem podczas uderzenia rurką, po czym bardzo szybko zadał ponowny cios, tym razem z góry i tym razem dosięgając głowy mojego ojca. Cios pozornie nie zrobił na nim wrażenia, chociaż krew z przeciętej skóry bryzgnęła mi na twarz.

Nóż brzęknął o posadzkę, ojciec został bez broni, co jednak nie ostudziło jego zapału. Runął do przodu niczym zapaśnik, łapiąc przeciwnika w pól, i siłą rozpędu uderzyli o ścianę, a głowa Janka huknęła o ceglany mur. Zwalili się wspólnie na posadzkę, ale nie doszło do turlania się i zmian pozycji, to nie był tani film akcji. Mój ojciec był większy od Janka, cięższy, przygniótł go, siadł na nim całym sprawnie, jakby faktycznie ćwiczył niegdyś zapasy.

Rozejrzał się w poszukiwaniu noża, ale ten był za daleko, nie mógł go dosięgnąć. Rurka Janka też podczas uderzenia o ścianę upadła i odtoczyła się w kierunku zwłok leżących w głębi pomieszczenia.

Ojciec uniósł pięść i uderzył Janka w twarz, nieprzyjemnie plasnęło, a potem stuknęło, bo stryjek miał uniesioną głowę i uderzenie sprawiło, że huknęła potylicą o posadzkę.

Nie pamiętam tego momentu, gdy ścisnąłem mocniej rozłożony szczyryk w dłoni, przecież trzymałem go cały czas. Chwili, gdy podszedłem do mojego ojca, też nie zapamiętałem, chociaż pamiętam doskonale jego drugi cios spadający na twarz Janka. Pierwszych ciosów nożem w plecy ojca również sobie nie przypominam, a już z pewnością pierwszych pięciu, bo nagle w mojej głowie uruchomił się jakiś licznik, że niby powinien być jeden cios za każdą ofiarę. Jednak było ich więcej, przypominam sobie szósty, a skończyłem liczyć długo później, gdy ręka już mi mdlała, a ojciec leżał bezwładnie na ciałach Klimkiewiczów i Andrzejka. Oznaczało to, że wstał, może nawet i chciał się bronić, ale ja szedłem za nim i dźgałem, raz za razem, nieustannie.

Za Alicję.

I za Andrzejka, którego powiesiliśmy na jesionie, chociaż nie był niczemu winien.

I za moje przyszłe życie ze skazą w postaci ojca mordercy.

I za matulę, której serce zostanie złamane i rozdarte na strzępy.

I za rodzeństwo, które zostanie półsierotami, prześladowanymi od tej pory na każdym kroku przez wszystkich w osadzie.

A najbardziej to za parszywy los, bo nie tak to miało wszystko wyglądać.

Gdy już uspokoiłem oddech, podszedłem do Janka, który jęczał na posadzce. Wokół jego głowy zbierała się kałuża krwi, wypływającej szybko z jego nosa i ust.

Stałem nad nim z nożem.

Czy taki grzech da się odpokutować?

Jak to powiedział mój ojciec tuż przed śmiercią?

„Synu, przed tobą trudna decyzja”.

# ROZDZIAŁ 36

## *Nieumiarkowanie*

*Rok 2023*

Poruszanie się po opuszczonej osadzie przypominało im spacer po cmentarzu, o którym zapomnieli nie tylko ludzie, ale i sam Pan Bóg. Budynki poprzerastane trawą, drzewka rosnące na dawnych podwórkach, o które ktoś kiedyś dbał, ale to było inne życie, bardziej ludzkie, nasączone codziennymi rytuałami, drzwiami otwieranymi o poranku, szuraniem miotły o kamienie, śmiechem dzieci, przekleństwami dorosłych. Dziś królowała tu cisza, błoga w dzień, najpewniej niepokojąca po zmroku.

– Stodoła starego Brysia – oznajmił Jan Ryś, wskazując im okrutnie zardzewiałą bramę, za którą zgrabne podwórko zamieniło się w mały zagajnik pełen zarośli.

– Czyli to tu? – powiedział Sukiennik, ocierając pot z czoła.

– Dokładnie – potwierdził stary policjant. – Ostatni punkt wycieczki.

– Żyjesz? – zapytał Podyma swojego kolegę, widząc, jak z każdym krokiem robi się coraz bardziej czerwony na twarzy.

– W bebeczach mnie przerzyna – odparł policjant. – Myślicie, że któryś kibel tu nadal działa?

– Nie ryzykowałbym – odpowiedział Ryś.

Przeszli zaplanowaną trasę bardzo szybko, zajęło im to niecałe pół godziny. Tak naprawdę to nie było czego oglądać, bo nawet emerytowany policjant kiwał głową z niedowierzaniem, z jaką prędkością natura objęła to miejsce we władanie. „Jakbym nigdy tu nie był” – stwierdził w pewnym momencie i obydwaj policjanci z Archiwum X go doskonale rozumieli, bo osada wyglądała jak wieś z koszmaru człowieka trawionego gorączką. Smutek bił z każdego zakamarka, przez tyle lat ludzie dbali o swoje domy, oliwili skrzypiące dziś zawiasy, kosili panoszącą się obecnie trawę, bielili pozieleniałe i poczerniałe ściany.

Ryś pchnął bramę, a ta ze zgrzytem ustąpiła i weszli na dziedziniec. Na wprost znajdowały się wrota stodoły, duże i zbite z szerokich desek, wciąż solidne i budzące zaufanie, porządna niemiecka robota.

– To tu. – Wskazał ręką. – Wejście, o którym wam wspominałem, było z tamtej strony. – Teraz przeniósł rękę na prawo.

Ruszyli do wrót i po chwili mocowania się z małymi drzwiami po ich lewej stronie weszli do środka. Wnętrze stodoły odcinało się od całej osady, zupełnie jakby zapomnienie szło przez jej uliczki i ścieżki i zapomniało tutaj zajrzeć.

Ale Mara swego czasu nie zapomniała.

Jan Ryś poprowadził ich do pomieszczenia, w którym niegdyś stary Bryś przygotowywał sery z krowiego i koziego mleka, po które ustawiała się nieraz kolejka, a sam proboszcz z Wnyków życzył sobie dostawać koszyk tego specjału w każdy pierwszy piątek miesiąca.

– Co to za pomieszczenie? – zapytał Sukiennik, pocąc się już tak, że groziło to utonięciem.

– Tu przenieśliśmy ciała – wyjaśnił Ryś.

– I tu mamy właśnie nieściskość – powiedział komisarz Podyma, przyglądając się z troską swojemu koledze.

– Jaką? – zapytał emerytowany policjant.

– Możemy wyjść? – zapytał Sukiennik, rozciągając kołnierzyk koszulki w poszukiwaniu dodatkowego haustu powietrza. – Strasznie tu duszno.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył w drogę powrotną i po wyjściu ze stodoły stanął w cieniu rzucanym przez jedną ze ścian domu i pochylił się, opierając dłonie na kolanach. Podyma nie chciał wychodzić, nie teraz, ale stan partnera mocno go zaniepokoił.

– Co jest? – zapytał, wychodząc w ślad za nim.

– Słabo mi. A wam nic?

– Może to przez te twoje wrzody? – zapytał z troską Podyma.

– Cholera wie. Siądę i napiję się wody, w cieniu już mi lepiej.

Faktycznie, zwałił się na ziemię, opierając się o pień drzewka oblepionego małymi, żółtymi śliwkami, po czym sięgnął do plecaka po butelkę wody, odkręcił ją i począł łapczywie rozprawiać się z zawartością.

– No to co z tą nieściskością? – zapytał ponownie Ryś.

– Brakuje dwóch osób – powiedział Podyma, rzucając okiem na przyjaciela. – Prokurator Maciejewski, ten który zginął na zakręcie śmierci, nie zostawił notatek w aktach sprawy, to fakt, ale przejrzelśmy jego inne sprawy z tego okresu i w jednej z nich znaleźliśmy fiszkę z ciekawym zapisem.

– Jakim? – zapytał Ryś, również przechodząc w cień rzucany przez budynek.

– „Brak dwóch osób, tak jak w Osadzie” – zacytował Podyma. – Tak dosłownie brzmiał zapis.

– Dziwny. – Ryś wykrzywił usta.

– Ale kluczowy – odparł komisarz. – Zaciekawilo mnie to i dokładnie zbadałem tę sprawę, przy której znaleźliśmy notkę. Doszło do waśni rodzinnej podczas wesela, kilka osób pobitych, ale żadnych trupów, przynajmniej na pierwszy rzut oka, bo okazało się, że jednak dwie ofiary były, tylko nikt tego nie zgłosił, próbowano całość zatuszować. Pech chciał, że jednego chłopaka powołano do wojska, a drugiego zaczęła szukać dziewczyna, której zrobił dziecko. I tak grzebiąc coraz głębiej, Maciejewski odnalazł zwłoki chłopczków zakopane pod lasem, tylko dlatego że brakowało mu dwóch osób we wsi, a szukające ich osoby zwróciły mu na to uwagę. Podobnie jest i tutaj.

– A kogo niby brakuje? – zdziwił się Ryś.

– Adama Antczaka i jego syna, Michała. Po obydwóch ślad zaginął.

– Adam szedł po pomoc – stwierdził zirytowany Ryś. – No to jak go miało nie być.

– No nie ma – odpowiedział Podyma. – Tak, szedł po pomoc i sprowadził pomoc do osady, potwierdza to raport złożony przez tych dwóch wojskowych, którzy z nim przyszli. Dotarliśmy do tego, kto był ich dowódcą, i w obszernym raporcie dotyczącym działań podczas zimy stulecia znajduje się krótka wzmianka z raportu ustnego dwóch podoficerów, że dotarli do osady, a potem ruszyli po pomoc i sprowadzili milicję, która przejęła całkowicie sprawę. A potem cisza. Ani wzmianki. Adam Antczak nie posiada nawet aktu zgonu.

– Pamiętam, że go przesłuchiwaaliśmy – odparł Ryś. – Ale nie utrzymywaliśmy bliskich kontaktów, po przesiedleniu gdzieś pojechał w Polskę do pracy. Słyszałem coś o Śląsku, tam nasi szukali zatrudnienia.

– Może i tak. – Podyma pokiwał głową. – Ale to mimo wszystko dziwne, że tak kluczowa postać nagle zniknęła.

– Macie jeszcze wody? – przerwał im Sukiennik, ciężko sapiąc.

– Może pomoc wezwać? – zaniepokoił się Ryś, patrząc badawczo na czerwonego na twarzy policjanta.

– Nie, muszę się po prostu napić – odpowiedział Sukiennik. – I wysrać.

Zaczął się podnosić, otarł pot z czoła i głęboko wypuścił powietrze z płuc.

– Lepiej? – zapytał go Podyma.

– Tak, chyba przechodzi – odparł jego kolega.

– Mówiłem, weź się za siebie, bo kiedyś zejdziesz – skomentował chudy policjant.

– Jasne, pytaj dalej. – Kiwnął głową w stronę Rysia, na co drugi policjant z Archiwum X spojrział na emeryta.

– To dziwne – powtórzył swój wniosek.

– W tej sprawie jest wiele dziwnych rzeczy.

– Druga to Michał Antczak, syn Adama – powiedział Podyma.

– Ale Michała nie było wtedy w osadzie – zaprzeczył Ryś.

– Wydaje mi się, że jednak był – odparł twardo policjant.

W tym momencie podkomisarz Łukasz Sukiennik oparł się o pień śliwy, po czym zwałił się z charczeniem na ziemię, zaczął wierzgać nogami i toczyć pianę z ust. Drgawki wstrząsały jego grubym ciałem, wprawiając je w konwulsje. Złapał się w jakimś odruchu za małe drzewko obsypane żółtymi śliwkami, jakby chciał na nie przerzucić wszystko, co mu dolega. Drgawki poskutkowały jedynie tym, że małe, żółte owoce, niezwykle soczyste, zwane mirabelkami, poczęły spadać jeden po drugim na zachwaszczone podwórk.

Podyma podskoczył do niego i przyklęknął, próbując go ratować. Jednak sam się zachwiał, zakręciło mu się w głowie i klapnął na pośladek, niezdarnie podpierając się ręką. Udało mu się, uklęknął niczym gorliwy katolik gotów do modlitwy i spojrział na Rysia. Ten stał niewzruszony i patrzył zimnym wzrokiem na dwóch policjantów, jednego leżącego już bez ruchu pod drzewem i drugiego klęczącego w pokornej pozie. Obok niego leżał plecak z laptopem i odkręcona butelka wody, z której powoli lała się woda pochłaniana łączywie przez wyschniętą wskutek ostatnich upałów glebę.

– Pączki – wyrzucił z siebie policjant, łapiąc się za brzuch.

– Nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu – westchnął Jan Ryś. – „Nieprawość w ich tłuszczu się lęgnie, złe myśli nurtują ich serca”. Psalm siedemdziesiąty trzeci.

– Wezwij pomoc – wyrzucił na jednym wdechu Podyma.

– Byłem pewien, że grubego jednak załatwią jako drugiego i trzeba będzie dobić go łopatą – oznajmił z uśmiechem emeryt.

– Wezwij pomoc – powtórzył policjant i w jego dłoni pojawił się pistolet wycelowany w starego funkcjonariusza, ale ten nawet nie drgnął.

Podyma opadł lekko do przodu, podpierając się lewą dłonią, w prawej wciąż trzymał pistolet. Oddychał ciężko, pocił się obficie, jego twarz co chwilę przecinały grymasy bólu niczym błyskawice tnące nocne niebo.

Jan Ryś stał i patrzył na jego agonię. Zastanowił się, co bardziej w tej chwili przeraża młodszego policjanta, ból i płonące wnętrzności czy świadomość, że nie ma odwrotu i ratunku, oto przyszła śmierć. Mara. Jak zawsze nie w porę. A może świadomość, że oto niemal rozwiązał sprawę, ale nikt nigdy się o tym nie dowie.

Nagle i jego wnętrzności zapłonęły, a uszy zabolaly od głośnego trzasku wystrzałów, jednak policjant miał na tyle siły, aby nacisnąć spust. Dwukrotnie. Spojrzał na swój brzuch i aż zamgliło mu wzrok od czerwieni na podkoszulku. Cholera, nie wziął okularów, z bliska kiepsko widział.

Potem zawirowało i zobaczył migające przed oczami drzewo pełne żółtych owoców, policjanta na czworakach i postać w czerni unoszącą nad jego głową łopatę.

Mara.

Przyszła.

Przekręcił głowę na bok, zdając sobie sprawę, że ziemia jest lodowata, jak tamtej zimy, gdy ludzie tak gęsto umierali, a on nie potrafił znaleźć mordercy. Nie, to nie Mara, jej nie było, nigdy. Wyła po nocach, tak mówiono wtedy w osadzie, że wyła po nocach jak potępieniec, ale jej nie było. To strachy dla dzieci, pamiętał, poźółkłe dziś strony pamiętników zamordowanych dziewczyn, które przeglądał każdego roku w święta Bożego Narodzenia. Jedna strona ozdobiona prostymi rysunkami dziewczynek, które śmieją się głośno „ha, ha”. Tych „ha, ha” na marginesach stron było wiele, bo i żart był przedni, to one wyły po nocach, chcąc nastraszyć chłopców. Udało się im.

Ha, ha.

To nie Mara.

Widział grubego policjanta leżącego w otoczeniu żółtych śliwek niczym prosiak ozdobiony na talerzu w wykwintnej restauracji.

Widział tego chudszeo, który leżał spokojnie, jakby położył się spać, a śliwki wokół niego zalał czerwony sos.

Widział buty, czarne, tylko trochę wystające spod sutanny.

– Michał? – wyszeptał, ale wiedział, że nie powie już ani słowa więcej, każda litera przerzynała mu wnętrzności niczym rozpalony pręt.

– Idź z Panem Bogiem – odrzekła postać nad nim i wszystko zgasło. – Twoja warta dobiegła końca.

Wszystko ucichło, oblała go czerń.

Kapłan uczynił znak krzyża, stanął między trzema ciałami, odłożył zakrwawioną łopatę, którą kiedyś odgarniali wspólnie z Mietkiem i Przemkiem śnieg



sprzed stodoły starego Brysia.

– Czy moja pokuta nie ma końca? – zapytał sam siebie.

Podwinął rękawy sutanny i zabrał się do sprząwania.

## ROZDZIAŁ 37

### *Piękną mi byłaś*

*Rok 1950*

Biegła szybko i to tak, że jej siostra nie mogła nadążyć. Czuła cały czas opór na trzymanej przez nią dłoni, chciała ją puścić, żeby jak najszybciej dotrzeć do swojego ukochanego, ale nie mogła tego uczynić, siostra była równie ważna.

Zaraz znowu zobaczy jego uśmiech, identyczny z tym, gdy oznajmiała mu, że jest przy nadziei. Jego mocne ramiona otoczą ją opieką, zapewnią jej bezpieczeństwo w tych paskudnych czasach. Trochę szczęścia jej się należało, w trakcie wojny ukrywały się w stodole przez dwa lata, prawie nie widząc słońca, a ona musiała pilnować, żeby siostra była cicho, nie płakała zbyt głośno.

Teraz znowu słyszało się, że wojsko wysiedla wioski, wszystkie w sąsiedztwie, ale ich osadę mieli zostawić w spokoju, tak powiedział Bryś, a on miał układy z jednym oficerem i wiedział, co mówi.

Ale i były dobre wieści, bo zakochała się i to z wzajemnością. Los dla niej i siostrzyczki wreszcie się odmieni. Wiedziała to, czuła całym ciałem, każdy krok przybliżał ją do spełnienia, dlatego chciała biec jak najszybciej. Ślub, wesele, wspólny dom, dziecko, zapach ognia rozpalanego w piecu. To wszystko czeka w stodole Bysia, w której się umówili.

– Hej? – zapytała, dysząc raz za razem. – Jesteś?

Był. Wyszedł z cienia, jego piękna, niemal jak wyrzeźbiona z marmuru twarz zabieliła się w świetle księżyca. Puściła dłoń siostrzyczki, przyłgnęła do niego z całą mocą swego rozkochanego ciała.

– Stało się coś? – zapytała tknięta złym przeczuciem.

– Nie – odpowiedział, ale kłamał, to aż wisało w powietrzu.

– Mów – poleciła.

Nie odezwał się, ale za to wyciągnął przed siebie pakunek zawinięty w gazetę. Prezent? Chciał się jej oświadczyć i stąd to zdenerwowanie, teraz wszystko jasne. Pierścionek? Skąd wziął pierścionek, może dostał od matki? A może chusta, którą widziała ostatnio na jarmarku, piękna, w czerwone kwiaty. Drżącymi dłońmi rozwinęła gazetę owiniętą szarym szpagatem, w środku były pieniądze,

całkiem sporo, było to widać mimo mroku wypełniającego stodołę. Rozjaśniono tylko przez jedną świecę, którą zawsze zapalali podczas schadzek.

– Na co to? – zapytała wciąż uśmiechnięta, czyżby chciał jej pokazać, że będzie potrafił się o nią zatroszczyć.

– W Józefowie stacjonują saperzy – powiedział spokojnym głosem. – Jest przy nich lekarz, bardzo dobry, podobno niegdyś profesor we Lwowie. Wielu ludziom pomaga. Pojedziesz do niego, a on pozbędzie się tego... problemu – dodał po chwili wahania, jakby nie potrafił nazwać właściwie tego, co rosło w jej brzuchu.

– Problemu? – zapytała, podnosząc głos.

– Cicho, bo ludzi pobudzisz. – Przyłożył palec do ust.

– Ale przecież...

– Musisz się tego pozbyć – powiedział mocnym głosem. – Jeszcze nie czas na to.

– Na dziecko? – powiedziała, mocno akcentując, bo widocznie to słowo nie chciało przejść mu przez usta.

– No tak – potwierdził.

– Dlaczego?

– Bo tak.

– Bo jestem Żydówką?

Nie odpowiedział. Nie musiał.

– No powiedz to!

– Ciiii.

Jednak nie zamierzała być cicho. Zaczęła mówić, wylewać z siebie wszystko, co rosło gdzieś tam przez ostatnie dni pełne obaw, a wcześniej lata ukrywania się przed Niemcami. Dla wszystkich była kłopotem, problemem, a dla nikogo radością. Mówiła coraz głośniej i głośniej, mimo że ją uciszał. Pieniądze zapakowane w gazetę upadły na klepisko i rozsypały się papierową wstęgą, on w pierwszym odruchu schylił się, aby je pozbierać, i wtedy nie wytrzymała, zaczęła go pić po głowie, musiała gdzieś wylać tę złość. Nie, nie złość. Bezsilność.

A wtedy on zaczął ją uciszać.

Nie, nie przyłożył jej palca do ust, bo to nie zdawało egzaminu, nie działało, bo wzburzona rzeka to nie ciekąca miednica, którą można zatamować palcem. Zapadła cisza burzona przez jej charkot, gdy jego ręce zaciskały się na jej gardle. Dołączyły do tego piski jej siostrzyczki, która rzuciła się na jej ukochanego.

– Adaś! – krzyczała mała. – Adaś!

Uderzała go i drapała.  
Ją też musiał uciszyć.

Sandomierz, 31 sierpnia 2023 roku.

## OD AUTORA

Urodziłem się w 1979 roku, zatem podróż do „zimy stulecia” była dla mnie sentymentalną wycieczką do czasów, gdy moi rodzice zmagali się z szarą codziennością epoki słusznie minionej.

W tym miejscu chciałem wyjaśnić właściwie tylko jedną rzecz, a w zasadzie rozbieżność, którą zaznajomieni z tematem natychmiast wyciągną na światło dzienne. Mieszkańcy Osady zmagają się z kataklizmem w trakcie świąt Bożego Narodzenia, gdy tak naprawdę całość miała miejsce w okolicach sylwestra. Tych kilka dni rozbieżności pojawia się celowo, bo chciałem wczuć się w klimat świąt z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku, tak drastycznie odmienny od współczesnego. Jednym z moich pierwszych świątecznych wspomnień jest dziadek z lutownicą w ręku, zmagający się każdego roku z lampkami na choinkę. Ileż było zachodu, by to małe drzewko rozbłysło kolorowymi światłami, a ile potem radości. O ile akurat nie było przerwy w dostawie prądu. I to właściwie tyle, bo próżno było szukać dekoracji świątecznych w przydomowych ogródkach, a miasta wielkości mojego Sandomierza tonęły w szarości zarówno w dzień powszedni, jak i od święta.

Mam nadzieję, że ta mroźna wyprawa w te ciężkie czasy przypadła Wam do gustu. I oby to nigdy nie wróciło. Jak naprawdę wyglądała walka z „zimą stulecia”, możecie zobaczyć sami, filmów z tego okresu jest wiele.

Ta książka nie trafiłaby do Was, gdyby nie wspinała ekipa Skarpy Warszawskiej, która dała mi swego czasu duży kredyt zaufania i mam go chyba do dziś. Kompletnie nie ingerują w to, co chcę pisać, a to dla autora ogromny komfort. Dziękuję Rafałowi Bielskiemu, Piotrowi Sternalowi i Iwonie Krupińskiej oraz całej reszcie ekipy, która robi mnóstwo dobrej roboty, żeby moje książki trafiły do Czytelników i zyskały status bestsellera.

Pozdrawiam,

Wasz autor.